

Edward

**STACHURA**

*siekierezada*



**EDWARD STACHURA**

# **SIEKIEREZADA**

**ALBO ZIMA LEŚNYCH LUDZI**

Dostał się pod koła, pokatulkało go i kaput.

– To rano było. Na ten ekspres do stolicy.

– Ale podobno do ostatniego wagonu skakał.

– Do ostatniego wagonu, ale do przednich drzwi.

– Aha, do przednich drzwi. No tak.

– Tu zrobił błąd. Żeby skoczył nie do przednich, ale do tylnych drzwi ostatniego wagonu, toby się tylko potłukł, ale pod koła by się nie dostał.

– Słuszna racja.

– Pocztowy wagon jest jeszcze na końcu.

– Albo na końcu, albo na samym początku, zaraz za lokomotywą. Rozmaicie doczepiają.

– Może chciał do tylnych drzwi, tylko że może, panie tego, zacięły się.

– Albo się zacięły, albo w ogóle były zamknięte.

– Mogło i tak być. Możliwe. Doleciał do tylnych drzwi, szarpnął za klamkę, zobaczył, że zamknięte, i wtedy poleciał do przodu, do przednich drzwi. Mogło i tak być.

– Miał zginąć i zginął. To jest los.

O tym to zatem więc cały pociąg rozmawiał, szeptał, mruczał i mamrotał z rzadkim zgodnym przejęciem. O tej to śmierci nagłej i niespodziewanej wszyscy rozprawiali w zatłoczonych przedziałach i zawalonych korytarzach jadącego na zachód przez zimowe pola pociągu. Był pociąg, nie ten, ale pociąg jako taki, narzędziem tragedii. Długim nożem, szpadą, siekierą, młotem, zwanym francuskim kluczem, żelaznym łomem tragedii. Koła pociągu to były tryby tragedii, które wkręciły w siebie

tego, o którym była ogólna mowa. Był pociąg narzędziem tragedii i wyruszył pociąg z miejsca tragedii. Z tego miasta, gdzie ona się wydarzyła. Był pociąg narzędziem tragedii, wyruszył z miejsca tragedii i w dniu tragedii. Trzy słynne antyczne jedności: akcji, miejsca i czasu. Bo dzisiaj to się stało. Dzisiaj raniutko. Kilka zaledwie godzin temu. Zaledwie temu godzin kilka.

– Żeby pociąg jechał wolno, to jeszcze. Ale to ekspres. Bierze szybkość od razu.

– Też to właśnie. A on zziajany był. Cały czas biegiem leciał. Przez dworzec, po schodach do tunelu, z tunelu potem po schodach na górę, potem po peronie za pociągiem, co ruszył i też był w biegu, jak on. Zmęczyło go to, nie miał siły pod koniec.

– O to się rozchodzi. Nie miał już siły, a jak nie miał już siły, to panie tego, nie miał już dokładnego obliczenia do skoku. Źle wymierzył.

– Może też trochę na bani był. I tak to jedno z drugim, że źle wymierzył sobie skok.

– Z samego rana miał być na bani? Skoro świt? Co pan gadasz, panie?

– No ale mogło tak być, że poprzedniego dnia, panie, popijał do późnej nocy.

– Albo do wczesnego ranka.

– I nie zdążyło mu wywietrzeć.

– Ja to sobie tak myślę, że on się złapał za wcześnie za poręcz, ot co. Za wcześnie się złapał za poręcz przy drzwiach, a pociąg się rozpędzał i on nie miał czasu się

odbić. Pociągnęło go do przodu, a on nie mógł już puścić i wtedy dostał się nogami tam, gdzie nie trzeba, między stopnie pociągu i peron. Trzymał się jeszcze jakiś czas, aż mu ręka zemdląła, i puścił. I wtedy go wkłęciło pod spód.

Siedziałem jak wryty na moim worku w korytarzu, nisko, między nogami stojących ciasno, ramię w ramię i noga w nogę, podróżników. Paliłem papierosa ostrożnie, w zwiniętej trąbce dłoni, żeby nie przypalić komuś nogawki spodni czy zwanej poły płaszczka. Słuchałem głosów, co ponad głową.

– Kto tam wie, jak to było.

– Może czasami przez te jego ciemne okulary.

– Możliwe. Może mu się zapociły, zarosiły mu się. Zziajany był, a tu mróz, para mu z gardła buchała i okulary mogły mu się zapocić. Mało, że ciemne, to jeszcze zapoccone.

– Po co on nosił te ciemne okulary? Lato, zima – zawsze w nich chodził. Na wszystkich filmach w nich występował.

– Ja widziałem jeden film „Popiół i diament”. To on tam w jednym miejscu mówi do dziewczyny, która go też pyta, po co on chodzi w tych ciemnych okularach? Dlaczego? I on jej mówi, że w okupację, prawie cały czas po kanałach żył, co są pod ulicami. I teraz, po wojnie, musi chodzić w ciemnych okularach, bo go dzienne światło za bardzo kłuje w oczy. Bolał go oczy od tego światła. Za bardzo do ciemności mu się oczy przyzwyczały w tych kanałach.

– Ale to, panie tego, na filmie mówi. To jeszcze nie musi prawda być.

– Nie musi być, ale może być. Bądź co bądź jednak zawsze w tych ciemnych okularach chodził. Na filmie czy nie na filmie. W życiu, znaczy się.

– Tak jest. Jakby nie było.

– Podług mnie to taki człowiek powinien mieć samochód do dyspozycji, a nie żeby musiał za pociągiem ganiać.

– Dadzą mu pośmiertne odznaczenie i cześć.

– A czy mu chociaż dadzą? Dają tylko bohaterom.

– Dla kultury on był bohater.

– Zdolny był. Szkoda chłopaka.

– I to w samą niedzielę zginął.

– Ja to jeszcze raz mówię: miał zginąć i zginął. To jest los. Niedziela czy nie niedziela. To jest los.

Siedziałem jak wryty, jeszcze raz mówię, na moim worku w korytarzu pociągu nisko, między nogami stojących ciasno, ramię w ramię i noga w nogę, podróżników. Paliłem papierosa w zwiniętej żałobnej trąbce dłoni. Paliłem ostrożnie, żeby nie przypalić komuś nogawki spodni czy zwanej poły płaszcza. Słuchałem głosów, co ponad głową. Powyżej. Trochę to było tak, jakbym żywcem zakopany był i słyszał głosy stojących nade mną, na powierzchni, ludzi. Trochę to było tak właśnie, ale dużo bardziej tak nie było. Dużo bardziej było tak, że siedziałem na moim worku w zatłoczonym korytarzu pociągu jadącego na zachód przez zimowe pola

tej krainy. Cokolwiek bym czuł, gdziekolwiek bym się myślał zapędził, a za nią, za myślą, podążały niektóre lotne części mojego ciała, takie jak serce na siodle oddechu, aerodynamiczna głowa z postawionym żaglem włosów i tym podobnie, to jednak przede wszystkim, nie da się tego ukryć, byłem tu, gdzie byłem: w jednym z wagonów pociągu. A nie zakopany pod ziemią. Pod ziemią natomiast, w tych podziemiach, zakopany był, to znaczy niedługo miał być zakopany on. I to nie żywym, bo żywym mógłby, waląc pięściami i nogami w wieko trumny, spowodować to, żeby go ci na górze, na powierzchni ziemi, usłyszeli i odkopali. Zakopany on miał być w podziemiach nie żywym będąc więc, ale martwym. Choć kilka zaledwie godzin temu żywy był jak ja teraz. Jak ja, który, choć owiany zawiany zamotany w tej chwili doszczętnie śmierci gęstym oparem, ale żywy jestem. Tako żywy i on był zaledwie temu godzin kilka. Witaj, zegarze, w którym czas jest cofniony.

Witaj, zegarze, w którym jest cofnione zaledwie godzin kilka. Przedświt zimy tego dnia. Perony w szronie, pociągi jeszcze nie rozgrzane w szronie. Ekspres do stolicy zaraz ma odjazd. Miałem jechać na zachód, na robotę do lasu. W kieszeni mam wycięty z gazety adres jednego leśnictwa, które dało anons do działu „Poszukiwanie pracowników”. Ze poszukują właśnie robotników do wyrybu lasu. To mi się wydało niezłe w mojej ostatnio sytuacji, z której nie będę się przed nikim tłumaczył. Więc miałem jechać tam, do lasu, a nie

do stolicy, ale coś mi strzeliło w ostatniej chwili i zmieniłem zamiar. Czasami trafia mnie coś takiego. Nawet nierzadko. Prawie zawsze poddaję się temu, bo to jest prawie zawsze, że pozwolę sobie tak powiedzieć, głos krwi intonującej nową pieśń. Tylne drzwi ostatniego wagonu są zamknięte. Idę szybko do przednich drzwi. Konduktor stojący dalej w przodzie popędza mnie chorągiewką. Wchodzę na stopień wagonu i cały ekspres-tabor rusza z miejsca. Naciskam na klamkę i robię taki półobrót w lewo i w bok, żeby się drzwi mogły otworzyć i wtedy, w tym słynnym ostatnim spojrzeniu do tyłu widzę, jak po peronie noguje za naszym pociągiem jakiś spóźniony podróżnik. Nie wchodzę do wagonu, stoję dalej na stopniu, a ten goni. Krzyczę do niego, żeby do mnie leciał, bo tylne drzwi zamknięte na klucz. Facet zmęczony jest, to widać, zziajany mocno, ale już jest przy mnie. Poprawiam uchwyt lewej ręki i uchylam się w bok, żeby mu zrobić miejsce na stopniu. On skacze, ja go w locie łapię prawą ręką w pól i jesteśmy uratowani. Odchylam się jeszcze bardziej w lewo, on otwiera drzwi, wchodzi, ja za nim, i idziemy do wagonu restauracyjnego.

- A tego Anglika to nawet nie znaleźli.
- Kampel. To był mistrz szybkości.
- Błękitny ptak.
- Tak się ta jego maszyna nazywała.
- Wybuchła na środku jeziora i on wyleciał razem z nią w powietrze.
- Sto pięćdziesiąt metrów w górę wszystko wyleciało



i spadło z powrotem do jeziora.

– Teraz go nurki szukają.

– Co to szukać, jak wszystko się rozleciało w drobny mak.

Albo inaczej. Witaj, zegarze w którym czas jest cofniony. Przedświt zimowy tego dnia. Perony w szronie, pociągi jeszcze nierozgrzane w szronie. Miałem jechać na zachód, na robotę do lasu, ale coś mi strzeliło w ostatniej chwili, żeby jechać do stolicy. Już mam wchodzić do pociągu, który zaraz ma odjazd, ale w jeszcze bardziej ostatniej chwili odstrzeliło mnie z powrotem, żeby jednak jechać do lasu tak, jak zamierzałem od pewnego czasu, a nie do stolicy, gdzie zresztą akurat nie ma jej, do której tylko jedynie mógłbym spieszyć. Nie wchodzę więc, cofam się, a pociąg rusza. Naraz słyszę tupot po peronie. Jakiś spóźniony podróżnik biegnie za pociągiem. Facet dyszy, jego ciężki oddech na mroźnym powietrzu natychmiast zamienia się w kłęby pary; widzę, że podnosi rękę i robi taki ruch, jakby chciał w biegu przetrzeć ciemne okulary, które ma na oczach. Ja rozpościeram szeroko ramiona i staję mu na drodze. To wszystko oczywiście dzieje się bardzo szybko. Trwa krócej, niż spokojna, przy herbatce, ewentualna lektura tych słów. On leci na mnie, a ja stoję z otwartymi ramionami, jakbym go miał witać w objęciach, ale to chodzi o to, żeby mu przeszkodzić, żeby nie gonił dalej za pociągiem, bo po co, pojedzie następnym, świat się nie zawali, jeśli tym pociągiem nie pojedzie, a po co ma się stać jakieś głupie nieszczęście

przy wskakiwaniu. On leci w bok, żeby mnie ominąć, ale i ja tak samo. To on w drugą stronę, to i ja. I on wpada na mnie. Przewracamy się na peron. Pociąg już jest daleko, gwizdże z dala, my podnosimy się i on albo nic nie mówi, bo rozumie, dlaczego zatrzymałem go w biegu, dlaczego mu stanąłem na drodze z rozpostartymi jak strach na wróble ramionami, albo rozumie, ale mimo to wydziera się na mnie, że co ja sobie myślę, wyzywa mnie od gówniarzy i pętaków, to ja na to też zaczynam go wyzywać od gówniarzy i pętaków i tak to wyzywamy się wzajem, jeden drugiego, ale przecież wyzywając się, czy nawet bijąc się ze sobą, gdyby do bójki doszło, co jest możliwe, to przecież dwóch żywych ludzi by się biło, i do czegoś takiego, żeby któryś którego zakatrupił, nigdy by nie doszło. Nigdy by nie doszło do tego, żeby któryś z nas pozostał trupem na placu boju, na peronie czy, gibnąwszy się z peronu, na torach, tak, jak się to stało kilka zaledwie godzin temu.

I tak to sobie kombinowałem, jak by mogło być, gdyby mogło być. Przeklęty bądź, zegarze, w którym czas nie może być cofniony. Tak to sobie myślałem, tak to sobie umyśliłem, siedząc jak wryty na moim worku i wśród innych tobołków między nogami stojących ciasno, noga w nogę, podróżników. Siedziałem jak wryty nie tylko w tym ciasnym wąskim znaczeniu. Siedziałem jak wryty tak, jak się mówi o kimś, że stał jak wryty przed straszliwym widokiem. Albo: stanął jak wryty, kiedy mu doniesiono straszliwą wieść. Więc tak właśnie, w tym

podwójnym znaczeniu siedziałem jak wryty i tak sobie polatywałem myślami w powietrzu przestrzeni. Myślami, nie ciałem w większości swoich elementów niestety nielotnym. Więc myślami tylko. Myślami jestem wszędzie. Tu, tam, jeszcze gdzie indziej i nawet w kilku miejscach – jednocześnie. Więc myślami byłem wszędzie. Między innymi, lecz przede wszystkim, tam byłem teraz: na peronie wczesną godziną tego dnia. Myślami byłem teraz w niedalekiej przeszłości. Zaledwie kilka godzin wstecz. Ciałem, w większości swoich elementów niestety nielotnym, byłem tu, w pociągu sunącym na zachód. Byłem w pociągu, paliłem któregoś tam z kolei papierosa i patrzyłem na zimowe pola i lasy przez wychuchane nisko na zamarznętej szybie kółeczko, oko na świat, które co chwila zaciągało się lodowym bielmem i co chwila trzeba było chuchać–dmuchać gorącym żywym oddechem, żeby ta szadz, ten zamróz odtajał. Na niego, który dzisiaj zginął, tak chuchnąć, żeby odtajał szczelnie wypełniający mu usta lodowy knebel, szczelnie wypełniający mu gardło lodowy sopel, szczelnie wypełniający mu żyły lodowy zator, szczelnie wypełniający mu serca komory i przedsionki lodowy zawał. Na niego tak chuchnąć, żeby ożył; na innych, co zginęli młodo i głupio; na innych, co zginęli nie tak młodo; na innych jeszcze, co zginęli staro, ale nie chcieli ginąć, nie mieli dość, nie sprzykrzyło im się życie, nie znudziły im się pory roku, nie przejadło powietrze. Na nich wszystkich, mówię, tak chuchnąć, żeby ożyli. Ale cóż! Ciało nasze niestety nielotne, a oddech niebieski.

I co można zrobić? Na organkach coś cichutko zagrać. Wyszperałem organki i zacząłem grać cichuteńko tę cudowną przenaajsmutną melodię do straszliwych przenaajświętszych wierszy Baczyńskiego: Jeno wyjmij mi z tych oczu szkło bolesne – obraz dni, które czaszki białe toczy przez płonące łąki krwi. Jeno odmień czas kaleki, zakryj groby płaszczem rzeki: zetrzyj z włosów pył bitewny, tych lat gniewnych – czarny pył.

Jak spędziłem wieczór i noc w mieście, na którego długie perony wczesnym zmierzchem tego styczniowego dnia wysiadłem – o tym nie mówmy. Choć byłoby o czym. Ale po co dolewać oliwy do ognia, który i bez tego buzuje wielkim, zachłannym, wszystko pożerającym płomieniem. Więc nie mówmy. Zarzucmy lepiej na to długi szeroki płaszcz, opończę, pelerynę czarną wielką i przejdźmy nad tym do porządku dziennego, do porządku porannego jasnego mądrego cudotwórczego jak każdy nowy poranek. Tak, jak kiedy w kinie się siedzi i jest wieczór przeważnie, a na filmie też powiedzmy jest wieczór, a potem ekran wygasa, ciemnieje i nagle rozjaśnia się ekran, bo jest ranek następnego dnia, film leci dalej, i to światło poranka na filmie rozlewa się po nas, ulga jakaś, radość rozlewa się po nas, choć wiemy, że to na filmie jest poranek, a na sali kinowej jest wieczór ciągle, ale ta radość jest niezależna od naszej wiedzy, od naszej zwanej świadomości o rzeczywistym stanie rzeczy ciemnym wieczornym. I kiedy na filmie zapada znowu zmierzch i potem wieczór,

i noc, i ekran znowu ciemnieje, czarno jest, i za chwilę znowu się rozjaśnia, bo jest na filmie kolejny nowy dzień, to znowu odczuwam to, co odczuwam w życiu, kiedy wstaje nowy dzień: radość, ulga, świeżość nowa, rześkość, blask głaszcze mnie po rysach i szramach, w kościach mi się fosfor zapala, jeść mi się chce i pić to wszystko, co dookoła, stopy swędzą mnie do ruchu, żeby naprzód iść i tak dalej, i tak dalej. A myśl o śmierci, o śmierci myśl, w tej pierwszej chwili, zanim o niej pomyślę – jest nie do pomyślenia.

Czułem to wszystko, co powyżej wyliczyłem i czego z braku słów nie wyliczyłem, bo był ranek nowego dnia i szedłem po głogowskim bruku w poszukiwaniu fryzjera, żeby się ogolić, albowiem zarosłem już, choć dopiero co przedwczoraj się goliłem. Co było dobre, to było dobre w dawniejszych młodszych czasach, że nie trzeba było golić się tak jak teraz: raz na dwa dni, a nawet nie szkodziłoby co dzień. Raz na tydzień człowiek kiedyś się golił, po łaźni albo przed łaźnią, ale wolałem po łaźni, by mniej bolała skóra, i spokój był przez cały tydzień ze skrobaniem lic. Potem, z płynięciem czasu, z płynięciem lat, dwa razy na tydzień już trzeba było się golić, a teraz znowu z płynięciem czasu trzy razy w tygodniu trzeba. Co drugi dzień. A nie szkodziłoby codziennie. Więc pod tym względem jak to się mówi, lepsze były kiedyś czasy. Ale za to z drugiej strony, nie ma tego złego, co by nie wyszło na dobre, oby! oby! przez to częste golenie się poznałem dosyć nieźle fryzjerskie salony kraju i to dziwne plemię,

jakim są fryzjerzy. Nasłuchałem się też prawdziwych, półprawdziwych i zupełnie fantastycznych, od początku do końca zbajerowanych historii, opowieści, scen rodzajowych, obyczajowych i tak dalej, że mógłbym do końca życia siedzieć, jak powiedział o sobie jeden, naprzeciw gołej białej ściany i opowiadać. Ale co do mnie i póki co, to wolę jeszcze chodzić, niż siedzieć. Wolę jeszcze iść, niż tkwić. Tu, tam, na lewo, wprost, a kiedy urośnie mi broda, do fryzjera idę w danej miejscowości. Jeden apropo fryzjer nie tak dawno mnie golił w sławetnym mieście Olkusz, a potem namówił mnie na masaż twarzy przedwojennym elektrycznym aparatem Darsanwala ciskającym iskry przy dotknięciu ze skórą. Piorunował, pikował mi szyję i policzki tymi iskrami i opowiadał przy tym o swoich przygodach na frontach całej Europy podczas drugiej wojny światowej. Gdyby mu wierzyć, to cud boski i bąbelki, że z tego wszystkiego wylazł i stał przy mnie cały i zdrowy. Mylił się poza tym, mieszały mu się w tej jego Iliadzie różne miasta, miasta–państwa, same państwa, przestawiał daty bitew, przekreślał nazwiska generałów, wymyślał nowych, nie istniejących, miał mnie za kompletnego frajera, za ostatniego jełopa w domenie geografii i w domenie historii. Co prawda to prawda, że byłem wtedy, jak sobie przypominani, mocno zmizerowany i wyglądałem jak jakiś taki wypłosz. Dlatego chyba, chyba na pewno dlatego, tak sobie używał na mnie. O, bezczelny! Ale bajer miał wielki, to trzeba przyznać. Bajerowszczyk to był chyba największy w Jurze

Krakowsko–Czestochowskiej.

Więc nasłuchałem, oj, nasłuchałem ja się samowitych i niesamowitych fryzjerskich opowieści. Oto są, między innymi, korzyści wieku męskiego, kiedy to błyskawicznie odrastający zarost na twarzy popycha człowieka do częstych odwiedzin fryzjerskich salonów. Od tych częstych odwiedzin fryzjerskich salonów przeszła mi też, poszła w zapomnienie jedna rzecz, którą miałem kiedyś, kiedy rzadko zaglądałem do fryzjera, raz na tydzień i nawet czasami rzadziej. Bardzo głupia historia. Miałem kiedyś, idąc ogolić się do fryzjerskiego salonu, dzikiego stracha, że trafię na fryzjera, który poderżnie mi gardło. Normalny fryzjer, któremu nagle przyszła pewna myśl do głowy i nie może się od niej odczepić, przykleiła mu się do mózgu ta myśl, fryzjer walczy, mociuje się z tą przekłętą myślą, ale nie daje rady, opętała go bez reszty ta myśl, na mózg mu padła ta myśl, na głowę mu padło to ziarno; szedł kiedyś ulicą swojego miasta, dzień był szary, niepozorny, ale nad miastem przelatywał właśnie ten wściekły ptak o łacińskiej nazwie maniakalis–maniakalis i o niezbadanych trasach przelotu, ten właśnie, który ma tę manię otwierania szeroko co pewien czas dziobu, wypluwając przy tym, wymiotując wściekłym ziarnem ze swojego przepełnionego wściekłego wola, i ono, to wściekłe ziarno, padło na głowę idącego ulicą Bogu ducha winnego fryzjera, na mózg mu padło, na tę żyzną glebę, i wyrosła na głowie fryzjera ta wściekła roślina, z tej samej co ptak rodziny maniakalis–maniakalis, fauna i flora wściekle bujna, rozpełzły się promieniście jej

pędy, opasały, opętały dokładnie i ciasno całą głowę fryzjera i pewnego dnia, kiedy to nadejdzie ten dzień, dzień kwitnienia, zakwitnie na głowie fryzjera czerwony krwawy kwiat. Tuż po tym zakwitnie, tuż zaraz natychmiast po tym, kiedy fryzjer żyjący już nie swoim życiem, ale życiem rośliny, przeciągnie prostopadle ostrzem brzytwy po szyi klienta. Najpierw kwiat tryskający z szyi klienta, a zaraz potem na głowie fryzjera tej samej barwy i tego samego odcienia płatków kwiat. Z mojej szyi ten pierwszy kwiat. Bo to ja akurat siedzę na fotelu. Na tronie we krwi. To ja akurat zajechałem do tego właśnie miasta i zaszedłem do tego właśnie fryzjera i jest właśnie ten dzień: dzień kwitnienia. Fryzjer cesarskim cieciami przecina mojej grdyki pęk i czerwony kwiat zakwita, tryska w górę. Krew zalewa pochyloną przy mnie głowę fryzjera.

Rozważałem kiedyś dokładnie tę całą sprawę. Na kilka tysięcy fryzjerów rozrzuconych po całej pięknej naszej krainie czyż nie mogła któremuś z nich wpaść do głowy i zakiełkować i zakwitnąć taka idea fiksa, jak mówią Francuzi? Mogła. I miałem z tego wywodu pełne gardło strachu. Potem ten strach mi przeszedł, odpadł, odstąpił mnie. Po prostu zapomniałem o tym. Teraz dopiero sobie o tym przypomniałem, kiedy akurat szukam fryzjera, żeby się ogolić. Przypomniało mi się to w samą nieporę, można by powiedzieć. Ale nie. Przestałem się tym przejmować, zaprzestałem, zaniechałem myślenia nad tysiącliczebnymi możliwościami nagłej i niespodziewanej mojej śmierci. Wyzbyłem się tych spekulacji. To jest ziemia jałowa.



Piątej, szóstej klasy grunt. To jest sam piach, gdzie nic nie urośnie albo prawie nic. To jest Pustynia Błędowska takie myślenie. Nie prowadzi do niczego ten rozważań nurt. Do niczego dobrego.

To, że wyzbyłem się tych nieszczęsnych myśli, wskazywałoby na to, że jednak nie jest ze mną tak źle, że nie jest ze mną najgorzej. A ta mgła ta mgła? Wracając do śmierci, to ta sprawa wygląda u mnie tak: z jednej strony, jak mówiłem, poniechałem obłądnych, obłądowskich spekulacji o tym: jak zginę? gdzie? kiedy? z czyjej ręki? z czyjej poręki? jaki połknie mnie wir? jaka planeta zmiażdży mi płowy łeb? jaka kometa? jaki i czym podkuty but? i tak dalej i tak dalej. Więc to z jednej strony. Z drugiej strony jednak dobrze wiem, doskonale wręcz się orientuję, że śmierć ani na moment mnie nie opuszcza, na głowie wiecznie mi siedzi, na czole mam ją wypisaną, przy nodze mojej zawsze wiernie jest. Więc to z drugiej strony. A z trzeciej strony to z płynięciem czasu, z biegiem lat coraz bardziej nie wierzę we własną śmierć, zupełnie nie widzę siebie jako umarłego. Trochę inaczej mówiąc: zupełnie nie widzę tego świata beze mnie. Więc tak się sprawy mają i pomimo że wygląda to wszystko dosyć bardzo skomplikowanie, dosyć bardzo nawet paradoksalnie, to ja tu nie widzę żadnej sprzeczności, żadnego zamętu ni przepychanki. Na mój rozum wszystko tu jest w porządku: szafa gra, komoda tańczy, a ja siedzę na parapecie okna, bujam nogami, piję piwo, czekam na helikopter i serce mi wali.

Znalazłem fryzjerski salon i wkroczyłem doń. Pusto było. Żywego ducha. Zdjąłem kapotę i powiesiłem na wieszaku. Worek postawiłem poniżej. Trzy stały przed lustrami puste fotele. Usiadłem na środkowym, pod białym, na czerwonym tle, orłem, wiszącym w ramce na ścianie, wysoko, prawie pod sufitem, jak przystało na królewskiego ptaka. Nikt się nie zjawiał, ani szef, ani fajfus–pomagier, czyli uczeń–czeladnik, więc wyciągnąłem papierosy z kieszeni i zapaliłem. Siedząc naprzeciw prostokątnego dużego lustra, trudno było nie patrzeć na nie i na tego, który tam w głębi lustra siedział na fotelu, paląc papierosa. Trudno, mówię, było na niego patrzeć i trudno mi było na niego patrzeć, jak by tu powiedzieć, bezuczuciowo. Z obojętnością. Jak na kogoś obcego, gdyby tak było, że na obcego patrzę z obojętnością. Co tak nie jest. Zatem więc, nie patrząc na obcego z obojętnością, jak mógłbym na siebie w ten właśnie sposób patrzeć, na swoje własne w lustrze odbicie. Widzę w tym miejscu w kinie pamięci kogoś, kto powiedziałby, że można. Można, na obcego nie patrząc z obojętnością, na siebie patrzeć w ten właśnie obojętny sposób. Można też na wszystkich patrzeć z obojętnością, tak na siebie, jak i na innych. To już jest mniej niezrozumiale.

Ale wróćmy do nich. Wróćmy do tych dwóch siedzących naprzeciw siebie w jednakowej pozycji, jednako palących papierosa, jednako na siebie patrzących, z jednakim uczuciem. Jeden w głębi lustra i drugi w głębi

lustra. W trzydziesty rok życia wchodziliśmy ostrym susem, to nie jest tak mało, trzydzieści dłuższych i krótszych lat razem przebywaliśmy i przemierzaliśmy równiny, doły, padoly i wystawiające spiczaste piszczele kurhany, to lekkim kłusem, to pełnym galopem, to kulejąc, to czołgając się, i jak mógłbym nie przywiązać się do tego typu tam w głębi lustra, a ja z drugiej strony w głębi lustra. Patrzyłem na tę twarz zmieniającą się prawdopodobnie z płynięciem czasu, mniej lub więcej, pogłębiały się zatoki czołowe, gdzie rodzą się najczulsze myśli, włosy płowiały coraz bardziej pod tysiącem słońc, oczy czego nabierały? Blasku czy matowego odcienia? Jaśniały w tej chwili bardziej niż w dawniejszych młodszych czasach czy też traciły ze swojego ognia?. Pytam, bo nie wiem. Dla mnie zmiany jakieś, jeśli w ogóle zachodziły, były jak na razie niewidoczne. Ja nie widziałem różnicy. Dla mnie ta twarz i cała postać były takie same jak w dawniejszych młodszych czasach.

Jeśli mówię młodsze czasy, to nie dotyczy to mnie. Młodsze czasy mówię w tym znaczeniu, że młodszy był wiek ziemi, wiek planety. Bo moje młode czasy, młodość moja nigdy nie była młodsza niż teraz i jak na razie będzie dalej szła młodniejąc, czuję to jeszcze zupełnie nieźle, całym ciałem, a jeszcze rozumem, i niech mnie nikt nie straszy. Niech mnie nikt nie straszy, że być może, być może, owszem owszem, jest taka teoria, a do pewnego stopnia nawet praktyczna możliwość, ale prędzej czy później przyjdzie nieuchronnie czas, kiedy się będzie po

drugiej stronie wzgórza i będzie się o tym nieodwracalnie wiedziało, o tym, że idzie się w dół po stoku, na pochybel, a nie w górę na słoneczny niebotyczny szczyt. Zaszłe i zachodzące zmiany na twarzy, na całym ciele i wewnątrz maszynerii będą aż nazbyt widoczne. No i dobrze, ale niech mnie nikt tym na razie nie straszy. Kiedy przyjdzie ten czas, jeśli w ogóle przyjdzie, jeśli go do siebie dopuszczę, to powiem o tym. Opowiem o tym, kiedy przyjdzie ta pora, ten wieczór z zagadki Sfinksa, kiedy to chodzi się na trzech nogach, czyli starość oparta o laskę. A ta mgła ta mgła?

Patrzyłem na tego w lustrze i nie dlatego, że patrzyłem na niego z uczuciem naturalnym, nie mogłem wyobrazić go sobie innego, niż jest i był zawsze. I mówię to nie zapominając, nie przestając ani na chwilę pamiętać, że moje żelazne zdrowie już nie jest żelazne, bóle jakieś dziwne mam czasami, pod skronią nad okiem coś mnie nagle ostro zakłuje, w przegubie prawej ręki coś mnie rwie, tak że cała dłoń przez jakiś czas mi drętwieje, parę zębów zgubiłem po ciemnych zaułkach, parę innych z niedbałości; bóle głowy mam czasami, rzadko, ale za to jakby w dwójnasób, w trójnasób łupie mi we łbie; pod stopami odwieczne odciski, z pęcherzem jest coś nie tak, jak powinno, za często sikać mi się chce, jedna babka klozetowa, pisuardessa, jak mówią zgrywusy, radziła mi mocno natrzeć się spirytusem i na noc kłaść tam sobie podgrzaną cegłę; w nocy właśnie z tym siusianiem jest najgorzej, kiedy trzeba trzy, cztery razy wstawać,

niewygodne to jest i krępujące, gdy tak jak ja mieszka się przeważnie po kwaterach. Przypomina mi się, jak raz dwie panie rozmawiały o swoich lokatorach. Najpierw mocno pluły i narzekały na nich, ale potem przeszły od zwanych negatywów do zwanych pozytywów, chwalić zaczęły niektórych swoich gości: miałam takiego, mówi jedna, to był tak delikatny i tak się cicho zachowywał, że w nocy to do nocnika szczał po nodze, żeby hałasu nie robić. Widziała pani? – spytała ta druga. Widziałam, odparła ta pierwsza. Dalej, dalszego ciągu rozmowy nie słyszałem, bo mocno ściszyły głosy. Chichocząc, do szeptu przeszły takiego więcej namiętnego.

Wracam do moich bólów. A ta mgła ta mgła? Wiec to jest może normalna rzecz, te moje bóle, ale dla mnie tajemnicze, niesamowite, bo nie wiem skąd, dlaczego, nigdy tego nie miałem. Dostyc przerażające to jest, ale to jest jakby gdzieś obok jednak, choć dzieje się we mnie, w moim ścisłym obrębie. Ale jednak gdzieś obok. To nie należy do głównego nurtu, do głównego potoku, do głównego żywotnego żywiołu przepływającego przeze mnie, przepływającego mnie porywiście i ogniście jak seria z pistoletu maszynowego. Mówiłem, że ja bez śmierci ani rusz. Ona mi daje życie ta śmierć. To dopiero zaczyna być ciekawe.

Ale wróćmy do nich. Wróćmy do tych dwóch siedzących naprzeciw siebie w jednakowej pozycji, jednako palących papierosa, jednako na siebie patrzących, z jednakim uczuciem. Jeden w głębi lustra i drugi w głębi

lustra.

– No i jak to będzie? Z tym wszystkim – zapytał cicho z głębi lustra jeden z nich.

– Dobrze będzie. Musi być dobrze – odpowiedział cicho z głębi lustra drugi z nich.

– Najwięcej niebezpieczna ta mgła ta mgła...

– Tak. Straszliwe są jej ataki. I straszliwie słodkie jednocześnie, straszliwie uwodzicielskie... straszliwie rzewne...

– Rzewność nad rzewnościami, co chcesz... Gdyby nie Gałązka Jabłoni...

– Tak. Gdyby nie Gałązka Jabłoni, to już by nas nie było. Już byśmy dali się uwieść...

– Tak. Już byśmy byli duchami.

Odnalazła się zguba, czyli wszedł fryzjer do salonu jakimiś bocznymi zakulisowymi drzwiami prowadzącymi do zaplecza, do pokoiku jakiegoś małego, gdzie fryzjer uprawiał może poza fryzjerstwem inny fach, praktyki alchemiczne może albo może w ogóle nie było żadnego pokoiku, tylko zwyczajna ubikacja była i naszego fryzjera często tam gnało, bo może też, tak jak ja, miał kłopoty z pęcherzem. Ktoś mi polecał na pęcherz dużo pietruszki jeść. Nawet wódkę zagryzać pietruszką.

– Dzieńdoberek – mówię. – Co tak pusto u pana ? Gdzie się podziiali klienci?

– Zimno, panie. Mróz. Wszyscy się skurczyli.

– Tak się skurczyli, że ich w ogóle nie widać – mówię.

– Tak jest, panie. Dużo też poumierało. Fryzjer

zakładał mi z tyłu serwetkę, żeby mnie najpierw ostrzyc, a potem dopiero ogolić.

– Włosy nie – mówię. – Ogolić tylko.

– Włosy nie?

– Włosy nie.

– Ładne włosy – powiedział fryzjer. – Kręcone.

I pociągnął mnie mocno za kosmyk, aż zabolalo mnie. Ale nic nie powiedziałem, bo może to miała być oznaka sympatii do mnie, kto to może wiedzieć. Różne są sposoby okazywania komuś sympatii. Świat jest bogaty we formy, a i w treść niebiedny.

– To mówi pan, dużo ludzi poumieralo.

– Mówię panu, takie chłopcy. Fryzjer teraz mydlił mnie.

– Ale nie ma strachu – ciągnął dalej fryzjer. – Ludzi tu dziesięć razy więcej przybywa, niż ubywa. Do miedzi tu, panie, ściągają. Kupa narodu. Miedź tu u nas odkryli. Słyszał pan na pewno.

– Słyszałem. Wszystkie gazety o tym trąbiły. Podobno okropnie wielkie złoża. Większe podobno niż wszystkie złoża w Europie razem wzięte.

– A tak, tak, panie. Jedne z największych na świecie. Może nawet największe. Kto to tam, panie, dokładnie obliczy.

– W Chile – mówię – mają też dużo miedzi. W Ameryce Południowej. W Afryce też mają. W takim kraju Rodezja.

– Jak jest wielki kraj, to wszystko pan znajdziesz. Weź pan Amerykę. Weź pan Rosję. U nich wszystko jest.

Węgiel, miedź, nafta, co pan tylko chce. Złoto, platyna i inne drogie kamienie.

– Ale Polska mała – dodał po chwili.

– I tyle, panie, miedzi – dodał jeszcze po chwili.

Nie odzywałem się, bo golił mi teraz szyję, więc nie chciałem mu ruchami mięśni przeszkadzać, a sobie przez to samo jakiegoś nieszczęścia zwabić na kark, to znaczy na szyję. Skończył i zaczął mnie lekko mydlić na drugie lekkie poprawkowe golenie.

– To wielka kariera czeka wasze miasto – mówię. – Klientów panu nie zabraknie.

– Ze stryżeniem tak, ale z goleniem to coraz gorzej.

– Kończy się era z goleniem u fryzjera – rymnąłem sobie bezwiednie.

– Ano tak, panie. Maszynkami ludzie teraz się gola. Albo tymi na żyłki, albo tymi na prąd. Sam papież, czytałem gdzieś w magazynie mody, goli się elektryczną maszynką.

– Ta nowoczesność wszędzie się wciska – mówię. – Nawet do Watykanu.

– A tak, panie. Żebyś pan wiedział. Otworzyły się z ulicy drzwi do salonu i zajrzał jakiś gość. Widziałem go w lustrze.

– Dzień dobry, panie Stefanie – powiedział. – Przyjaciela zwierząt tu u pana nabyło?

– Nie. Jeszcze nie.

– Gdzie on może być?

– Tego to nie wiem – rzekł fryzjer.



– Może się powiesił – rzekł gość i poszedł.

– Kremu damy? – spytał fryzjer.

– Nie. Dziękuję.

– Trochę kremu teraz na mróz nie zawadzi.

– To daj pan trochę. Tylko nie za dużo, bo nie lubię.

Fryzjer nakremował mi lica i to był ostatni akcent jego starań. Pociągnął mnie tylko jeszcze raz mocno za kosmyk.

– Ładne włosy. Kręcone. Ale przydałoby się trochę skrócić. Wstałem z fotela i mówię:

– Gdzie ja teraz będę w samym środku zimy się strzygł, panie. Żeby mi głowa marzła? A w ogóle, wie pan, to ja odwrotnie, niż inni klienci. Golę się u fryzjera, ale strzygę się sam. Już od piętnastu lat chyba.

– Maszynką?

– Nożyczkami.

– Aż tyłu? Jak z tyłu? W lusterku z tyłu pan dokładnie nie zobaczy.

– Bez lusterka się strzygę. W ogóle nie patrzę w lusterko. Czytam książkę albo patrzę przez okno na kawałek tego świata i skubię się nożyczkami. Na wyczucie. Ile płacę?

– Pięć.

– Proszę – podałem fryzjerowi szóstaka. – „Sporta” zapali pan?

– A zapalę. Ja też „Sporty” palę. Ja panu powiem, że z tych wszystkich papierosów to one są jeszcze najmożliwsze.

– No i najtańsze – zauważyłem.

– Dawniej – fryzjer zaciągnął się głęboko – pamięta pan, były te, „Wczasowe”.

– Pamiętam. O, to siano było. „Łajdackie” na nie mówili.

– „Łajdackie”? Dlatego że gównno warte?

– Trochę dlatego i trochę dlatego, że „Wczasowe”. Że na wczasach tak się wczasowicze łajdaczą.

– Aha. Rozumiem – rzekł fryzjer. Podszedł do żelaźniaczka i nałożył dwie szufelki węgla do paleniska. Skrzyneczka z węglem stała obok.

– Pan też do nas za robotą?

– Tak. To znaczy...

– Bo widzę worek – rzekł fryzjer. – Do miedzi? Do kopalni ?

– Nie – mówię. – Na razie przynajmniej do miedzi nie.

– Zna pan tu kogoś w mieście?

– Nikogo – mówię. – Kiedyś znałem jednego rabina, który był z Głogowa. Mądry był człowiek. Ale umarł.

– Teraz to każdy jest mądry. Teraz głupich nie ma. Co jeden to mądrzejszy.

– Dlatego takie mądre czasy mamy na świecie – mówię. Wyciągnąłem z kieszeni wycięty z gazety świstek.

– Może pan wie, gdzie to jest. Wieś Bobrowice, gromada Hopla, nadleśnictwo Sława – odczytałem głośno.

– Daleko to jeszcze stąd? Jadę tam do roboty na wyrąb lasu.

– Niedaleko. Blisko. Do Hopli jakieś piętnaście kilometrów pekaesem, a stamtąd do Bobrowic jakieś z dziesięć kilometrów. Może mniej.

– To niedaleko – przyznałem, ściągając z wieszaka kapotę i wciągając ją na plecy. – To kiedyś tu do pana wpadnę elegancko się znowu ogolić.

– Proszę bardzo – rzekł fryzjer. – Serdecznie zapraszam. Do miasta musi pan przecież od czasu do czasu wpadać, żeby się zabawić. Inaczej pan zdziczeje w tych lasach. Przepadnie pan w tych śniegach.

Wyszedłszy od fryzjera udałem się na dworzec pekaesów. Autobus do Hopli miałem dopiero o trzynastej dwadzieścia, a była zaledwie dziesiąta poranna tego dnia. Po krótkim namyśle, czekać, nie czekać, udałem się do sklepu spożywczego. Zakupiłem trochę prowiantu, chleba, słoniny, cebuli, parę puszek śledzi w tomatnom sosie, paczkę herbaty i tak dalej. Co się zje, to się nie przepije – jak mówi przysłowie. Chociaż drugie przysłowie mówi: człowiek nie jest tym, co je, człowiek jest tym, co pije. Ech, przysłowia, przysłowia. Załadowałem cały prowiant do worka, worek na plecy, plecy lekko zgarbiłem, nos wysmarkałem i, spytawszy o drogę, wyciągnąłem nogi i ruszyłem naprzód. Przeszedłem most nad rzeką Odrą, potem drugi most nad nieteczą, nad starorzeczem i rozlewiskami, chwilę postąłem na krzyżówce, co zaraz za drugim mostem, i ruszyłem dalej. Lekko w lewo skos. Wiatr zawiewał od południowego zachodu ostrymi podmuchami, tak że bił mnie w lewą bandę i w lewy policzek otwartą dłonią. Skurczyłem jeszcze bardziej głowę pod siebie, chowając brodę pod szalik. Śnieg na polach twardą skorupą przymarznięty do ziemi, więc wiatr

nim nie kurzył na drogę i na idącego po drodze. Idący zaś szedł i to wszystko. Nic poza tym. Był tylko ruchem, ruchomym punktem, ruchomą kreską na drodze. Nawiedzony był idący tym rzadkim szczęśliwym czasem niemyślenia. Ta fala błoga, ten obłok biały miękki i w środku pusty napłynął na idącego. Zimny bo zimny wiatr owiewał wiecznie rozgorączkowany rozpalony rozbuchany żarem łeb. Idący to czuł i tylko to. Było tak jakby dmuchający wiatr wciskał z powrotem na miejsce próbujące się wydostać z głowy myśli. Albo x jeszcze dokładniej: było tak, jakby idący szedł bez głowy, jakby ją sobie zdjął i trzymał pod pachą albo schował do worka, co go niósł na plecach. O, piękne, piękne wakacje bezmyślności wielkiej zupełnej. Błogosławiony odpoczynek od piekła i piekielnego raję myślenia. Błogosławiona bezmyślności młoda zdrowa wdowa.

Ale krótki odpoczynek, krótkie wakacje w przytulnych ramionach, w przytulnych gniazdach przegubów i kolan bezmyślności. Podniosłem głowę, spojrzałem w prawo na pole, zobaczyłem tam wronę na śniegu i przypomniał mi się on, który wczoraj, w samą niedzielę, zginął pod kołami. Kto tu nie widzi związku między jednym i drugim, ten nie widzi związku między trzecim i czwartym, szóstym i siódmym, trzynastym i pierwszym. Potem inne myśli się posypały i jeszcze inne, cała lawina, cała kawalkada, całe tabuny, tak że łeb mój miażdżony był pod tysiącliczebnymi kopytami. Ach, nikt nigdy nie będzie wiedział, jakim ciężkim cudem zlepią się

potłuczony na drobniutkie części mózg.

– Co robisz?

– Kleję mózg.

– Ach, ty zaraz tak nie wiadomo jak. Powiedziałybyś lepiej jakiś kawał.

– Powiem ci: jakbyś się nie kręcił, to masz dupę z tyłu.

– No wiesz! Z tobą naprawdę nie można nigdy kulturalnie porozmawiać.

Bóg chciał, jak to się mówi, ale ile w tym prawdy, że za przejazdem kolejowym złapałem wóz. Stary Opel–Błyskawica z przyczepą, czyli z ogonem, czyli z kitą. Ruda długa kita wlokących się za mną długów. Wóz i przyczepa załadowane były wielkimi betonowymi kręgami. Szofer zatrzymał tabor, wylazł z szoferki i przeszedł się dookoła ciężarówki, sprawdzając koła. Dwadzieścia kręgów, jak szybko policzyłem, gdzieś po pół tony każdy, to był ciężar nie byleladajaki. Nie w kaszę dmuchać. Pomogłem szoferowi dokręcić śruby u ośmiu kół wielkim dwuramiennym kluczem. To nam zabrało z piętnaście minut tego. Ale też za to rozgrzałem się. nieźle. Potem załadowaliśmy się do szoferki i z wolna ruszyliśmy. Betonowe kręgi z tyłu, choć przepasane łańcuchami, lekko gibały się po platformie i to się wyraźnie czuło w przedzie. Z wolna jechaliśmy. Ostrożnie. Czterdziestką gdzieś. Czterdzieści pięć. Zimowa zresztą droga też nie była do nonszalanckiej jazdy. Do rowu można było się łatwo stoczyć bez specjalnych czyichś modłów. Szofer klął, że mu na bazie tyle napakowali na wóz. Miał przed sobą

szmat drogi i przy tym tempie jazdy obliczał, że nie dojedzie na miejsce, do budującej się fabryki farb i lakierów, wcześniej niż pod wieczór. Klął, piorunował taką jazdę i tę całą swoją robotę, że co to za robota, nigdy go w domu nie ma, wpadnie tylko dzieci policzyć, czy nic nie przybyło, czy nic nie ubyło i jazda w drogę.

– W transporcie robić to jest trochę tak jak marynarskie życie – mówię.

– Tak jest, panie. Dobrze pan to powiedział. Niech to cholera weźmie.

Był w złym humorze, nie da się ukryć. Nawet nie miałem czasu spróbować go rozbawić, rozweselić jakąś opowiastką, bo już musiałem wysiadać. Była krzyżówka w środku lasu i nasze drogi tu rozchodziły się. Ja miałem skrócić w lewo, według „Hopla” tablicy w kształcie strzały, a on zasuwał dalej prosto. Musiałem zostawić jego los i towarzyszyć mojemu. Jakieś dziwne wzruszenie nas ogarnęło, kiedy się zegnaliśmy i życzyliśmy sobie powodzenia. Moje wzruszenie czułem wyraźnie, malowało się, jak to się mówi, na mojej twarzy, a jego wzruszenie malowało się na jego twarzy. Tak, że to nie było jednostronne. To było dwustronne. Nie wiem, na czym to polegało. Byliśmy razem ze sobą jakieś zaledwie pół godziny, nie więcej, piętnaście minut na skraju szosy dokręciliśmy w milczeniu śruby u kół jego Opel–Blitza, drugie piętnaście minut spędziliśmy w szoferce i on cały prawie czas klął, ja może ze trzy zdania rzuciłem, a kiedy się zegnaliśmy po tej półgodzinie, nie mogliśmy ukryć

wzruszenia wielkiego. Mnie drżał głos i jemu drżał głos, ten sam, który przed chwilą bluzgał przekleństwa. Naprawdę niesamowite to było i zupełnie nie rozumiem, na czym to polegało. Wiek też nas nie łączył, który podobno może być łącznikiem całego zwanego pokolenia. Szofer był ode mnie ze dwadzieścia lat starszy, to znaczy miał dwadzieścia lat więcej ode mnie.

– To powodzenia życzę. Niech pan jedzie ostrożnie, bo ślizgawica.

– Dobra, dobra. Dam sobie radę. Ty też tam uważaj na zakręty.

Podaliśmy sobie ręce i, już nic więcej nie mówiąc, popatrzyliśmy na siebie przez krótką chwilę, tyle, ile można wytrzymać, i wysiadłem. Poszedłem, nie odwracając się, drogą na Hople. Z pięćdziesiąt metrów uszedłem, a on dopiero wtedy ciężko ruszył i pojechał. Charkot motoru starego Opel–Blitza długo cichnął w otaczającym mnie lesie. Usiadłem na kamiennym przydrożnym słupku i zapaliłem papierosa. Nic nie rozumiałem: byłem bliski płaczu.

Ale ten płacz, ta chęć płaczu była czymś innym, nie była związana ze wzruszeniem tym dziwnym po pożegnaniu się z szoferem. Ta chęć płaczu nie wynikała z tego wzruszenia. Z tego sobie nagle zdałem sprawę. A tak łatwo można było te dwa stany połączyć wspólną serdeczną nicią. Nie wiem, jak mi się udało zdać sobie nagle sprawę, że te dwie rzeczy nie mają nic ze sobą wspólnego. Ale jeśli ta chęć płaczu nie wynikała, nie

wypływała z tego wzruszenia dziwnego wielkiego po pożegnaniu się z szoferem Opel-Blitza, to z czego wynikała, z czego wypływała? I pomyślało mi się, Boże mój, że może chciałem płakać, może chciałem już teraz zacząć płakać za coś, co mnie spotka kiedyś, kiedyś, w przyszłości; i instynkt mój jakiś, instynkt życia chciał, żebym już teraz zaczął płakać powoli i tak płakał od czasu do czasu, żeby potem, kiedyś, w przyszłości, nie zalały mnie całkiem łzy, żebym w nich nie utonął całkiem, w całej topielczej dosłowności. Albo może ktoś, ktoś, kogo w tej chwili zalewały całkiem łzy, ktoś, kto tonął teraz we łzach, w całej topielczej dosłowności, wołał mnie na pomoc, ratunku prosił, poruszając bezgłośnie wargami krzyczał do mnie z wiatrem lub pod wiatr: zapłacz! zapłacz, Pradera, to może mnie przestaną płynąć łzy; zapłacz, bo ja tonę we łzach, pomóż mi, ratuj, ratuj, Pradera; i ja chciałem płakać, chciałem komuś pomóc, chciałem kogoś ratować, a może siebie chciałem ratować, tego z przyszłości niewiadomej tajemniczej, dalekiej lub nie tak dalekiej, ale nie mogłem płakać, nie chciały mi lecieć łzy, nie chciały, Boże mój, i tak mi przykro, tak mi przykro, ale przecież chciałem płakać i pomyślałem o tym wszystkim i chciałem płakać i czy to jest tak mało? Czyż to nie był płacz wielki wylewny, choć łzy nie leciały? Czyż tym nie uratowałem cię trochę, ty, co płaczesz, co toniesz teraz we łzach? Czyż tym nie uratowałem siebie trochę, siebie, co płaczę, co tonę we łzach w przyszłości niewiadomej tajemniczej, dalekiej lub nie tak dalekiej?



Kilka godzin potem, wczesnie zapadającym wieczorem tej pory roku, wracałem od leśniczego, co mieszkał prawidłowo pod lasem, do wioski, do Bobrowic, gdzie miałem zgłosić się na kwaterę u Babci Oleńki. Z leśniczym załatwiłem, co było do załatwienia.

– Robił już pan na zrębie?

– Nie. Nie robiłem. Ale wiem co i jak. No i siekiere w ręku miałem. Jak to się mówi: władani siekierą.

– Ile pan zrobi, tyle pan zarobi. Ma pan własną siekiere?

– Nie mam. Mam tylko mały toporek.

– To ja panu dam. Pilnik pan sobie kupi.

– Pilnik mam.

– Jaki?

– Mam dwa: trójkątny i płaski.

– Lepszy trójkątny. Buty gumowe pan ma? Nie ma pan. Wyszedł z pokoju i przyniósł po chwili parę gumiaków.

– Może będą trochę za duże, ale za to można grubszą onucę dać. Tylko w gumiakach można robić na zrębie. Wszystko inne przemięka. Najgrubsza skóra. Rękawice dam za parę dni, jak pojedę do Nadleśnictwa, bo wszystkie, co miałem, zdałem. Na kwaterę pan się zgłosi do Babci Oleńki. Po lewej stronie duży dom z białej cegły, gdzieś tak w środku wsi. Powie pan, że przysłał leśniczy Bogdański. Jutro niech pan przyjdzie rano, to pójdziemy na zrąb i wybierzemy dla pana jakąś działkę.

– O której przyjść?

– Przed ósmą. O wpół do ósmej gdzieś. Wcześniej nie ma co, bo jeszcze ciemno.

– Dobra. To dziękuję i dobranoc.

– Dobranoc. Nasze kołdry i poduszki tam są na kwaterze. Drzewa naszego tam chyba też trochę zostało po naszych ludziach, co wyjechali. Zresztą powie pan Babci Oleńce, że drzewa dla pana przywiezie się za parę dni. Na razie niech pan pali tym, co jest. A jak nie ma, to niech Babcia Oleńka panu pożyczy, to jej pan potem odda.

– Dobra. Dziękuję panu. Dobranoc.

– Dobranoc. Jutro wpół do ósmej.

Znalazłem ten duży dom z białej cegły. Kupa psów mnie przedtem wściekle obszczekała, kiedy minąwszy wolną domenę pól, wszedłem w zabudowania i szedłem przez wieś środkiem drogi. Kupa psów, mówię, wściekle mnie obszczekała. Zupełnie nie tak, jak sobie marzę od wielu lat. Mam takie marzenia, żeby psy na mnie w nocy nie szczekały. Chociaż myślę sobie teraz, nie wiem, jak by to było, gdyby się moje marzenie spełniło. Może by to było dużo straszniejsze ta cisza, to iście, to maszerowanie wśród nocnej ciszy absolutnej. Może bym prędko zapragnął na powrót usłyszeć szczekanie psów. Ale zaraz. Przecież chodzi mi o to, żeby psy nie szczekały na mnie. Na innych i w ogóle do księżyca, i między sobą niech sobie psy szczekają. No to wszystko w porządku. Wszystko w porządku. A myślałem już przez chwilę, przestraszyłem się, że sobie złe marzenie wymarzyłem. To znaczy takie marzenie, które spełnione może stać się czymś do

znienawidzenia, przekleństwem. Ile było takich marzeń!  
Ile się spełniło! Ile stało się przekleństwem!

Znalazłem ten duży dom z białej cegły i wszedłem do niego.

Na podwórzu psa nie było. Babcia Oleńka zajmowała w tym wielkim domu najmniejszy pokoik. Malutką izdebkę, ciupkę taką od sieni na prawo. Tam się przeniosła na samotność. Na stare lata. Do tej ciupki małej, która składzikiem, schowkiem była kiedyś, kiedy w tym wielkim domu panował wielki ruch. Teraz nie było tego. Cicho i pusto było. Powiedziałem „dobry wieczór” i że ja na kwaterę. Że przysłał mnie leśniczy Bogdański.

– Aha – powiedziała babcia Oleńka. – Aha – powtórzyła.– Niech idzie za mną. Ja jemu pokaże gdzie.

Przebyliśmy ogromniastą sień i weszliśmy do pustego pokoju, który był, jak nietrudno zgadnąć, kuchnią kiedyś, kiedy w tym wielkim domu panował wielki ruch. Kiedy na ścianach wisiały święte obrazy, w pokojach stały ciężkie meble, w piecu huczał ogień, na rozgrzanych do czerwoności fajerkach stały gary, w garach gotował się barszcz albo żur, albo kapuśniak, pośrodku izby stał stół, przy stole domownicy: chwackie głosy ich. A teraz cicho było. Stanica cicha i pusta stała. Wykruszyły się szeregi, mąż zginął na wojnie albo zmarł po wojnie, synowie poszli w świat, córki za mąż i tak to jest. Teraz tylko Babcia Oleńka od czasu do czasu krążyła za czymś po tych pustych izbach. I myszy. I może szczury. I tacy jak ja sezonowi na kwaterze domownicy. A kiedy nie było na

kwaterze nikogo, to co było? Co tu mogło być? Babcia Oleńka w swojej malutkiej ciupce, a w reszcie wielkiego domu chłód, przeciągi, skrzypiące nie naoliwione drzwi i inne rozmaite szelesty.

Przeszliśmy ten pusty pokój i weszliśmy do następnego, który bardziej żywy był, ten drugi pokój, ale też nie przesadzajmy. Ściany jego wymalowane były w takie niebieskawe kwiatki – trupie główki. Taki deseń. Ten pokój wydzieliła Babcia Oleńka na kwaterę dla zamiejscowych, co przyjeżdżali do roboty do lasu. Nadleśnictwo chyba jej płaciło za to jakieś grosze. W izbie stały trzy łóżka, szafa, stół i trzy krzesła. W kącie kafłowy piec.

– Nowy – powiedziała Babcia Oleńka, widząc, że tam właśnie patrzę. W kąt.

– Dobry ma cug?

– Dobry. Przedtem ja miała większy, też kafłowy. Gotowała w nim. Wszystko. Ale coś zaczął dymić. Dym nie szedł do komina, tylko pod kociołek. Powaliła ja jego i postawiła nowy. Przyszły murarze z Hopli i zrobiły. Tysiąc złotych kosztowało. Pięćset robota i drugie pięćset za te wszystkie blachy w środku. W Nowej Doli znajomy kupił, bo w Hopli nie miały. A on z daleka?

– Kto? – zapytałem.

– On – powtórzyła Babcia Oleńka, pokazując na mnie palcem.

– Ach, ja. Z północy. Z bydgoskiego.

– To daleko. Tak się to ludzie po świecie rozjeżdżają.

Ale w lesie dużo nie zarobi. Teraz niedawno, przed Bożym Narodzeniem, ja miała tu trzech z łódzkiego. To oni z początku zarobiły. Na żerdziach oni robiły. To wychodziła im dniówka czasami po 130 złotych. Ale też robiły! Od świtu do ciemnej nocy. W nocy szły i w nocy wracały. Potem dały ich na ścinę, to bójcie się Boga, odrąbywać te gałęzie, palić po sobie, żeby było czysto, korować, ciąć. Co można na ścinie zarobić? Nulki!

– Jakoś to będzie. Zobaczymy – mówię. – A drzewa trochę po nich zostało? Żebym miał czym w piecu palić. Leśniczy mówił, że za parę dni przywiozą dla mnie drzewo.

– Co tam zostało. Nawet metra nie będzie. Latarkę, widzę, ma, to pójdziemy do szopy i pokaże które. Od razu sobie przyniesie.

Wziąłem latarkę i poszliśmy do szopy. Babcia Oleńka pokazała mi, które drzewo jest moje. Zaiste niewiele tego było. Palenia na jakieś cztery, pięć dni. Poprosiłem Babcię Oleńkę, żeby pottrzymała latarkę, a ja rozłupałem siekierą, co była w szopie, parę kłocy na drobne i zebrałem pod pachę.

– Co to za latarka taka błyszcząca? – spytała Babcia Oleńka, oglądając ją w ręku.

– Chińska – mówię. – Kupę tego rzucili na rynek.

– Chińska – powtórzyła Babek Oleńka.–A ja myślała, że srebrna.

– Gdzie tam srebrna. Aluminiowa czy jakaś tam.

Babcia Oleńka dała mi na rozpałkę kawałek smolniaka

i wróciliśmy do stancy. Ja poszedłem rozpalać, a Babcia Oleńka poszła do siebie. Potem przyniosła mi gorącej herbaty.

Podziękowałem i poprosiłem ją, żeby mnie zbudziła jutro o siódmej, gdybym zasnął. Dobranoc, dobranoc i zostałem sam. W rozpalonym piecu huczało i to było więcej niż chóry anielskie. Nie ma, nie może być słynniejszej muzyki od tej, kiedy w piecu huczy ogień, a za oknem duje wiatr. Kiedy w piecu trzaska żywica, a za oknem dujawa. Podłożyłem trochę do ognia i zrobiłem parę kroków po nowej przestrzeni, w której miałem mieszkać, próbując ją z lekka, czy się da szybko oswoić, czy dłużej to potrwa.

Po tych trzech z łódzkiego została na kwaterze gryząca trochę gardło woń ich potu, zostało w szafie parę pustych puszek i słoików po pulpetach, po pasztecie pułtuskim i po śledziach radzieckich w pomidorowym sosie. Miałem takie same w worku. Został na kwaterze po tych trzech z łódzkiego jeden biały metalowy kubek na szafie, pod szafą stare onuce, które rzuciłem na piec, i w kącie izby kawał prostego kija z dwoma naciętymi na obu końcach kreskami. Metrówka, jak nietrudno zgadnąć. To by było mniej więcej wszystko, co po nich zostało. Najbardziej obecna, choć najmniej widoczna, była gryząca lekko gardło woń ich potu, ich znoju. Normalnie. Po mnie tu też zostanie woń mojego potu, mojej mitręgi i też ktoś otworzy okno, żeby przewietrzyć izbę, tak jak ja to jutro zrobię, bo dzisiaj przemarzłem jakoś i nie chcę otwierać okna. Dzisiaj

już mi wszystko jedno. Wszystko jedno, wszystko jedno, usta na maszcie, usta pełne smoły – jak powiedział jeden.

Zjedzmy coś. Przysunąłem do pieca stół, do stołu krzesło, do krzesła worek i wyjąłem prowiant na światło dzienne, to znaczy na światło elektryczne, bo wieczór był, jak już może ktoś zauważył. Jadłem dzisiaj w Hopli, w restauracji „Hoplanka”, ale to było południe tego dnia, a teraz był wieczór tego dnia, jak już na pewno ktoś zauważył. Wyciągnąłem z rękawa nóż i zabrałem się do jedzenia. Podjadłem, a potem podłożyłem do ognia, a potem przysunąłem do mojego krzesła drugie krzesło i zagasiłem światło. Na jednym krześle usiadłem, na drugim położyłem bosc stopy i zapaliłem papierosa. W piecu trząskał ogień, rzucając przez drzwiczki paleniska tańczące po ścianie błyski. I tu mogłaby się zacząć zupełnie inna osobna autonomiczna opowieść.

Nazajutrz rano był wtorek, nowy dzień, co się zdarza prawie zawsze po minionym dniu i nocy, ale niekoniecznie zawsze. Miałem już do czynienia z takimi dniami, które trwały nie jeden dzień, ale dwa dni lub kilka dni, to znaczy nie dwadzieścia cztery godziny, ale czterdzieści osiem godzin i grubo ponad. Mijał jeden dzień i następnego dnia rano to nie był nowy dzień, ale ciągle ten sam dzień poprzedni, i mijał drugi dzień i następnego dnia rano to znowu nie był nowy dzień. Nowy dzień przychodził dopiero po trzech dniach, tak że w danym tygodniu było nie siedem dni, ale powiedzmy, cztery dni: jeden dzień trwający trzy dni, drugi dzień trwający normalnie jeden

dzień, trzeci też normalnie, a czwarty dzień trwał nienormalnie dwa dni, co daje w sumie liczbę siedmiu dni, ale nie daje w sumie liczby siedmiu nowych dni, tak jak powinno być, to znaczy tak, że każdy dzień powinien być nowym dniem i to powinno być oczywiste, to się powinno czuć codziennie rano, zaraz natychmiast po przebudzeniu, spontanicznie fantastycznie i namacalnie, a tak nie było i oczywiście, że coś tu było nie w porządku, coś tu nie grało, gdzieś tu był jakiś feler. Smutna sprawa. Bardzo smutna. Tragiczna, jak się tak zastanowić. Na szczęście, jak do tej pory, rzadko mi się to przytrafiło. Trzy, cztery razy, o ile dobrze pomnę. Pomnę, przytrafiło mi się to zjawisko, kiedy przebywałem trzy dni, dzień po dniu, w towarzystwie ludzi bardzo inteligentnych wszak, bardzo dowcipnych tudzież i bardzo miłych poza tym wszystkim, ale, wśród których będąc, czułem zbędną moją obecność i słyszałem przeciągły gwizd czasu. Domyślałem się trochę z początku, a teraz wiem na pewno, że to czas, mój czas dawał mi tym przeciągłym gwizdem o sobie znać, żebym go nie marnował, nie wypełniał dowcipem choćby nie wiem jak, w moim mniemaniu, wyszukany i celny, bo to nie jest moja rola, to nie jest moje zadanie, to nie jest to, co do mnie należy. Słyszałem więc już parę razy ten przeciągły gwizd czasu i czułem w danym miejscu zbędną moją obecność, miałem już parę razy to straszliwe przygnębiające przenaajsmutne uczucie, że powiniennem w danej chwili w innym miejscu być, niż w tym, w którym w danej chwili byłem. O, cudne manowce, zróbcie zawsze



tak, zadziałajcie w tym kierunku, we wszystkich kierunkach, bylebym tylko za każdym razem błyskawicznie wyrwał się z koła, do którego z własnej woli wpadnę lub z własnej osłabłej chwilowo, zmęczonej woli, lub nie z własnej woli, niewłasnowolnie: siłą, przemocą, gwałtem do koła wciągnięty. Błyskawicznie wyrwicie mnie, cudne manowce, z każdego koła i wprowadźcie, proszę, wyprowadźcie mnie już, błagam, do niej, do Gałązki Jabłoni mojej, do jej zakłętego kręgu i stamtąd już nigdy mnie nie–ruszajcie, bo zasłużyłem, żeby tam być przy niej, ja tylko wiem i wy tylko wiecie, straszliwe manowce, jak bardzo, jak niewypowiedzianie zasłużyłem na to, żeby być przy niej. I ona tylko wie. Czy ona wie? Ona wie. A jeśli nie wie? Ona wie. A jeśli jednak nie wie? Kiedyś będzie wiedziała.

O, cudne manowce. Jest rano. Nowy dzień. Na zrąb właśnie przyszedliśmy z leśniczym. Kawałek drogi jest od wioski do leśniczówki i kawałek drogi od leśniczówki do zrąbu. Będzie razem z pięć kilometrów. Im zrąb dalej w lesie, tym dalsza strefa i większy dodatek do wypłaty – zapodał mi po drodze leśniczy. Oparte o drzewa widziałem parę rowerów i jeden motocykl. Pojazdami więc sobie dojeżdżają z wioski na zrąb. Wynalazkami cywilizacji. Kto ma, ten jeździ. Ja zaś piechotą będę codziennie przemierzał pięć kilometrów padołu w jedną stronę i pięć kilometrów padołu w drugą. Razem okrągła cyfra. Nachodzę się, nie da się ukryć. Na razie stoję. Ja stoję, a drzewa padają. Pilarz–Nikodem szwedzką ręczną piłą na benzynę spuszcza

drzewa na mojej działce. Spuść na początek ze dwadzieścia sztuk, powiedział leśniczy do Nikodema, opieprzywszy go przedtem za to, że ma na głowie czapkę–uszątkę, a nie ochronny kask. O higienie pracy uczyli cię czy nie? Po co ja cię posyłałem na kurs ? – opieprzał go leśniczy. Nikodem coś tam się tłumaczy, że ma za dużą głowę, a za mały kask i że go uciska. Gra piła w rękach Nikodema. Z tyłu, za spuszczanym drzewem – stoi gajowy z długą tyką widełkowato zakończoną i pcha, napiera, żeby się piła nie zakleszczyła. Kieruje też drzewem, żeby padało podłużnie i równo, równoległe do drzew już poległych; Żeby się wszystko nie zwałało na kupę i byle jak, pomieszane we wszystkie strony świata. Dostojność jakaś bojarska jest w tym padaniu drzewa, w tym jego ukośnym locie w dół na tle nieba. Szum słyhać przecinający powietrze, potem trzask łamiących się o ziemię gałęzi i potem dopiero ciężko dudni nam grunt pod nogami. Stoimy z boku w przepisowej odległości. Dudnienie przemyka nam pod nogami i turla się dalej w las. I znowu gra piła, to ciszej, to głośniej, wchodząc w sosny–olbrzymki. Potem ten rozgłośny jęk, kiedy pęka, strzela ostatnia struna. Wysoka korona wtedy odchyła się leciutko w drugą stronę, nie w tę, w którą ma padać, potem prostuje się, wraca do pionu, do pionowej pozycji, sekundę, dwie, wszystko trwa jeszcze nieruchomo i powoli, niesamowicie powoli i dostojnie przechyla się wysoka korona, a na dole odziomek pnia jeszcze niby stoi prosto i szybko lecę z powrotem oczami do góry, na górze już coraz mocniej

przechyla się korona i coraz szybciej i już leci przyśpieszonym ukośnym lotem w dół na tle nieba, furczy powietrze przecinane z góry na dół; daleko, ale może w tej samej chwili, trafiony pociskiem samolot tak pikuje w dół albo: dawno, w innym czasie, ale może w tym samym miejscu, trafiony pociskiem samolot pikował w dół ukośnym lotem z czarną za sobą i rosnącą smugą dymu. Przysłowia są być może rzeczywiście mądrością narodów, kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie, atakowanego na pewno święte prawo się bronić, a ja cóż mogę na to, że taka właśnie, wojenna, jest historia dziejów i że takie też, wojenne, przychodzą mi do głowy z historii dziejów obrazy, przy pomocy których wynajduję, odkrywam sposoby łączenia odległych czasów i rozległych przestrzeni.

Lecące drzewo tymczasem dosięgło ziemi, łamią się z trzaskiem grube konary, mniejsze i pomniejsze gałęzie, dudni leśna dominancja i kurz się wznosi od zgniłych, zmurszałych, rozsypujących się na proch sitowatych, tabacznym sęków. I znowu gra piła w rękach Nikodema, co ukończył kurs na pilarza i uczył się higieny pracy, i wie, że pilarz powinien pracować w kasku, ale on ma głowę za dużą, a za mały kask i ten go uciska. Nikodemowi piła teraz coś przestaje grać w pół drogi, w samym środku pnia. Pyka i gaśnie. Nikodem wysuwa ją ostrożnie z uwięzi, odchodzi kawałek na bok i coś tam zaczyna przy niej majstrować. Benzyna w baku jest, bo niedawno natankował. Pomajstrował, zakręca linkę i ostro szarpie.

Pyk, pyk, pyk i gaśnie. Jeszcze raz. I jeszcze raz. Teraz zapaliła. Nikodem wraca do ściętej do połowy sosny, ale jeszcze niezachwianie stojącej. Ale już nie. Stoi, ale już zachwianie stoi. Gajowy napiera na nią swoją tyką i już powoli, niezwykle powoli przechyla się wysoka korona i leci w dół, przyśpieszonym ukośnym na tle nieba lotem. Furczy, świszczę powietrze, ja teraz widzę w kinie pamięci siebie z tych młodszych czasów, z tego młodszego wieku planety, jak wywijam kijem ponad głową i krzyczę: Gdzie? Nawróć się! – do krowy, co lezie w szkodę, w saradelę na pole Wrońskiego, pół-chłopa, pół-filozofa, słyszę ten furkot, to świstanie powietrza ponad głową, bo wywijam kijem, ech, jak wywijam, ale nie rzucam go jeszcze, bo krowa może się nawrócić i nie będę musiał rzucać za nią kija, a potem lecieć po niego, szukać go w morzu saradeli. Ładny to jest obrazek: białowłosego pastuszek, krowa-krasula i zielone łąki. Dobrze, że i takie śliczne kolorowe obrazki kino pamięci czasami wyświecila, a nie same tylko mroczne ponure awanturniczo-psychologiczne sceny zbiorowe i samotnicze, jakby wyłącznie z takich składał się gzygzakowaty nasz żywot, co nie jest prawdą, jak wiadomo o tym chociażby dobrym wiatrem, które dlatego nazywają się dobre, że pędzą, zaganiają człowieka do dobrych ludzi. Ale ona, pamięć, i zauważyłem, że nie tylko moja, ma jakąś dziwną słabość, dziwną skłonność, krwiożerczą jakąś predylekcję do zapamiętywania, do drobiazgowego filmowania tych właśnie ponurych scen, smutnych, ciężkich, bardzo ciężkich, ciemnych,

niewdzięcznych, to znaczy w czasie których nie rodzi się uczucie wdzięczności, lecz uczucie mściwości, zemsty straszliwej. Tak to jest. Nawet pamięć jest niesprawiedliwa w tym zapamiętywaniu złego, a zapomnieniu dobrego. W tym swoim zapamiętaniu i zapomnieniu.

Leśniczy odszedł i chodzi po zrębie, przełaząc przez leżące kłody poległych drzew. Rozmawia ze swoimi robotnikami. Coś tam tłumaczy i pokazuje ręką. Przewieszona przez ramię dynda mu fuzja. „Biorę zawsze flintę, bo a nuż coś wyskoczy na strzał” – powiedział mi, kiedy szliśmy na zrąb. „No i kłusownicy. Będzie dwa lata, zabili gajowego z Czerniawy. Sąsiednia wieś, ale już nie nasze nadleśnictwo. I przez te dwa lata teraz był spokój. Bali się. Ale teraz znowu podnoszą głowy. Parę razy już słyszałem strzały w lesie. Nie strzelali moi gajowi, bo ich pytałem. Myśliwi też nie, bo o wszystkich polowaniach na moim rewirze i w okolicy ja wiem. O, z kłusownikami to nie ma żartów. Natrafią daleko w lesie na kogoś z naszych, ze służby, ale i niekoniecznie ze służby, to zastrzelą człowieka jak psa. Ze strachu. Żeby nie być rozpoznanym. Bo są bardzo duże kary na kłusowników.”

Gra piła w rękach Nikodema, sosny padają, rozrasta się w środku lasu zrębu polana zavalona gęsto wielkimi poległymi drzewami. O poległym dwa lata temu gajowym z Czerniawy nie zapominam. Teraz, kiedy wiem, już nie zapomnę. Wszyscy mogą o nim zapomnieć, przyjaciele, rodzina, żona, dzieci jego. Ja nie zapomnę. Bo taką mam pamięć. Straszliwą. O tobie też, suka twoja mać, nie

zapomniałem, choć czwarty rok już minął, jak mi wykręciłeś ten paskudny numer, jak mi założyłeś pętlę i tyle cię widziałem. Zniknąłeś po tym jak kamfora, ale ja cię odszukam. Zdobyłem parę twoich danych osobistych i w końcu cię dopadnę. Czas pracuje dla mnie jak maszyna ruletki pracuje dla bankiera. O, słodki to będzie dzień. Serce mi bije na myśl o tym.

Stukają, bębnią rozgłośnie siekiery, ktoś tam ostrzy swoją rąbalnicę, zgrzyta pilnik zdzierany o stal, z rozrzuconych tu i tam po całym zrębie ognisk biją w górę i z trzaskiem jęzory ognia, to kłęby dymu buchają, zanim strzeli płomień, dym jest brunatny od zimozielonego igliwia albo niebieskawy, idzie prosto wzwyż, bo nie ma wiatru i słońce właśnie spoza ciemnej ściany lasu wychodzi na widok nad widoki. Jest dzień, nie da się ukryć. Nowy dzień. Kiedy człowiek się smuci, nie chce, żeby zaraz wszyscy też się smucili. Wcale nie. Chce tylko, żeby go nie wciągano do rozbawionego wesołego korowodu, żeby mu dano spokój, pozwolono odejść, usunąć się na stronę, w cień głęboki, do klasztornych zakamarków cienia. Ale kiedy człowiek się cieszy, to wtedy chce, żeby wszyscy się cieszyli. Tak to jest i czy jest w tym coś złego? Tak ja się cieszyłem nowym dniem, którego czułem namacalnie na oczach, na powiekach, na rękach, na całej skórze, na piersiach i z tyłu na plecach pod koszulą, swetrem, bluzą i kapotą, bo grubo byłem ubrany, kupę łachów na sobie miałem. Zima. Więc cieszyłem się nowym dniem, którego czułem spontanicznie i namacalnie

na całej skórze, tak jakby mrówki wszędzie po mnie łąziły, ale nie gryząc mnie, tylko przebierając mnogimi nóżkami i to było przyjemne, przyjemnie łaskoczące i nie mogłem się doczekać, kiedy Nikodem skończy spuszczenie drzew, żebym mógł się zabrać do roboty. Cieszyłem się nowym dniem i chciałem, żeby wszyscy tak jak ja się cieszyli, bo kiedy człowiek się smuci, nie chce, żeby wszyscy się smucili, wcale nie, ale kiedy człowiek cieszy się, to wtedy chce, żeby wszyscy się cieszyli i czy jest w tym coś złego?

Nowy dzień, Santa Polonia, a ilu znam i nie znam, w życiu Których już od wielu dni i tygodni, od wielu tygodni i miesięcy od wielu miesięcy i długich lat – nie było nowego dnia. Wstają rano i nie bije im mocniej serce, nie rośnie im dusza, nie śpiewa krew, nie swędzą stopy, a nogi ich nie grzebią ziemi niecierpliwie jak konie przed galopem, nie trzepocą im na plecach niewidzialne z przezroczystych piór skrzydła, „skrzydła teopais, o, skrzydła”, nie błyszczą im oczy, nie biją powieki, nie widzą albo nie chcą widzieć naocznego dziejącego się cudu, nie. wyciągają przed siebie ręki, nie poruszają palcami i nie ogarnia ich na ten widok, na widok poruszających się u rąk palców, niewymowne wstrząsające wzruszenie. Wstają rano i dzień, który z nimi wstał, to nie jest dla nich nowy dzień, ale ciągle ten sam dzień wczorajszy i przedwczorajszy i zaprzędwczorajszy, zaprzeszły dzień ciągnący się, wlokący się już od wielu tygodni, miesięcy i długich lat, ginący w przeszłej minionej oddali czasu. Nie było dla nich nowego dnia już

długo–długo, dawno–dawno, i to jest straszliwie niebezpieczne, bo do tego można się przyzwyczaić i oni mogą już wcale nie pragnąć, wcale nie tęsknić za nowym dniem, a bez tego, bez tęsknoty, może już do nich nigdy nie przyjść nowy dzień. Nigdy. Jeden jedyny może ostatni dzień, dzień śmierci ich, może być dla nich nowym dniem, ale muszą o tym wcześniej wiedzieć, przeczuć muszą swoją śmierć na jeden przynajmniej dzień, „czuję, że jutro umrę”, i wtedy to, wtedy to obudzą się następnego dnia rano z przedostatniego snu i poczują wreszcie, że to jest nowy dzień, ale to już będzie niestety ostatni raz, że spotka ich to szczęście, ten cud, o którym zapomnieli, że istnieje, że jest coś takiego, takie codzienne fenomenalne zjawisko jak nowy dzień, teraz dopiero sobie o nim przypomnieli, szkoda że tak późno, lepiej chyba żeby w ogóle ich to nie spotkało, bo doznawszy tego szczęścia żyć nagle na nowo zapragną, umierać nagle nie zechcą, tylko żyć dalej w nowych co dzień dniach, ale za późno, za późno, nie ma już sił, nie ma zdrowia, nie ma życia, kończy się życie i leży na łóżku pani Sobolewska, wysoko pod głową poduszki, rano jest, nowy dzień, słoneczny był to dzień, pamiętam dobrze, w przesłonięte firankami okno bił blask tych promieni:

– Jakie ładne światło na dworze – wymówiła cicho pani Sobolewska.

– Nie rozpraszaaj się, córko – powiedział ksiądz, co właśnie skończył był ją spowiadać.

O, kwitnąca rekonstrukcjo wymarłego kwiatu



beneditta, ilu znałem i nie znałem, którzy martwym życiem żyli i to była ich wina, albo nie była ich wina, bo stracili, utracili to, co mieli na świecie najdroższego: żonę najukochańszą, męża najukochańszego, przyjaciela najmilszego, przyjaciółkę najmilszą, matkę, ojca, braci, siostry i jak tu żywym życiem żyć? Czym oddychać? Inni jeszcze sami siebie potracili, popalili się na popiół, pogubili sensu wątlą nic, posmutnieli na zawsze, powariowali na dalszą metę. O, Santa Polonia, nikt nigdy nie odkupi, nie cofnie tych, co już były, ludzkich nieszczęść i krzywd: ani Międzynarodowy Czerwony Krzyż, ani Unesco, ani żaden Zbawiciel. Nikt nigdy nie cofnie, mówię, tych, co już były, ludzkich nieszczęść i krzywd, od których aż trzeszcza, aż pękają w szwach panoramiczne ekrany powietrza. Aż za ramy się to czasami wylewa i wtedy się to widzi, i wtedy się to słyszy: skargi, jęki, zawodzenia, płacz, szloch, wycie i dudnienie ziemi od padających na nią rannych i trupów.

– Wystarczy – krzyknął leśniczy i Nikodem zgasił piłę.

– Wystarczy – i ja powiedziałem pół do siebie i pół do bogów rządzących losami rodzaju.

Tak jest, bogowie. Wystarczy tych nieszczęść. Bądźcie bogami, o bogowie. Bądźcie bogami, mówię, a nie nędznym pomiotem śmierdzących skunksów.

Nikodem skończył spuszczenie drzew i wrócił do roboty na swoją działkę. Teraz na mnie przyszła kolej. Zdjąłem kapotę i bluzę, powiesiłem je i chlebak na

sterczącej gałęzi i wziąłem za siekierę. Leśniczy, zanim poszedł z gajowym, popatrzył trochę, jak mi idzie, i udzielił paru uwag: sęki i gałęzie ścinać przy samej szyjce, bo inaczej, potem przy korowaniu, wszystko wyjdzie na wierzch; grubsze gałęzie i kneblówkę oczyścić, składać na kupy i potem ułożyć ładnie w kubikach: mniejsze gałęzie i gałązeczki, cały ten drobiazg – spalić! Jak przyjdzie do zdawania drzewa, żeby czysto było na działce.

Rąbałem zawzięcie, ciachałem, dziabałem w lewo i w prawo, z góry, z dołu i z boku, machałem, wywijałem siekierą i nie” myślałem o niczym. Dzięki ci, Lete, Letycjo, za ten łyk zapomnienia. I nie zapominaj o mnie w dalszym ciągu, w dalszym toku, w dalszym biegu. Od czasu do czasu prostowałem się w krzyżu, żeby odsapnąć. Odsapnąwszy chwilkę, rzucałem się znowu na sterczące sęki, zaczynając od początku, od odziomka i tak idąc wzdłuż pnia do końca drzewa, do rozgałęzionej korony, gdzie oczywiście było najwięcej dziabania. Ciasno tam było, gęstwina, morze konarów i gałęzi, bo pomieszane ze sobą korony dwóch, trzech, czterech obok siebie poległych drzew, mętlik zupełny, rachatlukum and opuncja, jak mówi Jaśkoluby, przechodziłem od korony jednego drzewa do korony drugiego drzewa, żeby zrąbać ten konar, który akurat przygniatał konar z korony pierwszego drzewa; czasami było tak, że ten konar z korony drugiego drzewa, który przygniatał konar z korony pierwszego drzewa, przygnięciony był konarem z korony trzeciego obok

ległego drzewa i szedłem tam do trzeciego drzewa, włąziłem tam w koronę i szukałem jakiejś możliwej pozycji do zrąbania tego konaru, który, kiedy go zrąbałem, okazywał się nie tym wcale, o który mi chodziło, to znaczy tym, który przygniatał konar z korony drugiego drzewa, który to konar z kolei przygniatał konar z korony pierwszego drzewa, mętlik, zupełny, paranoja, schizofrenia i co kto chce, więc szukam, który to jest ten zawalidroga, widzę go, zaraz go zrąbię, ale najpierw muszę ten ścięty konar wytaskać, wywlec z gąszczu na wolny teren, żeby tam w koronie trochę luzu zrobić, żeby się można było jakoś tam obracać, wyciągam więc ten ścięty konar na wolny teren, odkładam ciężką rąbalnicę i sięgam zza pasa po mój prywatny krótki lekki toporek i dziabię, czyszcze konar z gałęzi, gałązek i gałązeczek, z tego całego drobiazgu, na zrębie ogólna stukanina, ogólna siekierzada z towarzyszeniem gzyngzających pilników, z ognisk bucha dym, trzaska płonące zimozielone igliwie, syczy żywica, przelatujący nad zrębem jastrząb krzyczy ostrym mewim piskiem, gdzieś z drugiej strony kuka zazula i cisza jednocześnie nam panująca, wielka cisza lasu niezależna od tych wszystkich dźwięków, pani udzielna, kniazini na lesistych włościach.

– Hej, panie. Niese panu żar – krzyknął człowiek, który do mnie szedł, trzymając w rękach kij, na drugim końcu którego przydrutowane było stare wiadro. Z wiadra dymiło się.

– Nagotuj pan trochę suchego drzewa. Nałamałem

szybko suchych gałązek, zebrałem parę ta-baczących sęków i złożyłem na kupkę.

– Daj pan tu trochę bliżej. Tu lepsze miejsce.

Przeniosłem kupkę tam, gdzie chciał, on tam odgarnął nogą śnieg, ja tam złożyłem dREWKA i on na to wysypał z wiadra czerwony dymiący żar. Po czym odrzucił na ziemię czerpak i przywitaliśmy się.

– Dzień dobry. Selpka jestem.

– Dzień dobry. Pradera. Janek Pradera – przedstawiłem się.

Poczęstowałem człowieka papierosem i sam zapaliłem, bo w ogóle zapomniałem o paleniu w tym zapale roboty.

– To pan ten nowy – powiedział Selpka.

– Tak. A pan tu stały?

– My wszyscy tu stałe robotniki. Obcych na razie nie ma. Ale przyjadą jeszcze, przyjadą. Było trzech z łódzkiego, ale pojechali na Święta i na Nowy Rok do domu i coś wygląda, że nie widzi im się wrócić z powrotem. Pisali, że tam u nich ciężka zima, to i tu u nas tak samo, pisali. A pan z jakich stron?

– Z północy. Z bydgoskiego.

– Nie ma tam u was roboty?

– Jest, ale wie pan, stamtąd jeżdżą tu, stąd jeżdżą tam i tak to jest.

– Tak to jest. My przed wojną jeździli z ojcem na drynierke. Kawał drogi nieraz. Jak dobrze szło, to zarabialimy cztery, pięć złotych na dniówkę.

– To kupa pieniędzy była na tamte czasy.

– Kupa pieniędzy, panie. Sto złotych kosztowała wówczas krowa. Tak rozmawiając, zbierałem co suchsze i dokładałem do ognia. On mi pomagał w tym. Kiedy się dobrze rozpałiło, zaczęliśmy ładować w ogień, jak leci. Całe zielone gałęzie.

– Ale tu na ścinie pieniędzy pan nie zarobi – powiedział Selpka.

– Na kieliszek chleba chyba zarobię – mówię.

– A, jak tylko na kieliszek chleba, to tak. Przygadać sobie –jeszcze jakąś kobitę i dobrze będzie. A przyjdzie wiosna, będzie jeszcze lepiej.

– Z kobitami to ja tu wolę nie zaczynać. Żeby mnie jakiś narzeczony nie przetrącił – powiedziałem. Bo co miałem Selpce czy komukolwiek na świecie tłumaczyć, że moje oczy widzą już tylko jedną kobietę i jej, tylko jej, chcę być u nogi wiernym psem.

– To rozejrzeć się powoli, zobaczyć, która kobyła chodzi w parze, a która luzem się szwenda i hop. Bo nie ma co darmo w kieszeni nosić.

Nie odezwałem się na to, puściłem to mimo uszu, żeby go za bardzo nie rozpędzać w tej delikatnej materii.

– A niewypałów z wojny tu nie ma? – strzeliłem pytaniem, przechodząc do mniej delikatnej, a wręcz brutalnej materii.

– Nic nie słyhać ostatnio. Może gdzieniegdzie jeszcze są. Ale chyba ich już nie ma nigdzie. Ile tego może być?

– Są, panie, niestety są. Szkopy nam zostawili tego na

drugie tysiąc lat. Wie pan, co ja czytałem ostatnio?

– No?

– Że jakiś chłop w powiecie Krosno trzymał niewypał na podwórzu i używał go za kowadło.

– Nie do wiary. To nie może być.

– Może być, panie. Na własne oczy czytałem w gazecie.

– I co? Nie wybuchło? Nie rozerwało jego?

– Widać nie. Jakby go rozerwało, toby napisali. Zabrali mu chyba to jego kowadło i tyle. Ja bym chciał zobaczyć jego minę, jak się dowiedział, że to był niewypał.

– Za głowę się złapał i poleciał zaraz Matce Boskiej wielką gromnicę kupić. Co to się ludziom nie przytrafia na tym świecie. No idę, bo ja tu stoję, a tam robota leży. Zostawię panu wiadro do żaru. Rozpal pan sobie trochu dalej nowy ogień, żeby za daleko nie nosić gałęzi.

– Dobra jest. Wiadro potem do pana odnieść?

– Niech zostanie u pana. Będzie ktoś potrzebował, to będzie krzyczał. To pan wtedy krzyknie, że wiadro u pana jest. To wtedy on przyjdzie i weźmie sobie. Bo to jest wiadro ogólne: ono krąży.

– Latające wiadro – powiedziałem głośno do siebie, kiedy Selpka odszedł. – To już nie tylko latające talerze są, ale i latające wiadra. To dobrze. To dobrze.

W południe, kiedy południe nadeszło, kiedy słońce, słonko raczej, styczniowe słoneczko blade stanęło w najwyższym punkcie niskiego zimowego okręgu, niewysoko nad lasem, w południe więc – ustała na zrębie

pukanina. Przerwa obiadowa nastąpiła w siekierzadzie. Żeby machać siekierą, trzeba siły. Żeby mieć siłę, trzeba coś przekąsić, popić herbatą czy czarną kawą i chwilę potem odpocząć z papierosem w gębie. Tako rozsiedli się wszyscy blisko swoich ognisk, przytulił się każdy pod ciepły płaszcz powietrza, co nad ogniem i wokół niego wisiał rozpostarty i drgały, falowały, powiewały od gorąca jego poły. Tako i ja przeniosłem majdan w poblize ognia i przytuliłem się doń. Wyjąłem z chlebaka pajdy chleba przełożone słoniną, które sobie rano na kwaterze naszykowałem i zacząłem gryźć te dary boże, jak to się mówi, ale ile w tym prawdy. Popijałem herbatę, którą sobie też naszykowałem rano i przelałem do butelki po lemoniadzie z tym gumowo–sprężynowym zamykadłem. Wystygła całkiem. Zimna słodkawa barwionka się z niej zrobiła. Dobrze by było jakąś manierkę skombinować. Taką maniereczkę–termos. Żeby herbata ciepła była, żeby grzała gardło, żeby nawet parzyła i żeby po przełknięciu ta gorącz tam niżej się roznosiła: w piersiach zdyszanych.

I oto właśnie. Siedząc przy ogniu, gryząc i żując słoninę i chleb, popijając zimną herbatę, a potem wytarłszy dłonią usta i zapalając papierosa, paląc go namiętnie, o czym to ja dyszałem w tej południowej godzinie zimowego styczniowego dnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego któregoś tam roku? O czym to ja dyszałem więc? Nie o czym myślałem, ale o czym dyszałem. Wiec o czym? No, o czym? O czym wiec? Nie dam rady, znowu nie dam rady. Znowu szkoda moich

zwiewnych słów. Chciałbym opowiedzieć, o czym to ja dyszałem, bardzo chciałbym to sobie opowiedzieć, sobie i Gałązce Jabłoni mojej, zawsze i teraz absolutnie służy tobie emanuel delawarski, dla której żyłem zawsze i żyję i będę żył, dla której błędę, ale szukam, ale błędę, ale szukam i tyle już znalazłem dla niej, tyle odpowiedzi na jej pytania, a teraz dla niej dyszę. O czym? Nie pierwszy raz, setki razy zdarzyło mi się o tym dyszeć i setki razy to przemilczałem, musiałem przemilczeć, bo nie widziałem innej, niemilczącej, możliwości. Zaledwie że ostrożnie, delikatnie napomykałem o tym tu i ówdzie. Wtedy, kiedy nie wiedząc, jak opisać, jak nazwać jakiś mój stan, jakąś chwilę, moje w tej danej owej chwili uczucie, mówiłem: niewymowny, niewyraźna, niewypowiedziane. I nie po to tak mówiłem, że chciałem na tym poprzestać, ale dlatego, że musiałem na tym poprzestać. Bo brakowało mi słów. Nie miałem na to słów. Więc mogłem tylko o tym napomykać tak, jak i teraz to czynię, z tym, że nie tak delikatnie, ostrożnie, ale z jakąś taką nie znaną dotychczas zaciekłością. Ale na razie dość. Wrócę do tego, jak to się mówi, niebawem i z jeszcze większą, z jeszcze bardziej nie znaną zaciekłością. Na razie dość o tym.

Na zrębie po przerwie obiadowej znów rozbrzmiewała pukanina, a leśne echo niosło ją daleko i w krag, w gąszcza i ostępy, gdzie, jak mówi definicja, zalega zwierz|I ja wziąłem za swoją rąbalnicę i przyłączyłem się do chóru siekierzady. Z ognisk głośno gdakały w górę płomienie i buchał dym, i nie ma wątpliwości, że był w tym



wszystkim wielki niezaprzeczalny nie do obalenia zwany sens. Wszystko tu było w porządku. Wszystko tu było na swoim miejscu. Są ręce i jest drzewo. Długi, gruby pień sosny. Drzewo trzeba obciachać z sęków i konarów, a koronę odrąbać w tym miejscu, gdzie mniej więcej kończy się grubość pnia, a zaczyna wąskość. Do tego jest rąbalnica. Siekiera. Potem oczyszczony pień trzeba będzie okorować. Na czerwono, bez zdejmowania łyka. Do tego będzie skrobak. Korowaczka. Potem, kiedy leśniczy ze swoimi gajowymi wymierzą, co do czego, co na tartaczkę, co na sklejkę, co na kopalniak, czyli stropnicę, co na papierówkę, więc kiedy wymierzą i postawią znaki, gdzie trzeba ciąć, wtedy się będzie cięło. Do tego będzie piła. Do piły, kiedy się zapaćka żywicą, będzie nafta, żeby piłę wyczyścić. Więc to wszystko jest proste: są ręce, jest drzewo, są narzędzia.

Ale co z mgłą? Co robić z mgłą i jakie są do niej narzędzia? Siekiera przecież nie, bo w tej mgle zawisa. I wisi siekiera we mgle. O, mgła stawała mi przed oczami często, często—gęsto jak sześć razy sześć trzydzieści sześć. Wystarczyło mi na chwilę zapomnieć się, zawieruszyć się, a już mgła opadała mnie z góry, ale przeważnie z dołu wyrastała, z mchu, z trawy, z nagiej ziemi, jakby opoka, na której w danej chwili stałem, podziurawiona była cała jak sito, usiana cała dziurami i z tych dziur sączyła się w górę mgła, i stałem, i patrzyłem, jak nikną, toną mi w tej mgle stopy najpierw, płynąłem na chmurze, ale inaczej niż zazwyczaj, teraz zapadałem się, tonąłem w tej chmurze,

a nie chciałem tego, bałem się tego bardzo; więc stopy najpierw, potem do kostek przypadała mgła, do kolan i wyżej pięła się po mnie, już po pas byłem w niej zanurzony, we mgle we mgle, już po pierś, we mgle we mgle, wyrzucałem ręce do góry, jak to robi tonący, bo mgła już była na wysokości ust, pełne usta mgły, już na oczach ją miałem, pełne oczy mgły, tonęła głowa moja biedna, we mgle we mgle, a mgła jeszcze wyżej pięła się, po moich wyrzuconych w górę rękach, po łokciach do przegubów i do ostatnich wskazujących palców, co wskazujących? kogo wskazujących?, czułem jej dotyk, taki trochę wodny dotyk, łaskotanie takie jedwabiste, jakby się leciało, spadało w przepaść wypełnioną po brzegi jedwabiem, Jedwabny Szlak, Jedwabny Pionowy Szlak albo jakby się wnikało w kobiecość całą męską postacią, nogami, biodrami się tam wcisnąć, wsunąć, piersią, plecami, barkiem lewym, barkiem prawym, ramionami tam się precisnąć, prześliznąć, głową rozpaloną, płonąca jak żagiew, wszystko płonie, wszystko płonie, jakby się tam nurka dawało albo jakby się tam do niej jak do groty wchodziło, całą męską postacią, do pieczary, do jaskini wąskim ciemnym przesmykiem, tunelem, całą męską postacią, a tam potem wielkie sale, ech, cudne manowce, błyszczą, jaśniej wilgocią ściany, perli się wilgoć, pluskają krople, dalej inne wielkie sale, jeszcze większe, dalej ogromne puste dzikie naturalne stadiony, biec można, biec doszczętnie, skakać, hasać do utraty tchu, pot ze mnie spływa strugami, piękny miłosny pot, a z oczu łzy miłosne

zakochane, wszystko, co mam, jest w niej zakochane, dalej wielka jasność łuna bije, biegnę tam brzegiem dzikiej rwącej czerwonej rzeki, ech, cudne manowce, to serce jest, słońce, serce słońca, słońce serca miłości mojej młodopolskiej i staropolskiej, starodawnej, starożytnej, przedpotopowej i popotopowej, awangardowej, futurystycznej, realistycznej i nadrealistycznej, surrealistycznej i wiekowej, milenijnej, wiecznej, wieczystej miłości mojej do ciebie. Ale mgła. Co z mgłą? Co we mgle we mgle? We mgle mojej tak nie było jak w miłości mojej. Nie było wielkich jasnych sal, nie było ogromnych pustych dzikich naturalnych stadionów, po których hasać można, biec doszczętnie, do utraty tchu, a piękny miłosny zakochany ścieka po mnie strugami pot, a z oczu łzy miłości zakochane i słoność ta słynna miłosna zakochana, nie było rwących czerwonych i różowych i niebieskich i zielonych potoków, nie było tego wszystkiego, tysiące staj ogromnych kosmicznych zakochanych przestrzeni, tysiące wiorst i tysiące przytulnych zakątków, zakamarków z tym łagodnym słynnym światłem, labiryntów miłosnych półmrocznych, na końcu których zawsze pulsuje gwiazda serca słoneczna nieomylna, drogę wskazując. Nie było tego wszystkiego. Mgła moja miała tylko ten jedwabisty dotyk, ale jednak nie był to ten sam, co miłosny dotyk. Nie było w nim miłości właśnie. To był dotyk sterylny, dotyk dla dotyku, tak, jak jest sztuka dla sztuki, jałowo bez miłości żywej i najmądrzejszej. Mgła moja przeklęta to było tak, jak się

wychodzi ze światła w noc ciemną głuchą i nieludzką, gdzie ani pies nie szczeknie, ani zatrekuje głuszcę, ani zabełbota cietrzew, ani zastruka dzik, ani nawet zawyje wilk; gdzie ani gra harmonia, ani trąbka, ani bębnią basy, ani nawet dzwoni gdzieś na trwogę dzwon. Więc coś takiego. Czyli nic. Poza tym moja mgła, która mnie nieraz napadała, była bez perspektywy i to było najsmutniejsze w tym wszystkim, najstraszliwsze. Bo żeby to do czegoś prowadziło, to jeszcze. Dużo można wytrzymać, wiele można znieść, gdy się coś widzi w perspektywie, kiedy coś tam błyszczy w dali. Tak na przykład oczy czyjeś wielkie bursztynowe, zawsze i teraz absolutnie służy tobie emanuel delawarski. Tak na przykład wolności świętojański robaczek. I tak na przykład setki lat wojowaliśmy Polacy. Bóg świadkiem i wróg świadkiem.

Ale mgła. Ta mgła moja. Do drzewa jest siekiera, na wroga jest lanca, na czołg butelka z benzyną, a jakie są narzędzia do mgły? Siekierą mgły się nie wyrąbie, korowaczką nie wykoruje, piłą nie przerznie, nie przepiłuje. Młotkiem się mgły nie wbije w ziemię, butelką z benzyną nie wysadzi z powietrza, lancą nie przedziurawi. Zwyczajna miotła, która jest często niezastąpionym narzędziem, też nie zda się na nic. Miotłą się mgły nie zmiecie. Tak więc nie ma narzędzi na mgłę. Tak więc pozostają gołe ręce, gołe pięści. I tak też boksujesz się z mgłą, walczysz z cieniem. Bijesz pięściami, gdzie popadnie, walisz na oślep, bo oczy masz pełne mgły i usta pełne mgły, i wszystko jest we mgle we mgle.

Nagle mgła ustąpiła. Jak było do przewidzenia, mógłby ktoś powiedzieć. Ja nie. Bo ja nie wiem. Ja nie wiem, czy to jest do przewidzenia. Ja nie mam tej pewności, że mgła ustąpi, zniknie mi z oczu, z ust i z całej mojej okolicy, uniesie się w górę albo zapadnie gdzieś w dół, Bóg raczy wiedzieć gdzie, jak to się mówi. Ja raczę wiedzieć, że ta moja mgła pojawia się wolno, powoli wyłania się na pierwszy plan, obejmując mnie jedwabnym, ale sterylnym, nie miłosnym, nie zakochanym dotykiem, a ustępuje nagle i całkowicie z zupełnie nie znanych mi powodów. Kiedyś, dawniej, miałem na nią sposoby: szczypałem się mocno w udo albo gryzłem się boleśnie w język, albo nadeptywałem sobie własnonożnie na odcisk, bo odciski miałem zawsze, od niepamiętnych czasów, urodziłem się chyba z odciskami na stopach, to był mój znak szczególny; więc szczypałem się mocno w udo albo gryzłem się boleśnie w język, albo nadeptywałem sobie niemniej boleśnie na odcisk – i mgła nagle zniknęła. Ale z czasem te sposoby przestały skutkować. Tak, jakby się uodporniła mgła na te sposoby. I już nie miałem na nią sposobów. Musiałem czekać, aż sama nagle zechce zniknąć. Mgła więc sama nagle zechciała zniknąć, zobaczyłem pod sobą gruby pień sosny z odbijającym od niego w bok konarem. Zawieszona przedtem we mgle siekiera spadła teraz w dół, uderzając w to miejsce, gdzie trzeba, i jeszcze raz, i jeszcze raz, bo to jest proste, Jak już mówiłem: są ręce, jest drzewo, jest siekiera i lecą drzazgi, i sypią się zrżyny.

Pięknie jest na świecie, kiedy ustąpi mgła i przeczyszcza się z niej oczy i przeczyszcza się z niej usta, i widać jest świat, i oddychać jest świat, i uwielbiać jest świat. Kogo mgła nie nachodzi, kogo nie osacza, kto się z mgłą nie boksuje, ten nie wie, co to jest: koniec stanu obłączenia. O, Gałązko Jabłoni i wy, straszliwe manowce. Pięknie było na świecie. Stanj – obernisja, chlanj – zadiwisja!

Do wieczora, do zmroku wcześniej o tej porze zapadającego rąbałem ostro i, jak mówią elektrycy, bez zakłóceń. Kolejna fala mgły tego dnia już mnie nie obiegła. Strzeżcie mnie, zorze miłe.

Tak więc do zmroku rąbałem ostro i, jak mówią elektrycy, bez zakłóceń. Kolejna fala mgły tego dnia już mnie nie napadła, a z chmury myśli wiecznie pętających się po głowie nie pozwoliłem, by którakolwiek mnie poraziła i powaliła na ziemię czy rzuciła na kolana, czy tak sparaliżowała mi mięśnie, żebym nie mógł pracować. Rąbiąc ostro, machając siekierą, góra – dół, góra – dół, żadnej myśli nie dałem szans, aby mnie zniewoliła lub zamieniła w pełzającego robaka czy skrzydlatego przedstawiciela ptaków. Muszę się trzymać. A w ogóle to muszę chyba trochę przyhamować. Dobrze by było. Straszliwie daleko zapędziłem się ostatnimi czasy na dzikie straszliwie dziewicze tereny. Naprawdę, mówię, dobrze by było trochę przyhamować chyba. Albo i nawet stanąć w miejscu na jakiś czas. Albo i nawet trochę cofnąć się do tyłu. Wstecz. Nazad. Żeby odpocząć trochę. Nabrać sił.

Nabrać powietrza dla próżni, która tam, próżnując, panuje. Gdzie tam? Tam. I potem dopiero ruszyć i pójść dalej. Pójść dalej i dojść dalej, niżli doszedłbym bez odpoczynku. Bo o to przecież idzie. O iście. O dojście jak najdalsze.

Tylko czy ja w tym moim ostatnio rozpędzie będąc, w tym moim pełnym biegu będąc, czy ja w ogóle mogę przyhamować i stanąć w miejscu, i cofnąć się trochę do tyłu? Czy to jest jeszcze możliwe, fizycznie możliwe, żebym ja mógł przyhamować i stanąć w miejscu? Czy też jest to już fizycznie niemożliwe i muszę biec doszczętnie. Trzeba się będzie nad tym zastanowić i przedsięwziąć jakieś kroki, jak to się mówi. Jakieś kroki nie w tym kierunku, w którym biegnę, ale oczywiście w przeciwnym. Odwrotnym. Bo naprawdę dobrze by było przyhamować, zatrzymać się i jakieś kroki wstecz przedsięwziąć. Żeby odpocząć. Żeby nabrać sił. Nabrać powietrza dla próżni, która tam panuje. Która tam próżnuje. Gdzie tam? Tam. Żeby dopiero potem ruszyć i pójść dalej. Pójść dalej i dojść dalej, niżli doszedłbym bez odpoczynku, bez nabrania sił. Bo o— to przecież chodzi. O dochodzenie, o dojście jak najdalsze. O wypełnienie próżni jak największe. Po co? O, wiele, wiele mam powodów, wiele, wiele mam na widoku celów i ten jeden cel, który najwięcej chciałbym osiągnąć, który jest mi najmilszy, najukochańszy, ten cel, żeby miłość moją czyli istotę, którą kocham, Gałązkę Jabłoni moją, osłonić nie tylko z tej strony, ale i z tamtej strony, ze strony straszliwej próżni tej. Zawsze i teraz absolutnie służy tobie emanuel delawarski. Dlatego tam się zapędzam,

daleko, daleko, i próżnię wypełniam, osłonę buduję, fortyfikacje, powietrzny mur stawiam, wydychając to powietrze, co w piersiach mam. A wdychając próżnię. Czyli nic.

Tu na zrębie było co wdychać. Było dużo, dużo powietrza i można było, z myślą o próżni, zachłannie wdychać je, zachłystywać się nim spieczonymi, popękanymi od bliskości ognia wargami. Ręce zaś miałem jak święta ziemia czarne i pokryte warstwą lepiącej się żywicy. Nie mogłem ich domyć wieczorem na kwaterze. Trzeba będzie kupić z pół litra nafty, która potrzebna będzie nie tylko do czyszczenia rąk z żywicy, zanim leśniczy skombinuje mi rękawice, ale i do styliska się lepi. Potem, przy korowaniu, do czyszczenia korowaczki będzie potrzebna nafta, potem, przy rżnięciu, do piły, między zęby której żywica będzie się wciskać jak żylaste mięso między zęby mięsożernych.

Więc nawet rąk nie domyłem, kiedy przyszedłem ze zrębu na kwaterę. Mówię „nawet”, bo miałem zrobić kupę rzeczy, wyprać chciałem chusteczki, onuce te po którymś z tych trzech z łódzkiego chciałem też wyprać, żeby je po wyschnięciu używać, bo własnych nie przywiozłem, nie pomyślałem o tym, duży błąd, a żadna z moich dwu koszul nie była jeszcze na tyle stara, na tyle onucowata, żeby ją na dwie onuce w miarę równo rozedrzeć. Przewietrzyć dobrze izbę też miałem, trochę drzewa chciałem narąbać w szopie, w piecu potem nahajcować, zjeść zwaną kolację, potem pograć sobie trochę na organkach, zaciągając się



papierosem między jedną a drugą melodią, między jednym a drugim kawałkiem, a potem, nie wiem dokładnie, ale może bym spróbował zastanowić się i rozwikłać, i uwolnić się od jednej chociażby z wielolicznych tysięcznych tajemnic, z tych, co to świdrują toń i zżerają mózg, od jednej chociażby uwolnić się, zgryźć i połknąć ją, miast ona mnie, albo właśnie odwrotnie, może bym zgasił światło i posiedział cichuteńko na krześle z nogami na drugim krześle i, patrząc na tańczące po ścianie błyski ognia przebijające przez te trzy słynne szparki w drzwiczkach pieca, może spróbowałbym o niczym, ale to o niczym, ale to zupełnie o niczym nie myśleć. Nużby się to udało. Nużby się to, jak to się mówi, Bogu spodobało.

Z tego wszystkiego nic nie zrobiłem. Kiedy umyłem ręce, których z żywicy i znoju nawet nie domyłem, usiadłem na krześle i zapaliłem papierosa, żeby się chwilkę zastanowić, od czego zacząć, do czego się najsamprzód zabrać, czy do prania, ale nie, bo trzeba przedtem nagrzać wody, czy do narąbania trochę drzewa i rozpalenia w piecu, czy do zjedzenia czegoś, czy do przewietrzenia izby, więc przysiadłem na chwilę, by zastanowić się nad tym i taka mnie nagle senność wielka opadła jakby jakaś znowu mgła, ale nie z dołu tym razem, lecz wyraźnie z góry, taka kapturowa mgła, że ledwie miałem siły i czas ściągnąć józwy, czyli gumki z nóg i przepocone skarpety, i bluzę ściągnąłem wielkim wysiłkiem woli, ale już z zamkniętymi oczami, ze spuszczonej ciężko

powiekami przywalonymi z góry kilkoma tonami mgły, wymacałem kontakt na ścianie, zgasilem światło i rzuciłem się na wyro. Pół śpiąc już, usiłowałem wysunąć spod siebie kołdrę i nakryć się nią. I wtedy to, pół śpiąc, może trzy czwarte śpiąc, ale jednak nie całkiem śpiąc, poczułem, że to nie ja, nie moja ręka, ani lewa, ni prawa, ale jakaś inna, trzecia ręka wysuwa spode mnie kołdrę i nakrywa mnie nią po szyję, a potem poczułem tę rękę na czole, jak pogłaskała mnie: raz i drugi raz.

Kiedy obudziłem się, rano było. Jasny dzień. Położyłem się wieczorem i obudziłem się rano. Co powiedziałem? Położyłem się wieczorem i obudziłem się rano. Tak powiedziałem. Ech, Gałązko Jabłoni, co ja widzę? Co ja tu widzę wprost olśniewająco? Położyłem się wieczorem i obudziłem się rano. ; Przecież to jest jedno z najpiękniejszych zdań świata, to jest olśniewające, to jest snop światła w same oczy, w same usta. Jak mogłem tego przedtem nie zauważyć? Ile razy wypowiedziałem to zwyczajne proste zdanie, nie zdając sobie sprawy, nie widząc, ślepy, że to jest przecież cud, opisanie cudu. Ślepy jestem ciągle, ciągle ślepy. Wydaje mi się, że mam tysiąc oczu, ale ile z tego jest zamkniętych i czeka na radosne migotliwe zachwytilwe otwarcie lub, Boże mój, na otwarcie ponure, przerażające, czernią oślepiające, bólem zabijające. Wydaje mi się, że widzę wszystko, całą nędzę i całą wielkość, a nie widzę często, że depczę po cudach moimi gumowcami. Milowymi gumowcami, ale po cudach

depczę. To jest przykre straszliwie. Smutne straszliwie to jest. I wstyd mi. Ale ja się poprawię.

Naprawdę nie mogę się nadziwić, jakie to piękne jest, jakie to opisanie cudu jest: położyłem się wieczorem i obudziłem się rano. Jasny dzień był. Spałem jak zwierzę zgonione, padłe ze zmęczenia od ucieczki przed pogonią. Spałem jak zabity, zapomniawszy o całym świecie. Nie spała mi tylko ta część mózgu, którą wyćwiczyłem przez długie lata w nieustannym czuwaniu. Chociaż nie jestem taki bardzo pewien, czy tej nocy także i ten strażnik nie popadł w sen, , ten cyklop z czerwonym gorejącym jednym okiem na czole. Nie wiem. Dawka mgły kapturowej była niesamowita: kilka ton. Nie jestem pewien, czy mój cyklop wytrzymał tę duszność. Jeśli nie wytrzymał, to byłem tej nocy absolutnie bezbronny, zdany na łaskę i niełaskę, i wszystko mogło mnie podejść. Mogłem nigdy się nie przebudzić i nic o tym nie wiedzieć. Mogłem wyparować, zniknąć, jakby mnie nigdy nie było. To byłby straszliwy, straszliwy pech.

I czy to nie jest cud: zwałem się z nóg wieczorem bez pamięci i obudziłem się rano. Zapadłem wieczorem w przepaść czarną bezdenną, w dół głębokości, a obudziłem się rano na kwaterze u Babci Oleńki, we wsi Bobrowice, gromada Hopla. Komu ja tę prostą sprawę, ten zwyczajny cud tak długo tłumaczę? Sobie nie.

Jasny dzień był zatem więc. Nałożyłem józwy, czyli gumowce, otworzyłem na oścież pojedyncze okna izby, bo okna były pojedyncze, gdyby się ktoś pytał, nie podwójne

z ochronną watą między szybami. Stojąc chwilę przy oknie, kilka wstrząsających szarpnęło mnie dreszczy. Zimno było. Wiadomo. Zostawiłem szeroko otwarte okno i poszedłem się umyć do dawnej kuchni, gdzie stała miska na blacie dawnego pieca, a przy ścianie wiadro z wodą, też dawną, pokrytą warstwą wiecznego kurzu. Wyszedłem na dwór, wylałem dawną wodę na zamarzną gnojówkę i naciągnąłem nowej wody ze studni, co w ogródku była. Kiedy kręciłem korbą, a linka nawijała się na wałek, pomyślało mi się zdrowo, nie jest ze mną tak źle, więc pomyślało mi się zdrowo, żeby się umyć tu, na dworze. Przy studni. I tak co dzień. Co rano. Chyba, żeby hulała zawieja albo sypał gęsto śnieg.

Skoczyłem po mydło i ręcznik, i szybko wróciłem. Wiadro z wodą odstawiłem trochę na bok, żeby nie nachlapać przy studni i nie robić przy niej ślizgawicy. Zdjąłem sweter i powiesiłem go na korbie, zakasałem wysoko rękawy koszuli, podwinałem kołnierz na szyi, pierś dzielną szeroko odsłoniłem, mocno, że tak powiem, rozdekoltowałem i zacząłem się myć nachylony nad wiadrem. Po chwilce wyprostowałem się, zdjąłem całkiem koszulę i znowu nachyliłem się nad wiadrem. Najpierw pochlapałem się wodą, woda lodowata była, potem namydliłem się, potem znowu się chlapałem, nacierając ostro skórę. Parskałem przy tym, ach, uch, tururum ła, brrr, prychałem rozgłośnie i inne wydawałem te słynne rytualne dźwięki przy ceremonii przepięknej mycia się porannego w zimnej lodowatej wodzie. Potem nabrałem powietrza,

wsadziłem morde, czy jak kto woli: oblicze, do wiadra i wypuściłem powietrze, tak jak się to robi, prychając ustami; powietrze bąbelkami wyskakiwało na powierzchnię, woda wychlapywała się z wiadra, potem wyprostowałem się i zacząłem się mocno wycierać ręcznikiem, parszcząc cały czas, achając, uchając, tururając i tak dalej, i tak dalej, i akurat przypomniało mi się fantastyczne i na zawołanie, sztuczne kichanie Zdzicha, szliśmy ulicą i ja mówiłem: kichnij no, Zdzichu, bo coś smutno, i Zdzich jak nie kichnie, to ludzie wychodzili na balkony, czasami ładne dziewczyny i „sto lat”, „sto lat” sypało się na nas z góry jak kwiatów deszcz, więc przypomniało mi się akurat to i do tego wszystkiego jeszcze śmiać się zacząłem, ech, Niagara, nic tylko w tych kaskadach zastygnąć.

Wytarłszy się do czerwoności, do purpurowości kardynalskiej, że aż skóra bolała, pogoniłem szybko do chałupy, założyłem koszulę, na to sweter, na to bluzę duglasówkę i zaszedłem do Babci Oleńki, żeby zrobić sobie gorącej herbaty i zjeść coś, bo głodny był ten, który to tutaj wyznaje. Na budziku stojącym bokiem na komodzie była, niech no się przypatrzę, za piętnaście dziewiąta.

– To już ta godzina? – mówię.

– Nie. Za piętnaście ósma gdzieś będzie. Może trochu dalej. On mnie coś markieruje ten budzik.

– Aha – ahnąłem.

– I tylko na boku on chodzi. Jak go postawić równo na

nogi, to zarutko przestaje tykać. Taki on już jest.

Zrobiłem sobie gorącej herbaty i przyniosłem prowiant. Otworzyłem puszkę, nakroiłem chleba i zabrałem się do jedzenia. Ranek był nowego dnia. Za oknem biało było i czarno ! było, gdzie nie leżał śnieg i czarno–biało, gdzie jedno z drugim przemieszane. Tu, w izbie, ciepło. W piecu trzaska ogień, przy piecu na łóżku siedzi Babcia Oleńka z rękami splecionymi na brzuchu, kiwając się lekko do przodu i do tyłu. Cichutko też jest. Muchy nie bzykają, bo nie ma much. Zima.

– Wczoraj zasnął jak kamień – odezwała się Babcia Oleńka. – Zmęczony był.

Kiwnąłem głową, bo miałem akurat pełną gębę śledzia w tomatnom sosie, więc nie mogłem otworzyć ust, boby mi ryba uciekła.

– O, tak. To prawda. W lesie robota ciężka – powiedziała Babcia Oleńka, jakby przyznając komuś rację.– A ja wczoraj poszła na pierzaczki. W dziesięć bab my darły i nadarły my jakieś pięć kilo.

– To dobra pierzyna – mówię.

– Duża pierzyna. Bo tak to cztery kilo wystarczy.

– Na poduszkę chyba dużo mniej trzeba?

– Na poduszkę tyle samo trzeba, co na pierzynę. Pierzyna większa, ale poduszka twardsza musi być. Ubita.

– Aha – achnąłem. – Nie myślałem, że tyle samo trzeba pierza na poduszkę, co na pierzynę. To jest dla mnie bardzo ważna wiadomość. Dużej wagi.

Podjadłem sobie, wypilem drugą herbatę i jeszcze

zrobiłem sobie herbaty i przelałem do butelki po lemoniadzie, naszykowałem sobie też pajdy chleba ze słoniną, – posoliłem, zawinałem to we wczorajszą tubylczą zieloną gazetę i władowałem do chlebaka. Dałem Babci Oleńce sto złotych i poprosiłem, żeby mi coś kupiła, jak będzie szła do sklepu; dzisiaj środa, to przywożą mięso i wędlinę, powiedziała Babcia Oleńka, to się dobrze składa, mówię, niech Babcia Oleńka kupi mi jakąś wędlinę, jakąbyniebądź, może być salceson albo kaszanka, albo może zwyczajna kiełbasa będzie po czterdzieści cztery, a najlepiej leberka, jakby była, ile?, a ze ćwierć kilo, cukru z pół kilo albo od razu całe kilo, żeby dwa razy nie dźwigać, aha, i pół litra nafty niech mi Babcia Oleńka kupi, może boczek wędzony będzie, to ze ćwierć kilo też niech kupi, herbaty z dziesięć małych paczek, Ulung, po dwa osiemdziesiąt, to będzie równo dwadzieścia osiem złotych, a jak będą duże paczki to cztery, po siedem złotych są te duże, to cztery razy siedem też wychodzi dwadzieścia osiem; jak nie starczy pieniędzy? jak nie starczy pieniędzy, to niech Babcia Oleńka dołoży ze swoich i potem mi powie, ile, albo niech tak wy cyrklu je, żeby nie przeskoczyło sto złotych. To dziękuję. Poszedłem do siebie i zamknąłem okna. Jeden róg kołdry z mojego łóżka walał się po podłodze. Podszedłem tam i takim jednym zamaszystym ruchem zarzuciłem kołdrę na całą długość łóżka, żeby się nie walała po podłodze i wtedy, wtedy to przypomniało mi się to wczorajsze wczesnowieczorne najmilsze uczucie, że jakaś ręka, nie moja, nakryła mnie

kołdrą i pogłaskała po czole, raz i drugi raz: dwa razy.

– Ja weszła o siódmej, jak wychodziła na pierzaczki, to był nakryty aż pod brodę i spał jak kamień – powiedziała Babcia Oleńka, kiedy przed wyjściem zajrzałem jeszcze raz do niej i delikatnie, trochę okrężnymi pytaniami, spróbowałem dowiedzieć się, czy zachodziła do mnie wczoraj wieczorem i czy nie zrzuciłem kołdry na podłogę przez sen i czy ona może wtedy nie przykryła mnie.

– Ja weszła o siódmej, jak wychodziła na pierzaczki, to był nakryty aż po brodę i spał jak kamień – powiedziała Babcia Oleńka.

Wyszedłem ze stancy, zamknąłem za sobą furtkę na podwórze, ach furtki, furtki na podwórza, i poszedłem w prawo, na lekko południowy zachód, drogą do lasu. Szedłem szybko, ale nie za szybko, z jakimś takim dziwnym uczuciem, że ktoś na mnie patrzy, czyjeś oczy mnie prowadzą, ale nie są to oczy szpicla, lecz nie znanego mi przyjaciela, towarzysza manowców. Nie przewodnika, lecz towarzysza manowców. I trochę też opiekuna. Coś jak ariergarda. Niewymownej tkliwości to dla mnie uczucie, dla mnie, który zawsze, zawsze i wszędzie czułem się czymś zagrożony albo przynajmniej niepokojony i dlatego najbardziej żywe we mnie było zawsze i wszędzie czuwanie, ten stan wiecznie płonącego ognia, ten stan wiecznego napięcia jak u dzikiego zwierza, ta niepokojność, to rozbieganie oczu, to nasłuchiwanie straszliwe nocnych szmerów, to wstrzymywanie oddechu mordercze, ten strach mój ludzki i nieludzki przed czymś,



wiadomo przed czym i niewiadomo przed czym, to czuwanie moje, wieczny ogień, wiecznie zapalona lampka, wiecznie płonąca w głowie żagiew, to spanie moje zawsze na plecach, nigdy na boku, żeby sobie ucha nie zatykać, to spanie moje zawsze w ubraniu, żeby być w pogotowiu, lub w pół ubraniu, nigdy w zwanej piżamie, w czymś takim ja już spać nie mogłem, nie mogłem zasnąć, o tym samym tylko można by napisać epopeję, Nową Odyseję, o tym głupstewku, o tym szczegółliku, o tej bagatelce, że w zwanej piżamie ja już nie mogłem spać, więc to czuwanie moje, ta bezsenność, ta część mózgu nigdy nie śpiąca, wyćwiczona w czuwaniu, w bezsenności, ten cyklop w mojej głowie z czerwonym wiecznie płonącym jednym okiem na czole, który wszakże nie jestem pewien czy tej nocy i on nie popadł w sen przepastny, nie jestem pewien, czy wytrzymał tę duszność kilku ton mgły kapturowej, co wczoraj spadła, zwała się na mnie, ale może właśnie dlatego zasnął, dlatego sobie na to pozwolił, że była przy nas słynna ze swojej legendarnej dobroci... Niewidzialna Ręka. Kiedy próbowałem wywiedzieć się od Babci Oleńki, czy to ona mnie wczoraj nakryła kołdrą, to z jednej strony chciałem, żeby mi powiedziała, że to właśnie ona, a z drugiej strony dużo bardziej chciałem, dużo dużo bardziej, żeby mi powiedziała Babcia Oleńka, że to nie była ona. Któż nie tęskni za tym, żeby być dotkniętym, żeby być muśniętym przez Niewidzialną Rękę?

Doszedłem do końca wsi i skręciłem w lewo na ledwie

widoczną pod śniegiem ścieżkę, co wiodła gzygzakami przez pola. O istnieniu Niewidzialnej Ręki i o jej słynnej legendarnej dobroci słyszałem już od dawna. Andrzej Poznański dużo mi o niej ongiś opowiadał, a ja go słuchałem w pełnym ciekawości milczeniu. Więc mówił mi Andrzej Poznański, że raz na przykład wyszedł z domu i nie miał grosza przy duszy, głodny był, chciał coś zjeść, miał dwa wykruszone papierosy w kieszeni, zjadł jednego, to znaczy wypalił, ale to tylko spotęgowało to słynne ssanie w żołądku, więc szedł i patrzył w ziemię, szukając pieniędzy, bo wiedział, że znajdzie. Jak mógł wiedzieć, że znajdzie? – zapyta pan Lilek. Nie przerywaj pan, panie Lilek. Siedź pan cicho. Wiedział. Czy to nie jest jasne? Andrzej Poznański opowiadał dalej, że ze wzrokiem wlepionym w ziemię doszedł do parku. Kiedy zobaczył, że stoi przed bramą parkową, wszedł do parku. To jest też bardzo jasne. Jasne też, że brama parkowa była otwarta. Inaczej by nie wszedł, tylko by przelazł przez bramę lub szukał dziury w ogrodzeniu. Wygiętych prętów. Tego w ogrodzeniach parkowych nigdy nie brak. Zwłaszcza, jeżeli w pobliżu parku jest Szkoła Pielęgniarek z internatem na miejscu, jak to przeważnie bywa. Wtedy to długo po godzinie siedzą w parku gołąbki. Stróż parkowy gwizdże na gwizdku albo bije w gong, że się zamyka bramę, ale kto go tam słucha, starego. A stary nie ma już tych młodych nóg, żeby złazić cały park i wypłoszyć z niego młodzieżówkę. Fuzji też nie ma, jak gajowy w lesie. Gdyby miał fuzję, miałby większy mir. Mógłby

postrzelać w górę na postrach. A tak to co? Stary swoje, młodzieżówka swoje. Stary zamyka bramę, a tam pod pergolami młodzieżówka migdali się jak talala. Potem trzeba jednak z parku wyjść. Dziewczyny muszą być w internacie na wieczornym apelu. Albo nie muszą. W każdym razie trzeba z parku wyjść. Więc chłopcy wyginają pręty, Co za okazja dla młodzieńca wykazać się przed lubą swoją siłą.

Sam wygiąłem sporo prętów u parkowych ogrodzeń w licznych miastach naszej pięknej krainy. Z tym że ja nie żeby wykazać się moją siłą przed Zośką, Jadźką czy Bronką to robiłem. Po prostu siedziałem na ławce i zasnąłem. Sen mnie zmorzył. Jako że cicho było, śpiewały ptaszki, a ja byłem, jak zwykle, straszliwie, śmiertelnie zmęczony.

Ale wróćmy do Andrzeja Poznańskiego. Nie traćmy go z oczu. Więc brama parkowa była otwarta, rano było i Poznański wszedł do parku bez przeszkód i legalnie. Wszedł i zaczął chodzić, zaczął przemierzać szerokie parkowe aleje i te wąskie zaułki, gdzie sadowią się zakochane lub pożądamy się pary, „żadne dziewczyn chłopaki, żadne chłopaków dziewczyny”, na ławkach przyciągniętych z niewygodnych nazbyt odsłoniętych, nazbyt na widoku miejsc. Andrzej Poznański zmęczył się chodzeniem, także wyteżaniem wzroku i na jednej z tych ławek przysiadł, żeby odpocząć. Wtedy to zaczął jeść drugiego papierosa, to znaczy zapalił go, choć wiedział, jak wie każdy, kto był głodny i miał do jedzenia jedynie

papierosy, że jedząc papierosy, to znaczy paląc je, do tego słynnego ssania w żołądku od głodu dojdzie to słynne ssanie nikotyny, ale wiemy my, którzy znamy głód, że palonego papierosa dym wypuszczany głodnymi ustami i śledzony głodnymi oczami przybiera kształty niebiańskie i smakowite i to jest ta piękność silniejsza od rozumu, bo piękniejsza.

Ale gdzie jest Niewidzialna Ręka? Gdzie pieniądze? Chwileczka, panie Lilek. Chwila muzyki, panie Lilek. Zaraz pieniądze będą. Zaraz się znajdą. Andrzej Poznański opowiadał dalej, że siedząc na ławce wypalił tego drugiego i ostatniego papierosa, i wyrzucił niedopałek półkolem za siebie. Po chwili wstał i poszedł tam, gdzie wyrzucił niedopałek i tam właśnie, przy tłącym się jeszcze niedopałku leżała na ziemi zwana „żaba”, czyli zielony pięćdziesięciozłotowy banknot. W tym miejscu opowieść Andrzeja Poznańskiego jest trochę niejasna. W tym miejscu można by zapytać: dlaczego Andrzej Poznański poszedł w tym kierunku, w którym wyrzucił niedopałek? To, że wiedział, iż znajdzie tego dnia pieniądze, to mógł wiedzieć. To jest jasne. Ale tego, w którym dokładnie miejscu je znajdzie, tego nie mógł wiedzieć. To znaczy, nie wiem, może mógł również i to wiedzieć, ale w tym wypadku nie wiedział. Nie wiedział, bo wychodząc z domu nie poszedł prosto bez gzygzaków do tego miejsca w parku, gdzie leżało pięćdziesiąt złotych, tylko cały czas szukał ze wzrokiem wlepionym w ziemię, krążył, węszył, zawracał, skręcał w lewo, skręcał w prawo i tak dalej, i tak

dalej. Tak więc Poznański nie wiedział, gdzie, w którym miejscu leżą pieniądze. Dlaczego, zatem więc, poszedł w tym kierunku, w którym wyrzucił niedopałek i gdzie właśnie leżał na ziemi, obok tłącego się jeszcze niedopałka, zielony banknot? Otóż to. W tym miejscu, jak już mówiłem, opowieść Poznańskiego jest trochę niejasna. Poznański nie powiedział mi, dlaczego poszedł za niedopałkiem, nie wyjaśnił mi tego, a ja go nie zapytałem, nie poprosiłem o wyjaśnienie w tym względzie, nie wiem już teraz, nie pomnę, czy uszło to mojej uwagi, czy też nie uszło i tylko nie chciałem mu w pierwszej chwili przerywać toku opowieści, a potem zapomniałem, wyleciało mi z głowy albo uznałem to za szczegół nieważny w obliczu końcowego mojego zachwycenia. Nie wiem. Nie pomnę.

Teraz, kiedy przypominam sobie opowieść Andrzeja Poznańskiego, ten szczegół jednak mnie frapuje. Jest to jedyny niejasny punkt w tej jego arcyjasnej, arcylogicznej opowieści. Dlaczego Andrzej Poznański, wyrzuciwszy półkolem za siebie niedopałek papierosa, po krótkiej chwili wstał z ławki i poszedł za nim? To mnie teraz bardzo jednak frapuje. Byłem teraz na połowie drogi między wsią a leśniczówką, na samym środku białego pokrytego śniegiem pola. Dmuchał tu na tej wolnej domenie lekki solanus – wschodni wiatr lekki, ale bardzo mroźny, kłujący twarz lodowymi igiełkami, czułem wyraźnie jego kłucie, tysiące innych rzeczy czułem i czułem poza tym wszystkim, na prawym biodrze, o które obijał mi się

w marszu chlebak, resztki ciepła stygnącej błyskawicznie w butelce herbaty.

Nagle olśniło mnie. Tak to można nazwać. Znalazłem wyjaśnienie, dlaczego Andrzej Poznański, wyrzuciwszy niedopałek papierosa, po krótkiej chwili podniósł się z ławki i poszedł za nim. Wyjaśnienie proste i jedyne. Nie widzę innego. Mnie w każdym razie ono absolutnie zadowala, a nie byle co mnie zadowala. Oto Poznański półkolistym ruchem wyrzucił za siebie niedopałek papierosa. Po krótkiej chwili, kilka sekund, podnosi się z ławki i przechodzi za ławkę albo przechodzi zwyczajnie przez ławkę i szuka rzuconego niedopałka. Dlaczego? Dlatego, i to jest jedyne arcylogiczne wyjaśnienie tego jedyne niejasnego punktu w jego arcylogicznej opowieści, że uznał, iż wyrzucił ten niedopałek trochę bezmyślnie, trochę nie w porę, to znaczy trochę przedwcześnie. Uznał, że można było jeszcze ze dwa, trzy razy się nim zaciągnąć. Fakt, że był to jego ostatni papieros, nie jest tu bez znaczenia. Dwa, trzy sztachnięcia, dwa, trzy szlugi więcej w obliczu nie wiadomo jak długiego postu są na wagę czystego złota. Poznański wie, że znajdzie tego dnia pieniądze, z tą wiarą wielką, przenoszącą góry, wyszedł rano z domu, ale nie wie, kiedy je znajdzie, może znaleźć je dopiero pod wieczór, o zachodzie słońca albo już przy zapalonych miejskich latarniach, po całym dniu morderczego szukania, na głodniaka, bez papierosów. Andrzej Poznański więc wstaje z ławki i idzie szukać rzuconego za siebie niedopałka, żeby

się nim jeszcze ze dwa, trzy razy zaciągnąć. Znajduje tłący się niedopałek, zaciąga się tym petem zachłannie, raz, drugi raz, choć parzy mu palce, wypuszcza dym szeroko otwartymi ustami, jak to on, i widzi wtedy, percypuje poprzez niebiański dym leżący na ziemi zielony pięćdziesięciozłotowy banknot.

– To Niewidzialna Ręka tam te pieniądze podrzuciła i ja wiedziałem, że je znajdę – powiedział Andrzej Poznański i to jest znowu bardzo jasne.

– To Niewidzialna Ręka wczoraj wieczorem nakryła mnie kołdrą i pogłaskała po czole, raz i drugi raz: dwa razy – powiedział ten, który to tutaj mówi.

Na zrębie, kiedy tam zaszedłem, siekierzada odbywała się w najlepsze. Jak dokładnie wskazywało blade słoneczko, stojące nad lasem niby nadleśniczy z zegarkiem radzieckiej firmy „Pobieda” na rękę, było wpół do dziesiątej.] Nie można powiedzieć, że zjawiłem się w robocie zbyt wcześnie, ale to nikogo nie obchodzi. Ni gajowego, ni leśniczego, ni samego nadleśniczego, gdyby tu był na kontrolnym objeździe. Nikogo o to głowa nie boli. To jest moja sprawa prywatna. Wolność jest wolna, a robota akordowa ma to do siebie, że jak chcesz – to robisz, a jak nie chcesz – nie robisz. Kłaniasz się sosence, walisz się do góry brzuchem i słuchasz, jak rośnie trawaj. To latem oczywiście. Zimą na zrębie możesz rozpalić ogień i przycupnąć blisko, i patrzeć w płomienie jednym z tych słynnych przezroczystych patrzeń albo możesz

patykiem odwracać kartofle, jeśli ich przedtem nakładłeś do żaru. Piękna myśl. Pierwszorzędna myśl. Trzeba będzie zakupić od kogoś we wsi z cetnar kartofli i co rano napakować z tuzin do chlebaka i na zrębie, przed fajrantem, jak już się ma pod wieczór, nakłaść do żaru i niech się tam pieką. A potem zasiąść przy ogniu, odgrzebywać kartofle i ucztować po ciężkim dniu. Piękna myśl. Trzeba wprowadzić ją w czyn.

Powiesiłem chlebak na sterczącej gałęzi jednego z poległych drzew, tamże powiesiłem kapotę, tamże bluzę, wziąłem za rąbalnicę i przyłączyłem się do chóru siekierzady. Bo wolność jest wolna, a robota akordowa ma to do siebie, że jak chcesz, to robisz, jak nie chcesz, nie robisz, to jest twoja prywatna sprawa, ale jak przychodzi do wypłaty, to chudo, oj chudo, liczysz guldeny i widzisz, że starczy ci waluty na dwa tygodnie, do piętnastego, potem przez następne dwa tygodnie będziesz gryzł kamienie i żuł żywicę i to będzie też twoja prywatna sprawa, nikogo o to głowa nie będzie boleć.

Rąbałem zatem więc ostro i zawzięcie. Bo poza wszystkim podobało mi się. Miałem życzenie rąbać. Rąbałem więc bez chwili odpoczynku, prawie nie prostując pleców, do południa. W południe, kiedy południe nadeszło i ustała siekierzada, rzuciłem siekiere, naszykowałem kupkę suchego drzewa i poszedłem poszukać latającego wiadra, czyli czerpaka na długim kiju do przenoszenia żaru. Znalazłem latające wiadro pod górką na drugim krańcu zrębu, a po żar zaszedłem do Selpki, którego



wczoraj poznałem.

– Szczęść Boże. Pożycz pan trochę żaru, panie Selpka?

– Bóg zapłać. A bierz pan, ile chcesz. Z tamtej kupy weź pan. Dopiero co tam ogień przygasł. I jak się spało pierwszą noc?

– Aj, spałem jak zabity, panie Selpka. Zapomniałem o całym świecie. Aż zasnęłam dzisiaj, chociaż wczoraj wieczorem położyłem się wcześniej. Prawie razem z kurami.

– Będziesz pan spał jak zabity. Siekiera panu da w dupę, nie bój się pan.

– Chi, chi – zaśmiała się żona Selpki, która z nim robiła na zrębie. Wszyscy tu robili z żonami, matkami, ojcami i tak dalej. Co było w rodzinie, przychodziło na zrąb. A gdzieś o drugiej, kiedy kończyły się lekcje w szkole, przylatywała całymi chmarami dzieciarnia.

Więc:

– Chi, chi – zaśmiała się żona Selpki.

– A ty czego się śmiejesz, stara – zagadnął do niej Selpka. – Śmiejesz się jak ta głupia do sera.

– Chi, chi – zaśmiała się ona w odpowiedzi.

Selpka machnął do mnie ręką, że nie warto nawet mówić na ten temat i ja poszedłem na moją działkę. Wysypałem czerwony żar na uszykowaną kupkę suchego drzewa i tabacznym sęków, i odrzuciłem latające wiadro na stronę. Wziąłem znowu za swoją rąbalnicę i zacząłem czyścić odrąbane od pni grube konary. Oczyszczone

konary i grubsze gałęzie, kneblówkę, rzucałem na osobną kupe, a cały drobiazg, mniejsze gałęzie, gałązki i zieleniznę ładowałem w ogień. Ogień trzaskał, igliwie syczało i dym buchał w górę, to w bok wiatr nim szastał, to wprost na mnie, w same usta, przechodziłem wtedy na drugą stronę ogniska, a kiedy dym tam mnie odnajdywał, przechodziłem znowu na tamtą stronę albo ćwierć okręgu w lewo, albo ćwierć okręgu w prawo, zależnie od tego, jak zawiewał wiatr.

I takie to było krążenie, taki to był taniec dookoła ogniska z wymachiwaniem siekierą i towarzyszącymi rąbaniu słynnymi tymi dźwiękami. Taka to była siekierzada, a dym jak sama namiętność, jak kobieta przeżył się i przeciągał, i wyciągał, i rozciągał i tak leżał chwilę poziomo i nieruchomo, choć widać było, że płynie, tak jak widać nieraz pod powierzchnią leżącej nieruchomo nagiej kobiety, jak płynie krew, czerwona krew, różowa krew, niebieska krew, zielona krew, i nagle poruszony wiatru wiewem dym znów przeżył się i przeciągał, odsłaniał kształty swoje wylewne namiętne i rozkosz, słodycz obiecujące jak te kobiety na obrazach starych mistrzów: Maya, Olimpia, Zuzanna, Andromeda i tak dalej, i tak dalej. I taka to była siekierzada, mówię, taki to był wokół mnie taniec jawnej czystej namiętności, ja w lewo, one za mną, ja w prawo, one za mną, ja na drugą stronę ogniska, one za mną, przeżąc się i przeciągając niesłychanie. I wszystkie: Maya, Olimpia, Zuzanna, Andromeda i tak dalej, i tak dalej. Rzucały się, ciskały, szastały się wokół

mnie, pełzały po mnie z dziką furją, do szaleństwa je doprowadzały ich własna namiętność i moja niedostępność, też namiętna, też dzika, też zapalczywa i potężna, toporna, cudowna.

Potem naczepałem żaru do latającego wiadra i rozpałem drugie ognisko, bo już było za daleko nosić gałęzie do tego pierwszego. Na zrębie trzeba robić także z głową. Machać siekierą każdy wawrzon, każdy frajer potrafi i nie musi zaraz być kulturystą, którym prześmieszne umięśnione ramiona wystają z barków, jak niektórym nieszczęśliwcom wystają z ust zęby przednie. Więc machać siekierą każdy potrafi, ale jak długo? Godzinę, dwie, trzy. A tu trzeba robić cały boży dzień i tak dziś, jak jutro, tak pojutrze, jak i zapojutrze. Cały boży tydzień i cały boży miesiąc. Całą bożą zimę i całe boże lato. Z tym, że latem nie wolno palić ognia na zrębie. Ale siekierzada trwa. Siekierzady mieszany chór śpiewa, dyszy, stęka, pluje, smarcze cały boży okrągły rok. I trzeba robić . z głową, żeby nie zerwać się i nie skonać po tygodniu lub po dwóch, lub po trzech. Precyzyjna musi być robota. Ostra, zamaszysta, ale z pomysłuńkiem. W morzu gałęzi można bić rękami, zatrzepotać się i utonąć tak samo, jak w pięknym Morzu Bałtyckim. Ja wczoraj tak się parę razy zaszastałem w koronach wielkich sosen ściętych piłą Nikodema. Rzucałem się nieprzytomnie jak ryba w sieci, jakby powiedział pisarz–marynista osiadły w willi na morskim wybrzeżu. Aż poszedłem po rozum do głowy. Przysiadłem w gąszczu i mówię do siebie: nie szastaj się,

chłopcze. Oszczędzaj się, bo się wykończysz. Wsiądziesz i» .pierwszym etapie. Odpadniesz w przedbiegach. Wykorkujesz jak trzy razy nic i co zostanie po tobie? Ein Platz frei! Z główką, chłopcze, tu trzeba, nie tylko muskułem, który wprawdzie jest, jak powiedział jeden, mostem od terażniejszości do przyszłości, ale to główka wymyśliła. Rozejrzyj się dobrze, co jest co, co jest gdzie, gdzie jest co i wtedy wal siekierą.

Wczoraj, fakt, parę razy pogubiłem się. Nie wiedziałem, gdzie mam rękę lewą, a gdzie rękę prawą. Gdzie mam nogi, gdzie mam plecy, a o głowie parę razy zupełnie zapomniałem, że ją w ogóle mam. Szastałem się, ciskałem się w morzu gałęzi, nie wiedziałem nic, czy na przykład zrąbawszy od pnia konar i wyciągnąwszy go na przedpole mam go od razu czyścić, czy zostawić to na potem i wracać do morza gałęzi, rąbać następny konar, ale ten był przywalony konarem z korony obokległego drzewa, więc przełaziłem przez gęstwinę w pozycji bardziej horyzontalnej niż wertykalnej i parłem tam, w tamtą stronę, ku niemu albo i dalej do korony trzeciego obokległego drzewa, jeśli ten konar z korony drugiego drzewa, którego chciałem zrąbać, bo przywalał, przygniatał konar z korony pierwszego drzewa, był przywalony konarem z korony trzeciego obokległego drzewa, paranoja zupełna, cymes and bulba, bunt na pokładzie, ciskałem się we wszystkie strony, zamiast stać spokojnie i jak najdłużej w jednym miejscu i rąbać z dookolnej okolicy to, co się dawało, co było w zasięgu

i tak posuwać się powolutku naprzód, a nie skakać po gałęziach jak jakaś wiewiórka, którą, owszem, jestem, pięknie łązę po drzewach, to jest też fakt, skaczę z jednego drzewa na drugie, fantastyczny mam elan vital, jak mówią w Kłajpedzie, kiedyś ze dwa kilometry zrobiłem w lesie, nie dotykając stopą ziemi, przeskakując z jednego drzewa na drugie, a ona, Gałązka Jabłoni moja, krzyczała do mnie z dołu: „dosyć już, dosyć. Jesteś największy Tarzan, ale złaż już.” A ja jeszcze jeden skok i jeszcze jeden, i jeszcze jeden, zawsze i teraz absolutnie służy tobie emanuel delawarski, bo najmilsze na świecie oczy na mnie patrzyły i chciałem, żeby podziwiały mnie. Zawsze bym chciał, żeby mnie podziwiały. Jej oczy. Oby tak było. Oby, jak to się mówi, spodobało się Bogu, żeby tak było.

Dzisiaj robota idzie mi dużo lepiej. Nie ciskam się. Z głową robię. Nie ma głupich. Frajerów nie sieją. Na przykład po co ciągnąć gałęzie do oddalonego ogniska, przełaząc przez wszędzie walające się, wszędzie poległe wielkie pnie sosen, jeśli jest latające wiadro, piękny wynalazek do przenoszenia żaru i można rozpalić dwa, trzy ogniska na działce i ładować gałęzie i wszelki drobiazg do tego ogniska, które jest akurat najbliżej. Na podorędziu. Przy trzecim ognisku, które rozpaliłem w takim dole i przy ścianie gałęzi, zasiadłem, kiedy poczułem głód, do posiłku. Jadłem słynny chleb ze słynną słoniną, popijając paskudnie zimną, ale też słynną herbatą. Nie pomyślałem o tym, żeby postawić butelkę blisko ognia albo jeszcze lepiej w ciepłym popiele jednego z wygasłych ognisk, żeby się

herbata zagrzała. Ale teraz, kiedy o tym pomyślałem, będę pamiętał. O pieczeniu kartofli na zrębie też nie zapomnę.

Kiedy podjadłem, wziąłem znów za siekierę i rąbałem ostro, ale z głową, precyzyjnie, bo nie chcę się jeszcze wykończyć. Jeszcze długo nie. Chyba że ktoś mnie wykończy. Albo coś. Ta mgła ta mgła, ach. I tak mi to popołudnie zeszło jak schodzi po drabinie cień. Cienie powłóczyste i długie były, i jeszcze rosły od zachodu, gdzie zachodziło słońce, na wschód, skąd jutro znowu wstanie słońce i będzie nowy dzień. Nie mówię, jak już może ktoś zauważył, że być może wstanie słońce, lub: – mam nadzieję, że wstanie słońce. Bo wierzę. Nadzieja jest zła, wiara jest dobra, i ja wierzę w ten cud, że jutro wstanie słońce i wierzę w ten drugi cud: że ona, Gałązka Jabłoni położy się wieczorem i obudzi się rano, że ja położę się wieczorem i obudzę się rano, i że już niedługo: razem, blisko siebie, położymy się wieczorem i obudzimy się rano.

Słońce, póki co, zachodziło i kończył się dzień długimi powłóczystymi cieniami. Zazula przestała niedawno kukać w głębi boru, a przedtem zeszły ze zrębu kobiety i dzieciarnia. Dzieciarnia poszła odrabiać lekcje, a kobiety uszykować gorącą jakąś zupę albo drugie danie dla mężów swoich, synów, ojców, braci. Chłopy, mężczyźni tylko pozostali na zrębie, ale i oni powoli zbierali się do wylotu.

Słońce było już niziutko tam za lasem, na horyzoncie tam za lasem, daleko tam za lasem, a cienie tu połączyły

się, scaliły się i cały zrąb był teraz jednym cieniem. Kończył się dzień i nie wiem, czy to miało coś z tym wspólnego, kończyło się moje całodzienne dzisiejsze uczucie jakiegoś takiego lubego błogiego bezpieczeństwa pięknego. Bo czułem się dzisiaj bezpieczny cały ten boży dzień. Jak rzadko. Jak nigdy prawie. Żadna nie zawionęła i nie dusiła mnie mgła z tych moich mgieł codziennych, dość pospolitych, ani żadna z tych moich mgieł niecodziennych, dość niepospolitych, przeciwnie: z dymem ogniska jak z mgłą właśnie tańczyliśmy taniec czystej jawnej namiętności i cudownej niebotycznej niedostępności i dobrze było. Spokojnie. Bezpiecznie bardzo. Czułem, że czyjeś oczy, leciutko zamaskowane w koronach stojących na skraju zrębu sosen, strzegły mnie. Czułem, że kołowała nade mną Niewidzialna Ręka owa. Co wczoraj nakryła mnie kołdrą i pogłaskała po czole raz i drugi raz: dwa razy. Teraz, kiedy coraz zmierzchało, czułem, że opuszczają mnie, odstupują mnie, cofają się w lasu ciemniejącą głąb te czyjeś oczy i że opuszcza mnie, odpływa ode mnie w inne strony, jak łódź napowietrzna; Niewidzialna Ręka.

Szedłem na kwaterę przez las, ostatni opuściłem zrąb, tak, jak ostatni dzisiaj rano na zrębie się zjawiłem, i czułem, jak wierna, najwierniejsza niespokojność moja, bojaźń, strach i wieczne napięcie to, czuwanie to pełne trwożliwości znowu zawładają moim ciałem i myślą. Szedłem i czułem ten dziwny nowy mój ból: klucie włosów w głowie.

Minęło kilka dni, jak piszą powieściopisarze. I tak to jednym zdaniem załatwiają się z kilkoma dniami, których to dni, jakiegokolwiek by one były, bezbarwne, puste, bezmiłosne, jeśli to jest w ogóle możliwe, nie można załatwić jednym zdaniem, jednym pociągnięciem, drobnym ruchem ręki, lekkim wdzięcznym gestem, jakby łapiąc wpół kota z podłogi i sadzając go sobie na kolana. Ja, czyż inaczej czynię? Ale mnie przynajmniej śmieszy takie zdanie: minęło kilka dni. Nie mówiąc o tym, że boli mnie to, ubliża mi straszliwie. Bo to tak wygląda, że, ot, minęło kilka dni. Jakby nigdy nic. Jakby batem strzelił. Jakby pestkę wypluł. A ja przez te kilka dni, ech, Gałązko Jabłoni i wy, straszliwe manowce, ja przez te kilka dni ileż razy konałem, umierałem i zmartwychwstawałem, ileż roboty zrobiłem na zrębie, ileż potu ze mnie wyciekło, ileż tysięcy myśli przeszło przez moją głowę smugą światła jasną łagodną lub straszliwą nawałniczą ciemną smugą cienia, pętając mi czoło czarnosiną wstążką lub wprost dziurawiąc, lub trepanując mi klekoczącą czaszkę, ileż razy, mówię, przez te kilka dni umierałem i zmartwychwstawałem, i znowu padałem na pysk i z padłych–na–pysk wstawałem i ulatywałem w dziedziny błękitu i znów zapadałem w dół głębokości, tonąłem w toni, to znów stałem pięknie na grzbiecie fali jak piana, jak zwycięski śmiech, i znowu w dół i w górę, i tak dalej, i tak dalej.)

Minęło kilka dni. I piszę to zdanie, nie lekkim ruchem



ręki, drobnym miłym gestem, jakby się łąpało wpół kota z podłogi i sadzało się go sobie na kolano. Piszę to zdanie, „minęło kilka dni”, z bólem wielkim, z rozpaczą, bo nie mam sił, żeby te kilka dni, dokładnie, pięknie i straszliwie, tak jak są tego godne, opisać. Nie ma po prostu sił ten, który to tutaj wyznaje. Gdyby żył tylko życiem, miałby więcej sił. Ale on nie tylko żyje życiem, ale i żyje śmiercią i jeszcze jak, ach, jak żyje śmiercią i jeszcze żyje wiecznością, co jest pomiędzy życiem i śmiercią i jeszcze żyje miłością, co jest ponad tym wszystkim, absolutną do Ciebie miłością on żyje, dziewczynko, i sam nie wie, skąd bierze na to wszystko siły. Ale czasami zmęczony jest. To znaczy zawsze jest zmęczony, ale czasami straszliwie zmęczony jest. Tak że wydaje mu się, że za chwilę będzie po nim. Za chwilę się przekręci, już go nie ma, już nie żyje. Ale nie. Jakoś jeszcze ciągle nie. Bo wisi u kosmyka włosów, co spada ci na oczy i ty nie odgarniasz go za główki twojej zapadający się stromo w dół horyzont.

Minęły trzy dni. Trzy i pół. Słynny czwartek, słynny piątek, słynna sobota i połowa słynnej niedzieli. Bo była niedziela i siedziałem w gospodzie „Hoplanka” w Hopli, dokąd zaszedłem z Bobrowic po godzinie ostrego marszu, z wiatrem bijącym mnie z boku, w lewą bandę, krótkimi lodowatymi podmuchami i kiedy wszedłem do gospody rozgrzanej ogniem palącym się w kaflowym piecu przy bufecie i dymem papierosów snującym się pod liszajowatym niebem sufitu, i gwarem głośnej społecznej przy kieliszku spowiedzi, i zapachem, czy jak to woli,

odorem piwa i wódki, i, pożał się, Boże, lemoniady – to aż mi się nogi lekko ugięły i serce mi zabiło przepięknie, a w gardle sucho, susza, pragnienie wielkie, i stojąc przez chwilkę w progu gospody pomyślałem, że tak mogłoby wyglądać życie pozagrobowe i tak się tam mogłoby wchodzić, w życie pozagrobowe, na lekko ugiętych nogach, jakby uważając, żeby nie uderzyć łbem w niską belkę nad drzwiami, z biciem serca przepięknym tak–tak, i z wielką suszą, z wielkim pragnieniem w gardle.

I przypomniał mi się on, który równo tydzień temu, w samą niedzielę, zginął na torach pod kołami. Mógłby tu teraz pięknie ze mną stać w drzwiach gospody, gdybym wtedy, kilka zaledwie godzin wcześniej, niż się tam znalazłem, był na peronie i stanął mu na drodze z rozpostartymi szeroko ramionami. Moglibyśmy teraz razem wkroczyć lekko kołyszącym się krokiem do środka zadymionej „Hoplanki” i popić zdrowo za wszystko, za tych, co na morzu, za tych, co na lądzie, za tych, co w powietrzu, za czerwony Białystok, za Białą Podlaszkę i za tych, co polegli. Moglibyśmy. Przeklęty bądź, zegarze, w którym czas nie może być cofniony.

Podszedłem do bufetu, kazałem sobie duże ciepłe piwo z cukrem i usiadłem w pierwszej sali nie za blisko pieca, żeby mnie bijący od niego gorąc za szybko nie rozebrał, jak to się mówi, czyli nie rozkleił. Popijałem piwo i czekałem, aż podejdzie kelnerka. Taka ładna pani, a do nas ani–ani. Ale ja miałem piwo i mogłem poczekać. Piwo przyniosłem sobie z bufetu do stolika po to właśnie, żeby

sobie nie psuć nerwów półgodzinnym, jak jest w modzie, czekaniem na kelnerkę. A głodny byłem, że olaboga. Cały tydzień nie jadłem porządnego gorącego obiadu i po to właśnie, żeby zjeść wielki suty gorący obiad, drałowałem godzinę do Hopli, bo w Bobrowicach gospody nie było. Jako, że nie było. Na razie popijałem piwo, czytając spis–do–jadła, jak mówią zgrywusy. Pięknie mi się piwo rozlewało tam po głównej alei i po zaułkach.

Po dziesięciu minutach, za ledwie po dziesięciu minutach, powtarzam, zjawiała się przy mnie kelnereczka, malutka, grubiutka w mini–sukience i mini–fartuszkach, i kręcąca śmiesznie, ale reżolutnie pośladkami. Obca moja twarz być może to spowodowała, że kelnerka tak się błyskawicznie pojawiła. Obca moja twarz. Zamówiłem rosół i golonkę z podwójną porcją kartofli, z podwójną porcją kapusty, musztardę i dodatkowo dwa kiszzone ogórki.

– I pan sam to wszystko zje? – zagaiła mnie natenczas kelnerka.

Było jasne, jak jasne były jej włosy, jaśniutkie, że nie po raz pierwszy w życiu zagaiła w ten sposób do faceta. I ten uśmieszek na twarzy w pryszczkach, w zachciewajkach. Tylko patrzeć, pomyślałem naukowo, jak będzie latać z brzuszkiem. Tak będzie albo się niedużo mylę. Ja oczywiście tego sprawcą nie będę. Broń mnie, panie Boże. Ale, żeby jej się przypodobać, bo któż nie chce się przypodobać kelnerce, powiedziałem:

– Jasne, że zjem. Jeszcze bym panią zjadł na deser.

Takie więcej żałosne było to moje zagranie i zupełnie nie w moim stylu ni w moim dialekcie, ale któż nie chce, mówię, przypodobać się kelnerce, od której często zależy życie człowieka. Wszak może kelnerka zjawić się błyskawicznie, po dziesięciu minutach, jak tym trafem, czy tą trafa, a może zjawić się po pół godzinie lub po trzech kwadransach. A przez trzy kwadransy człowiek przy stoliku czyż nie może skonać z głodu lub jeszcze łatwiej z pragnienia, lub jeszcze łatwiej paść trupem od ataku apopleksji?

Kelnerka uśmiechnęła się czule na te moje słowa, że zjadłbym ją na deser, i odeszła do kuchennego okienka przy bufecie przedstawić moje zamówienie. Oczywiście pośladkami kręcąc. Nie. wiem, nie jestem ja chory na tym punkcie, nie przesłania mi pola widzenia, ale jednak bardzo to było wyzywające i nie wiem, dlaczego ona już teraz nie latała z brzuchem. Co do jej włosów, jasnych, jaśniutkich, to dziwne, ale były to włosy, które na pewno powinny należeć do innej dziewczyny. A może nawet niekoniecznie dziewczyny. Do chłopaka jakiegoś mogłyby śmiało należeć. W każdym razie na pewno nie do niej. O tym byłem absolutnie przekonany. Wypiłem łyk piwa i szukałem w myślach, w kinie pamięci, twarzy do tych włosów. Ale nie mogłem znaleźć.

W pewnej chwili zjawiły się na stole talerze i talerzyki z dymiącym rosołem, z dymiącą golonką, z dymiącą kapustą, z dymiącymi kartoflami i tak dalej, i zabrałem się do jedzenia. Głodny byłem bardzo, ale powoli jadłem,

dostojnie, nie łapczywie, rozlewając zupę i rozrzucając kartofle poza talerz, na stół lub poza stół na podłogę, tak, jak się widzi to nieraz na filmach, co ma wywołać u widza przejmujące wrażenie, że ten jedzący jest strasznie, ale to strasznie głodny. A u mnie – widza, który, zdarzało się, bywałem nieraz dość zagłodzony, wywołuje to śmiech, bo wiem, że tak naprawdę to wszystko odbywa się inaczej. Zresztą, o co ja tu się biję! Zapewne są różne metody jedzenia, tak, jak są w ogóle różne metody. Na przykład: różne metody doprowadzenia człowieka do obłądu.

Zjadłem wszystko, co dymiło na talerzach, zapaliłem papierosa i pomyślałem: a kiedy zjem, kiedy połknę ten wszystek dym, co wokoło mnie dymi i dusi mnie? Tę mgłę tę mgłę. Kiedy? Kiedy przejaśni się i wyjaśni i rozjaśni się wszystko? I tak już będzie, tak już będzie trwać, nie dzień, dwa dni, tydzień, miesiąc, a potem, po tych wakacjach, znowu napadała na mnie mgła i miałem jej pełne oczy, pełne oczy mgły i pełne usta mgły, i wszystko było we mgle we mgle.

I jak mogłem ja, cały we mgle we mgle, jak duch jakiś, jak potępieniec jakiś, do Ciebie uciekać się, Gałązko Jabłoni? Ty tak dzielna, tak dzielna, ale mogłabyś przestraszyć się czegoś takiego jak ja cały we mgle we mgle. Mogłabyś przestraszyć się tej postaci dymiącej, tej zjawy. A przecież, przecież zawsze, zawsze i teraz absolutnie służy tobie emanuel delawarski, zawsze, kiedy tylko dym, ta mgła ta mgła odstępowała mnie, znikwała, przepadała, zapadała się gdzieś i widziałem, że jest spokój

w przestworzach i czułem jakoś, że nie zanosi mi się na nową zadymkę, na nową zawieję, natychmiast, gdziekolwiek byłem, nieraz daleko, bardzo daleko odrzucały mnie precz od ciebie pędzące tumany, trąby mgliste, wirujące dymne słupy, zaraz natychmiast ruszałem do ciebie, niech ci to powie ten płot w Juśkowym Grodzie, pod którym siedziałem, inne płoty, w Sidorkach, w Chrabołach, w Żółkiewce, w Uniehowie, w Nadolicach, w Raciążku, w Wielgomłynach, w Jakubowicach pod Annopolem, pod którymi siedziałem i spod których nagle powstałem i ruszyłem do ciebie; niech ci powiedzą drzewa, ta brzoza w Otłoczynie, ta brzoza w Grudziądzu przy cmentarzu choleryków, niech ci powiedzą pola, mury miast, miasteczek, niech ci powiedzą ludzie, których nagle opuściłem, od których nagle odwróciłem się na pięcie i zacząłem biec i biegłem, a serce mi biło i wiatr mnie bił z obydwu rąk, potem szedłem, potem znowu biegłem, potem szedłem, potem biegłem, a serce mi biło i wiatr mnie bił z obydwu rąk, potem szedłem, bo już nie mogłem biec, bo kolka mnie łapała, potem jechałem furmankami, drabiniastymi wozami, ale te za wolno się turlały, Boże, jak wolno, więc wyskakiwałem z nich i biegłem, mijałem je, na przyczepy traktorowe się pakowałem, prędzej, prędzej, przy zamkniętych kolejowych szlabanach na ciężarówkę się przerzucałem, prędzej, prędzej potem do autobusu, z autobusu na pociąg i jechałem pociągami, dniem i nocą, prędzej, prędzej, piłem piwo przy bufecie, w dialogi się wdawałem z podróżnikami, słuchałem, wtrącałem coś od

czasu do czasu, śmiałem się od czasu do czasu, paliłem papierosy, piłem piwo, potem podróżnicy szli na drzemkę do swoich przedziałów, przychodzili nowi podróżnicy, świeżo po drzemce, ja tylko niezłomny, zmęczony straszliwie, ale niezłomny, niezłomnie słuchający, mówiący coś tam, śmiejący się czasami, pijący piwo, palący papierosy, a tylko patrzyłem spode łba na boki albo pod nogi, czy nie sączy się z dołu i nie wspina się po mnie ta mgła ta mgła, ten dym ten dym i myślałem: czemu człowiek nie lata jak ptak, stare marzenia, ale zawsze nowe, ja powinienem mieć ten dar, mnie ten dar, mnie, mógłbym uciekać przed mgłą, a teraz wyskoczyłbym przez okno z tego pociągu : poleciałbym jak strzała, prosto, lotem ptaka, do niej, do Gałązki Jabłoni mojej, prędzej, prędzej, prędzej, a pociąg turkotał po szynach i stawał wolno na stacjach, czemu tyle tych stacji, długo stał i wolno, Boże, jak wolno, ruszał znowu, wieki, to są wieki całe, ja w życiu moim całe wieki, całe stulecia przeżyłem jadąc do ciebie, dziw, że nie osiwiąłem, naprawdę wielki dziw, że nie osiwiąłem, i przyjeżdżałem wreszcie po tych wiekach całych, wysiadałem, wyskakiwałem pierwszy z pociągu i biegłem peronami, potem ulicami, potem po schodach i pukałem do twoich drzwi i otwierałaś i padałem przed tobą na kolana i całowałem twoje nogi, a ty mnie podnosiłaś i całowałem twoje ręce, każdy palec u rąk, i całowałem twoje włosy, twoje oczy wielkie wilgotne błyszczące jarzące się, i całowałem cię i ty mnie całowałaś.

Gdzieś mniej więcej wtedy weszli do gospody

Peresada i młody Batiuk. Z Bobrowic obaj. I z lasu. Batiuk robił ze mną na zrębie. Matka jego zawsze z nim robiła. Peresada robił samotnie na żerdziach, daleko w lesie za naszym zrębem, gdzieś na czwartej albo piątej strefie. Poznałem go wczoraj. Peresadę. Siedziałem już po siekierzadzie przy ogniu i wyciągałem kartofle z żaru. Ściemniało się i już nie było nikogo na zrębie. Nawet Selpka, który lubi! siedzieć do ciemnej nocy, wlaź na motocykl i pojechał do swej żonki chi–chi, która zeszła ze zrębu wcześniej. Wszystkie baby schodziły ze zrębu ze dwie godziny wcześniej i szły do chałupy uszykować dla chłopców jedzenie. Peresada wyłonił się z szarego półmroku jak duch, ale nie taki, co stąpa bezszelestnie albo idzie w powietrzu lekko ponad ziemią. Usłyszałem kroki jakiegoś z dużej odległości. Ktoś szedł lasem i skrzypiał mu śnieg pod butami. Potem wszedł na zrąb i choć zbliżał się, to cichszy był odgłos jego kroków, bo już nie skrzypiał śnieg, bo na zrębie nie było śniegu, bo stopniał od ognisk, bo stopniał pod ciężkimi butami naszymi. Przełożyłem mój krótki prywatny toporek z lewej strony na prawą stronę, na prawe podorędzie i:

– Kto idzie? – zawołałem.

– Swój. Peresada.

Peresada podszedł, powiedział dobry wieczór i usiadł przy ognisku na pniu. Zdjął siekiere z pleców, ustawił ją sztorcem między kolanami i oparł się o nią dwiema rękami. Milczał, głośno dysząc. Ja skrobałem nożem kartofel z czarnej spalonej na popiół skorupy.



– Fajny nóż – odezwał się wreszcie Peresada. – Dobry na zabawę.

– Owszem – powiedziałem i dodałem, żeby się poczęstował kartoflami. Dałem mu trochę soli w kawałku gazety i tak uczując zaczęliśmy gadać o tym i o tamtym. Opowiedziałem ja tak bardzo z grubsza coś o sobie i potem słuchałem Peresady. Rozgadał się Peresada o samych pierwszych początkach. Kiedy to ze Wschodu przyszedli tu na Zachód. Na te Ziemie Odzyskane. Peresada miał wtedy 17 lat. A było to w czterdziestym piątym.

– Aż się człowiekowi wierzyć nie chce, że to już 22 lata przeszły od tego czasu. Na Odrze mostu nie było. Dwie liny stalowe tylko. Jedna niżej, druga wyżej. Na jedną się stawiało nogę za nogą, a drugą linę się trzymało rękami. I tak się człowiek po trochu, po trochu posuwał. Żołnierze pływali na pontonach pod linami i wyciągali tych, co wpadali. Ale jeden wpadł i go nie wyciągli. We wir, musi, się dostał. Na pewno gdzieś tam dalej wyrzuciło jego, ale Bóg wie gdzie. Nie znaleźli. Prąd, musi, jego porwał. Może aż do samego morza zaniósło jego. No ale przeszli my Odrę i szli tu w te strony i szukali dobrej ziemi. Wchodzili my do domów, co puste były wszystkie, bo Niemcy uciekli. Tak my się osiedlali koloniami. Swoi trzymali się swoich. Jak tam na Wschodzie. W Hopli na ten przykład to wszyscy prawie Białorusini są. I Polesiuki. Końskie Doły, tu niedaleko taka wieś, to same prawie Podolaki. Ja też z Podola jestem, z Tarnopola. Ale w Bobrowicach ja żyje. W Bobrowicach to wszyscy prawie Ukraińcy są. I tak my

szli i tak się osiedlali. Jak gdzieniegdzie był Niemiec w chałupie, co nie uciekł, to on wiedział, gdzie dobra ziemia. To jego się brało na spytki. Żeby gadał. I tam się szło zobaczyć. Ale tu ziemia słaba. Marna. Czwarta, piąta, szósta klasa. Poniektó—rędy trzecia. Ale to rzadko, trzeciej klasy to ja mam hektar. Reszta to przypalenisko. Z hektara pięć metrów zboża się zbiera. Szósta klasa więcej nie da. Słonko uderzy i nie ma nic z tej ziemi. Tam, na Wschodzie, to tak, to była ziemia. Jak masło taka tłusta.

Peresada i młody Batiuk podeszli do mojego stolika, przywitali się, hałaśliwie odsunęli krzesła i siedli. Z Peresada tak jakby umówiliśmy się tu w „Hoplace”. Powiedziałem mu wczoraj, że będę dzisiaj w Hopli w gospodzie, bo chcę w końcu jakiś ludzki obiad zjeść. Peresada powiedział, że też będzie, jak mu się uda wykołować żonę.

– To zrobimy jakąś ćwiartkę – mówię.

– O to się rozchodzi – odparł Peresada. – Szkoda, że my tu nie mamy ćwiartki. Albo butelki wina tak chociaż – dodał z bólem.

– Albo samogonki – ja mówię. – Do pieczonych kartofli nie ma nic lepszego.

– Ja tobie coś powiem, tylko ty nie rozpowiadaj. Jedna baba pędzi samogon tu w Czerniawie, w stronę na Nową Dole – pokazał Peresada ręką na zachodnią ścianę lasu z resztkami jasności nisko na niebie pod drzewami. – My tam możemy kiedyś zapukać w okienko. Jak ty zapatrujesz się?

– Ja się tak zapatruję, że my tam możemy nieraz zapukać w okienko.

– Aj, to ty dobrze mówisz. Ty mnie podobasz się. A widział ty ten balon z winem u Pana? W gabinecie jego? Pan to był nasz leśniczy. Tak na niego tubylcy mówili.

– Widziałem. Ze dwadzieścia litrów tam będzie. Albo i nawet dwadzieścia pięć. Ze śliwek chyba to jest, bo taki ma kolor.

– Ze śliwek, ze śliwek. On potem spirytus do tego leje i to nalewka się robi. Jej Bohu, jak ja by dorwał się do tego balona, to ja już by jemu nie popuścił. Paczka „Sportów” tylko, szlauch i szklanica. Albo sam szlauch. Po co szklanica?

– Szklanica niepotrzebna – mówię – ale najlepiej jakby dwa szlauchy były, żeby sobie nie wyrywać jednego. Dwa szlauchy. Ty z jednej strony balonu, ja z drugiej, a z boku byśmy gadali.

Tak to właśnie gadaliśmy wczoraj z Peresadą do ciemnej nocy, siedząc przy dogasającym ogniu, jedząc kartofle i oblizując wargi, popijając śliną, bo czym? Przypadli my sobie, Peresadą i ja, od razu jeden drugiemu.

– Czym ty przyjechał do Hopli? – spytał mnie teraz Peresadą.

– Na hulajnodze. A wy?

– My na rowerach zajechali. To ty piechotą przyszedł?

– Piechotą.

– A my na rowerach – powiedział młody Batiuk.

Peresadzie udało się wykołować żonkę. Poszedł z nią

do kościoła na sumę i po Podniesieniu, kiedy jest ten szum i szuranie nogami przy wstawaniu z klęczek, zaczął cichutko wycofywać się tyłem do wyjścia, mrugając po drodze na młodego Batiuka i ten wycofał się za nim, cichutko też, bo matka stała w przodzie.

– No to co my się ociągać będziem – rzekł Peresadą.

– Tak jest – ja mówię. – Do roboty.

– Do roboty – powtórzył młody Batiuk.

– Pani! – zawołał ostro Peresadą.

Kelnereczka spojrzała na Peresadę z ubolewaniem, ale po niedługiej chwili przyszła. Peresadą awanturnik był, choć chłop malutki. Nieduży. Ale straszny awanturnik. Zdażyłem ja już coś niecoś o tym usłyszeć. Więc może kelnereczka bała się. Być może. I być może także moja obca twarz była jedną z przyczyn, dla których pojawiła się, długo nie zwlekając. Obca moja twarz.

– Trzy setki – zapodał Peresadą.

– Lepiej ćwiartkę – ja mówię. – Trochę taniej wychodzi niż na kieliszki.

– Dobra. To ćwiartka.

– Co na zakąskę? – spytała kelnereczka. – Pan nie musi – uśmiechnęła się do mnie. – Pan konsumpcję już konsumował.

– Na zakąskę? Zimne nóżki. Dwie porcje. I ocet.

– Trzy porcje pani da. Przekaszę też – rzekłem.

– Dobrze się rzyga po zimnych nóżkach – zauważył naukowo Peresadą.

Ja po tej odezwie Peresady dużo straciłem w oczach

kelnerki. Takim cię piszą, jakim cię widzą. I jakim widzą tego, z którym przesiadujesz, z którym uprawiasz sedenterię – dodajmy do przysłowia. Ale nie szkodzi. Niech piszą, jak chcą i co chcą. My się tym przejmować nie będziem. My sobie już przez nich nerwów psuć nie będziem.

Kelnereczka przyniosła ćwiartkę, trzy kieliszki i trzy porcje zimnych nóżek na talerzykach.

– Pani! Przynieś pani trzy duże piwa, żeby gardło potoknąć – powiedział Peresada.

– Dla mnie zimne – rzuciłem za odchodzącą kelnereczka i wiem, że powiedziałem to, że chce piwo zimne, w związku z tym, że zaczęło mi wszystko dymić, co było dookoła. Cała gospoda zaczęła dymić i nie był to dym od papierosów, bo ten snuł się pod sufitem, a ten inny dym szedł z dołu, z podłogi wyrastał, jakby z tych szczelin między deskami podłogi, snuł się tam nisko pod stołami i wspinał się wyżej po stołowych i po naszych pod stołami nogach, ale, okazuje się, nie tylko z dołu szedł ten dym, spojrzałem na młodego Batiuka i zobaczyłem, że on też dymi, nie palił papierosa, a dym szedł mu z ust, z nosa, z uszu, z oczu. Dymił Peresada. Jemu dym szedł z głowy. Z włosów. Włosy dymiły mu jak dymi oparami trawa W ciepły letni świt. Wąska strużka dymu przedła się w górę, wysnuwając się z szyjki butelki stojącej na stole. To może było najmniej dziwne, że dymiła wódka. Najdziwniejsze, najbardziej chyba niezwykle było to, że dymiła na talerzykach pokropiona octem zimna galaretka.

Peresada rozlał wódkę do kieliszków.

– No to abyśmy!

– Daj nam, Boże, zdrowie!

– Daj nam, Boże zdrowie! – powtórzył młody Batiuk.

Wypiliśmy i odstawiliśmy szkło. Ozwał się słynny potrójny ten dźwięk pustych kieliszków o blat stołu i zobaczyłem, że dym, ta mgła ta mgła, ten dym gdzieś się zupełnie zapodział, nie było go, ani śladu po nim, przez krótką chwilę zniknął też ten od papierosów dym, zawitaj nam, jasna gospodo, jak powiedział jeden, i taka właśnie przez chwilę stanęła mi w oczach gospoda: jasna, jaśniejąca przezroczystym krystalicznym powietrzem, ale to trwało króciutko, kilka sekund, a może sekundę tylko. Po tej sekundzie znowu zobaczyłem ten od papierosów dym, snujący się pod sufitem. Ale tamtego dymu już nie było i odetchnął, głęboko i zachłannie odetchnął ten, który to tutaj wyznaje.

– Wyciąg no papierosy, Batiuk – rzekł Peresada. – Wódka lubi dym.

– I znowu ten dym – powiedziałem. – Co to jest z tym dymem?

– Przecie nie palilim – zauważył słusznie młody Batiuk.

Zapaliliśmy wszyscy, jako że zaiste nie palilim od dobrej chwili. Tymczasem kelnereczka przyniosła trzy duże piwa w kuflach. Zamówiliśmy drugą ćwiartkę, a ona zabrała ze stołu pustą butelkę, z której rozlałem resztę wódki do kieliszków. Peresada obejrzał się za odchodzącą

i kręcącą pośladkami kelnereczka, odwrócił się do nas, zaciągnął się papierosem i zapodał:

– Już jest we wieku rębny, jak mówi Pan o sosnach w lesie. – Tak jest, we wieku rębny – powtórzył młody Batiuk, chichocząc z lekka i z góry.

Bo wysokie chłopię było z młodego Batiuka. Długi jak miesiąc, a szczupły jak pensja. Długi nie tyle od stóp do pasa, ile od pasa wzwyż do wielkiej głowy, i siedząc z nim przy stole to jego od pasa wzwyż górowanie dawało się wyraźnie we znaki.

Wypiliśmy drugą kolejkę, na drugą nóżkę, potoknęliśmy gardła piwem, dziobnęliśmy trochę galaretki z zimnych nóżek i ja się pytam:

– A co to za huragan tu u was zeszłego roku przeszedł? Mówiła mi coś Babcia Oleńka.

– Człowieku! Pan mówił, że 12 tysięcy kubicznych my zebrali. Same te wiatrozłomy. Jakby front przeszedł. Jakby artyleria biła z dwóch stron. Jak przyszli my z siekierami i piłami, to nie wiedzieli my, jak to ugryźć. Nie było podejścia. Dostępu nie było. Wszystko powalone na kupe. Trzeba było koniami wyciągać jak na zrywce.

– Dziesięć minut podobno trwał sam huragan – wtrąciłem.

– Tak mówi Pan, ale to aż niemożliwe, żeby tak krótko. Dobrze, że na las poszło, bo jakby poszło na wioskę, to nie wiem, co by było.

– Zagłada – mówię.

– Kanada – powtórzył młody Batiuk.

Gdzieś mniej więcej wtedy wszedł do „Hoplanki”, tupając na progu nogami, Wasyluk. Z Bobrowic, jak nietrudno zgadnąć po ukraińskim nazwisku. I z lasu też. Ze zrębu. Żona jego sprzedawała w sklepie, dlatego nie przychodziła na zrąb pomagać mu w robocie. Ale miał kupę dzieciaków i po szkole przylatywali na zrąb jak stado młodych danieli–albinosów, bo cała piątka miała włosy blond, prawie białe włosy fruwały im spod czapek. Starsze pomagały ojcu palić gałęzie, a dwójka najmłodszych, chłopaczek i dziewczynka, chodzili po zrębie z workiem i buszowali w wielkich koronach zwalonych sosen, zrywając z gałęzi młode, półtoraroczne szyszki, które kupował na nasiona leśniczy. Po złotówce za kilo.

Wasyluk wszedł do gospody, tupając nogami i rozejrzał się po pierwszym salonie. Zdawało mi się, że zobaczył nas, ale nie podszedł do naszego stolika, choć nie było już nigdzie wolnych miejsc. Do bufetu zaszedł.

– Wasyluk przyszedł – mówię. – Może wypije z nami?

– Nie przyjdzie, jak ja tu siedzę – powiedział Peresada.

– Gniewa się na mnie. Obraził się.

– O co?

– To we środę było, nie, we czwartek. Pili my piwo wieczorem w sklepie i Wasyluk przeziębiony był czy czort jego wie, bo smarkał i smarkał. Całą chusteczkę zasmarkał i obydwie rękawy.

Peresada to powiedziawszy zamilkł. Tak jakby zamyślił się nad czymś. Ale nad czym? Tak, jakby jakaś myśl odwróciła mu od nas uwagę i zwróciła, ta myśl, całą



jego uwagę na siebie. Ale jaka myśl? Albo może widok jakiś. Ale jaki widok? Nic się takiego w koło krąg nie działo. Gospoda nabita była jak to w niedzielne popołudnie, naród jadł i pił, lulki palił. Dym od papierosów snuł się pod sufitem. Właśnie. Ten dym. To znaczy nie ten, tylko ten inny. Może Peresada zobaczył ten dym, tę mgłę wyrastającą z podłogi i zewsząd, ten dym, który ja przedtem widziałem, a którego teraz nie widziałem, ale może teraz Peresada go widział, ten dym, i on, ten dym, dusił go. Ale wątpię.

– No i co, że smarkał? Co w tym złego jest? – zauważył młody Batiuk długi jak miesiąc, a szczupły jak pensja.

– Nic. Przecie, że nic – ocknął się Peresada. – Ale naraz Wasyluk mówi: mnie to ciekawi, skąd się te smarki biorą? A ja mówię: chyba z głupich myśli, Wasyluk. I na to Wasyluk jak nie wyprostuje się, jak nie postawi z trzaskiem nie dopite piwo na ladę, jak nie warknie do swojej kobity, żeby się nie szwendała po kominkach, tylko żeby zaraz do chałupy mu szła, jak tylko zamknie sklep, i poszedł. No i tyle.

– Aha – ahnąłem. – To o to poszło.

– Widział ja jego na drugi dzień i papierosem chciał ja jego poczęstować. To nie wziął. Ja rozumie jego, ale przecie każdemu się wyrwie z gęby coś głupiego, nie?

– Jasne – ja mówię. – Największym uczonym.

– Nawet księdzu na kazaniu – fenomenalnie zauważył młody Batiuk długi jak miesiąc.

– Najgorsze to, że ja trzeźwy był – rzekł Peresada. – Bo jakby pijany ja był, to co innego. Pijanemu wszystko można przebaczyć.

– Pijanemu tak – zgodził się młody Batiuk szczupły jak pensja.

– Sprawa poważna jest – ja mówię – ale spróbuję załagodzić. Poproszę Wasyluka do stolika, żeby się z nami napił. I że ty go przeprosisz.

– Ja mogę przeprosić jego – rzekł Perasada. – Dlaczego nie? A po chwili dodał:

– Ale jak on gniewać chce się, to ja na niego sram. Ja tak lubię jego jak zadrę w dupie.

Zaszedłem do bufetu, do pijącego tam piwo na stojaka Wasyluka, bo nie było nigdzie miejsc w pierwszej sali, a w drugiej mniejszej sali i przyciemnionej zasłonami na oknach siedzieli żołnierze i tubylcze panny, czarując się wzajem zabójczymi spojrzeniami a la Rodolfo Yalentino lub różnymi docinkami, co jest też metodą. Przywitałem się ładnie z Wasylukiem, jak tam, panie Wasyluk, co słyszeć i tak dalej, i co tak pan będzie stał samotnie i z boku, panie Wasyluk, jak za przeproszeniem nie powiem co. Są swoi z Bobrowic i jest eleganckie miejsce przy stoliku, flaszka stoi i tak dalej. Nie, nie, wymawiał się Wasyluk, zaraz do Bobrowic ja jadę, w Końskich Dołach ja był rowerem u znajomego po śrubki i po drodze na jedno piwo ja wpadł do „Hoplanki”. O Peresadzie nic Wasyluk nie mówił. Więc ja mówię, że wiem, co zaszło między nimi, Peresada mówił nam i że przykro mu jest i chce

przeprosić. Nie ma to jak zgoda, panie Wasyluk, po co to się gniewać, czy to przyjemnie jest?

– No to na zgodę, panowie. Zgoda buduje, niezgoda rujnuje.

– Rujnuje – powtórzył młody Batiuk długi jak miesiąc.

– Daj nam, Boże.

W koło w krąg zaczynały się te słynne pijackie katarynkowe zagrania. Te, które padają, kiedy faceci już fest na bani nie mają sił na dłuższe spowiedzi, tylko z krótkiej broni strzelają w mniej lub więcej regularnych odstępach czasu.

– Co żyje, to rośnie.

– Ukośnie.

– Boli mnie noga w biodrze.

– Gnój trza przyorać, bo–śmierdzi.

– A lud roboczy wytrzeszcza oczy.

– Co żyje, to rośnie.

I tak dalej. Z nami jeszcze nie było tak dobrze. Piliśmy od niedawna. Ale niektórzy tu popijali, Bóg wie od kiedy. Od dobrych kilku godzin. Albo i od samego rana. Jak tylko rozwarty się podwoje „Hoplanki”. Nie ma się zatem co dziwić.

– Podobno zabawa w Bobrowicach na drugą sobotę – zapodał Peresada.

– Ano podobno.

– To pohulamy.

– Oj, pohulamy – powtórzył młody Batiuk szczupły jak pensja. A palce miał jak klarnety.

- W te sobotę zabawa dla dzieciarni ma być.
- Żeby starsi zobaczyli, jak się można bawić grzecznie. I żeby wzięli przykład.
- Jak to jest z tym przykładem? – zapytał Wasyluk.–  
Idzie z dołu czy z góry?
- Przysłowie mówi, że z góry.
- Ale czasami powinien z dołu iść.
- Albo z boku.
- Z boku to można oberwać w ucho – rzekł Peresada.
- Aż góry butelką w łeb – ja mówię.

To powiedziawszy poszedłem do ubikacji, co była w podwórzu, bo cisnął mnie pęcherz. Przechodząc przez drugą salę usłyszałem w locie, jak któraś tubylcza panna mówiła do swoich koleżanek siedzących przy tym samym stoliku, że ona lubi stukać obcasami w kościele, chociaż wie, że powinna cicho chodzić, bo to przecież kościół, ale ona idzie i stuka obcasami, bo to jest silniejsze od niej.

– To jest silniejsze ode mnie – powiedziała i stuknęła obcasem o podłogę.

Z ubikacji nie wróciłem zaraz do salonu, tylko wyszedłem drugą bramą podwórza na górną uliczkę i chwilę tamostałem. Zimno było. Słońce o tej wczesnej czwartej popołudniowej zachodziło tam za Bobrowicami, za lasem tam, i mróz łapał jak to na noc. Postać chwilę, patrząc w niebo i dysząc o czymś niewymownym, niewysłowionym. Jedy wróciłem do „Hoplanki”, zacierając z zimna ręce, na naszym stoliku stało świeże wesołe pół litra. Peresada właśnie brał butelkę i rozlewał

do kieliszków. Zgrabnie to Peresada robił. Nie ma dwóch zdań. Miał fachowy tenisowy przegub do rozlewania wódki. Peresada więc rozlał i wypiliśmy. Ale nie wszystkim poszło gładko. Młody Batiuk zakrztusił się i zaczął kaszleć, wstrząsając długim ciałem. Twarz mu napuchła od tego kaszlu i załzawiły mu się ślipia.

– Poszło mu we francuską dziurkę – mówię.

– Poszło jemu w niemieckie gardło – powiedział Wasyluk.

– W żydowską ulicę jemu poszło – powiedział Peresada, który wstał, stanął za Batiukiem i zaczął go tłuc pięścią w kark, że tylko dudniło.

– Już, już – wycharczał po chwili młody Batiuk. – Już przeszło mnie. Nie bij ty już–.

– Teraz potoknij ty gardło piwem – poradził mu Peresada. – I na drugi raz tak zachłannie ty nie pij, czort. Wolno ty pij. Elegancko. Widział ty, jak krowa ładnie pije?

– Albo koń – ja mówię. – Jezu, jak elegancko pije koń.

– Ale to wodę piją. Jakby im wódki dać, to nie wiadomo, jakby było – zauważył młody Batiuk, wycierając rękawem kapoty łzy, które mu kaszel wydusił z oczu.

– Co żyje, to rośnie – ozwał się z okolicy zapity głos.

– Ukośnie – dodał inny głos.

– Gnój trza przyorać, bo śmierdzi – zapodał agronom–  
–esteta.

– A lud roboczy wytrzeszcza oczy. Gdzieś mniej więcej wtedy otworzyły się drzwi do gospody, jakiś dzieciak wsunął rudy łobuzerski łeb i krzyknął:

– Jedzie autobus na Ukrainę.

Kilku chłopów wstało, szurając krzesłami i wylazło na dwór.

– Z Czerniawy – oznajmił Peresada. – Jada do Bobrowic, a potem idą przez las na piechotę. Na nich to już czas.

– No a co ze mną będzie? – spytałem.

Trzy były autobusy z Hopli na Ukrainę, to jest do Bobrowic. Według rozkładu jazdy jeden raniutko o szóstej, drugi gdzieś o drugiej po południu, a trzeci gdzieś o czwartej po południu, czwarta dziesięć. Ten właśnie. Mówię „według rozkładu jazdy”, bo autobusy jeździły, jak chciały. Godzina, dwie godziny spóźnienia, zimą zwłaszcza, to było normalne zjawisko. Niekoniecznie atmosferyczne. Nie miałem ja chęci jechać. Piło i gadało mi się elegancko i bardzo liczyłem ja dzisiaj na to normalne, godzinne przynajmniej spóźnienie autobusu. A tu masz!

– Ty nie przejmuj się, Pradera. Ja ciebie na ramię wezmę – powiedział Peresada.

– Jak już tak, to może ja ciebie – mówię. – Bo ty trochę lżejszy jesteś.

– Dobrze ty mówisz, Pradera, ale to my jeszcze później zobaczymy.

– Co zobaczymy później?

– Ano kto kogo weźmie na ramię. Kto na nogach będzie lepiej stał, to ten tego weźmie. Dobrze ja mówię?

– Dobrze ty mówisz, Peresada.

– No to daj nam, Boże, zdrowie.

– Aby nam się.

– Bęc.

– Bęc – powtórzył młody Batiuk długi jak miesiąc, a szczupły jak pensja. A palce to miał jak klarnety.

Wypiliśmy i odstawiliśmy szkło. Poczwórny ozwał się teraz ten słynny dźwięk pustych kieliszków o blat stołu zagłuszony charkotem motoru pekaesu, który zajechał i stanął pod samymi drzwiami gospody, gdzie prawidłowo miał przystanek. Dawniej pod gospodą stał słup oznaczający przystanek, ale wychodzący z salonu podchmieleni chłopci rozbijali sobie on twarde kute łby. I pewnej nocy słup zniknął. Dwa razy jeszcze Gromadzka Rada Narodowa asygnowała fundusze i ustawiano nowy słup z przytwierdzoną doń żółtą tablicą z rozkładem jazdy wypisanym na niej czarną farbą, ale nazajutrz po ustawieniu słupa znajdowano go w rowie po drugiej stronie tej głównej wiejskiej alei. Więc Gromadzka Rada dała spokój. To mi opowiedział przed chwilą Peresada. Pokiwałem na niego karcąco palcem i mówię:

– Oj, Peresada. Coś mi się zdaje, że przynajmniej jeden słupek w rowie to była twoja sprawka.

– Ale ty, czort, domyślny, Pradera. Ale ty widzisz, pomylił się. Nawet jak ja by chciał to zrobić...

– To zawsze było za późno – zaśmiałem się.

– Ot, co – zaśmiał się Peresada.

– Za każdym razem cię ktoś wyprzedził – zaśmiałem się.

– Ot, co – zaśmiał się Peresada.

– Pan zamówił u stolarza nową budę dla nas na zrąb – zapodał Wasyluk.

– Tak powinno być. Wszędzie są budy na zrębach. Jak świat długi i szeroki – powiedziałem jak światowiec.

– Będzie przynajmniej gdzie obiad zjeść w południe.

– I gdzie narzędzia zostawić. A nie co dzień dźwigać wewte i nazad.

– I gdzie przed zawieruchą się schować. Jak się rozhula.

– W tej starej budzie z przeszłego roku, to wiało jak wszyscy diabli.

– Dlatego Pan zamówił nową u stolarza. Za trzy tysiące złotych.

– No i bardzo ładnie.

Peresada rozlał swoim tenisowym ganimedesowym przegubem resztówkę z butelki do kieliszków, cyknęliśmy się, wypiliśmy i spojrzeliśmy po sobie. Pierwszy odezwał się Peresada.

– Mnie to teraz bierze smak na litra – rzekł.

– Liter to może za wiele – nieśmiało bąknął Wasyluk.

– Jak pan się zapatruje, panie Janku? – spojrzął na mnie.

– Słuszna uwaga, panie Wasyluk. Bardzo słuszna – poparłem go. – Trzeba się z groszem trochę liczyć. Ostatnie pół litra i Święto Lasu.

– Pół litra i Święto Lasu – powtórzył młody Batiuk długi jak miesiąc i tak dalej.

– Pół litra to pachnie mnie malizną – rzekł Peresada –



ale jak chcecie – Pani! – zawołał ostro.

– I co na zakąskę? – spytała pani, kiedy się zjawiała.

– Cztery piwa i zimne nóżki.

– Zimne nóżki się skończyły – oznajmiła kelnereczka.

– To byle co – powiedział Peresada. – Byle tanie. Nie będziem my wydawać pieniędzy na jakieś majonezy.

– Pójdę zobaczyć do gabloty, co jest – rzekłem.

Kiedy wstałem, poczułem w nogach tę słynną łodygowatą wiotkość, a w piersiach słodkość i błogość od wypitej ilości i jakości. Jeśli dodać do tego dym od papierosów snujący się pod sufitem coraz grubszą warstwą, tak, że stojąc, głowa do połowy już w nim tonęła, jeśli dodać do tego świeżą pamięć tamtego dymu zewsząd się wydobywającego, z podłogi,

z uszu, nosa i ust młodego Batiuka, z włosów Peresady, z szybki butelki stojącej na stole, z zimnej galaretki na talerzykach, zewsząd; jeśli dodać do tego tysiąc innych rzeczy i tę tysiąc i jedną moją rzewność nad rzewnościami – to kim ja byłem i gdzie ja byłem, i czy ja w ogóle gdzieś byłem i czy ja w ogóle byłem?

Popłynąłem między stolikami, kurs na bufet, i kiedy tam dobiełem, przystawiłem czoło do szybki akwarium z zakąskami, żeby zobaczyć, co jest. Niewiele było. Parę jajek na twardo na talerzykach polanych zastygłym majonezem o kolorze żółtej febry, parę kawałków wątróbki w kanibalistycznym kształcie ludzkich języków i jakieś puszki YANO LUNCHEON MEAT po 16 złotych i 80 groszy. Co to było i skąd się to tutaj w Hopli wzięło?

Niezbadane są drogi opatrności. To jest, niezbadane są drogi zaopatrzenia, chciałem powiedzieć. Opatrności oczywiście też. A jakże, a jakże.

Kiedy tak stałem przy bufecie, zagaił mnie jeden facet. Pół chłop, pół robotnik i trzy czwarte nygusa–bumelanta. Absolutnie zdeklasowana jednostka. Podciągnął z brzucha kapotę i mówi:

– Patrz pan, jaki pas. Ile pan dasz za niego? Oficerski pas, panie.

– O, to pan ma lepszy. Bo ja mam tylko podoficerski – mówię, podciągając kapotę i sweter i pokazując mu swój pas. Taki sam jak jego.

– Podoficerski to gównno, panie. Oficerski to jest pas. Jak pan przyrzniesz swojej kobiecie, to przynajmniej poczuje.

Wzięłem go za ramiona, szarpnąłem do siebie, nachyliłem mu się do ucha i cichuteńko mówię:

– Jak ja bym ją uderzył, to ja bym sobie potem rękę uciął. A jeszcze potem bym poszedł na tory.

I odsunąłem go na całą długość rąk, patrząc mu w oczy.

– Rozumiesz, pan? – mówię.

– Tak, tak – odparł szybko on. – Rozumie, panie. Rozumie.

Zdjął ostrożnie, delikatnie moje ręce ze swoich ramion i wycofał się tyłem, odpłynął szybko w dymie tym czy tamtym, nie wiem dokładnie. Dymu było tyle, że nie rozróżniałem już, jaki dym jest jaki. Zastłony są ciężkie,

grube i długie,

od wysokości do samej ziemi, do samych stóp się ścielą i jest ich wiele, jedna na drugą zachodzi, nie można się z nich wyplątać. Strzeżcie mnie, zorze miłe.

– I co ty zobaczył w gablocie ? Co tam jest na zakąskę ? – spytał Peresada, kiedy przypląnąłem do stolika.

– No więc tak: są jajka w majonezie...

– Paszo } won majonezy.

– Więc są jajka w majonezie, jest smażona wątróbka i coś takiego więcej dziwnego.

– No a co takiego?

– Jakieś konserwy zagraniczne. Ale dziwne jakieś.

– Może to być, że to są tończyki – zauważył Peresada.

– Taka ryba. Jadł ja ją kiedyś w Sławie, jak ja konia sprzedał. Delikatna rzecz, ale w smaku ona mdła jest jak rycyna.

– A śledzi tam nie było, panie Janku? – spytał nieśmiało Wasyluk.

– Ano, niestety, panie Wasyluk, niestety. Ja bym też śledzia teraz przekąsił. Jednak nie ma to jak śledź.

– Nie ma to jak śledź – powtórzył młody Batiuk długi jak miesiąc, a szczupły jak pensja. A palce to miał jak klarnety. W koszykówkę powinien młody Batiuk grać, toby zrobił karierę.

Tak, że stanęło na wątróbce. Kelnereczka przyniosła świeże wesołe pół litra, cztery piwa i na talerzykach cztery porcje smażonej wątróbki, jako się rzekło. Peresada rozlał tenisowym ganimedesowym przegubem wódkę do

kieliszków, nie po pełnym, żeby było na trzy kolejki, cyknęliśmy się i wypiliśmy. Poczwórny ozwał się znowu ten słynny dźwięk odstawianych pustych kieliszków na blat stołu niezagłuszony charkotem motoru pekaesu, który już dawno odjechał był na Ukrainę, do Bobrowic i z Bobrowic wrócił do Hopli, stanął na krzyżówce, nie przy „Hoplance”, bo wracał do Głogowa inną drogą, przez Końskie Doły, i zajechał już był dawno do Głogowa wzmiankowanego, a teraz, Bóg wie, po przełomach i zapadliskach jakich zimowych dróg się telepał. Potoknęliśmy gardła piwem, odstawiliśmy kufle, inny ozwał się słynny dźwięk, potem każdy wziął w łapę swój kawałek wątróbki i ugryzł kęs. – A Tomaszewski majstruje i majstruje tego swojego psa – odezwał się Wasyluk. – Światło u niego do późnej nocy pali się. Ja idę spać, patrzę przez okno, u niego pali się.

– Co za pies? – ja pytam.

– Mechaniczny pies na polowanie. Będzie szczekał i latał jak żywy. Jak prawdziwy pies.

– Ot, co. Jakby to mało prawdziwych psów na świecie było – powiedział Peresada – że trzeba jakieś elektryczne wymyślać.

– Psów jest dosyć – ja mówię. – Psów i suk, i co tylko chcesz. Ale to nie o to chodzi. To chodzi o Ducha Wynalazku.

– To lepiej ty powiedz Diabła, a nie Ducha.

Gdzieś mniej więcej wtedy od jednego z okolicznych stolików wstał jeden chłop i zaczął dookoła tego stolika

krażyć. Mnie właśnie też gdzieś mniej więcej wtedy zachciało się znowu iść na stronę, jak to się mówi, bo znowu cisnął mnie pęczarz, ale jakoś nie wstałem od razu, a kiedy wstał ten chłop i zaczął krażyć młyncem dookoła stolika jak źle trafiony zajac, to ja już nie mogłem wstać, bo wdałem się w patrzenie i wdałem się w liczenie. Ile razy on okraży stół? Liczyłem jego okrażenia tak, jak kiedy zaczyna kukać w lesie zazula i człowiek myśli: za ile dni znowu ją zobaczę? albo: za ile dni znowu ją zobaczę? albo: za ile dni znowu ją zobaczę? albo coś tam innego, i człowiek liczy: trzy, cztery, pięć... Chłop krażył. Nikt nie zwracał na niego uwagi w „Hoplance” ani jego towarzysze z tego stołu, przy którym siedział, a od którego wstał i dookoła którego teraz krażył młyncem jak źle trafiony zajac, z głową lekko przechyloną na bok. Siedem, osiem, dziewięć... Wyglądało na to, że wszyscy tu znają na pamięć te jego manewry, bo nikt, mówię, nikt zupełnie nie zwraca! na niego uwagi. On też niczym się nie przejmował. Krażył. Dwanaście, trzynaście... Nie wiem, na czym to polegało, czy to było jego hobby, czy maniakalis–maniakalis, czy jakaś inna siła wyższa, vis maior, jak mówią w Islandii. Siedemnaście razy nasz człowiek okrażył stół i siadł. Wtedy ja wstałem i popłynąłem szybko do kibla, co to był w podwórzu.

I na pewno gdzieś mniej więcej wtedy zaćmiło mi się w oczach i we łbie. Kiedy wyszedłem na dwór, musiało mnie uderzyć mocno w ciemną zimną mroźną twarde jak kamień powietrze wieczoru tego niedzielnego

styczniowego, a kiedy wróciłem, gorące parne gęste i dymne powietrze gospody trzepnęło mnie z drugiej strony, tak, że już byłem gotowy. Wiotki jak wodna lelija siadłem na krześle, zamknąłem oczy, na które i tak już niewiele widziałem, zwiesiłem łeb i już tylko dochodziły mnie słuchy, mamrotanie głośnej społecznej spowiedzi, strzępki rozmów, wszystko z jakiejś oddali coraz dalszej, coraz dalszej...

– Te wszystkie przepisy, co oni piszą, to wziąć i o dupę potłuc. Ja, panie, jestem indywidualny chłop. Ja po swojemu robię i wszystko mi jakoś, panie, rośnie.

– Ukośnie.

– Gnój trza przyorać, bo śmierdzi.

– Boli mnie noga w biodrze.

– A lud roboczy wytrzeszcza oczy.

– Kocham cię, Gałązko Jabłoni.

– Ten, co pracuje w rzeźni, to się chociaż mięsa nażre. A ten, co w cegielni, to gliny się przecie nie nażre. A robi za te same pieniądze, co ten w rzeźni. I mówi się: równość płac.

– Co tu robić, cholera? Stęskniłem się za wnuczką, ale boje się, że jak przyjdę do chałupy, to mnie żona zbije.

– No to daj nam, Boże.

– Aby nam się.

– Pij, Batiuk. Będziesz durniejszy.

– Ty, obudź się, Pradera, bo cię ukradną.

– Kocham cię, Gałązko Jabłoni.

– A kto zgadnie, jaki jest najtańszy żywiec w Polsce?

Świnia? Krowa? Owca? Gówna prawda. Najtańszy żywiec to jest baba. Jak waży 50 kilo to po 2 złote za kilo, za 100 złotych ją można kupić.

– On teraz awansował. On teraz jest od tego: przynieś, wynieś i wyjdź sam.

– Skończyły mu się dobre czasy.

– Kolegów nie poznawał.

– Jak się upił, to się chwalił, że ma hrabiowską urodę.

– A teraz w takich butach łązi, że jak na papierosa nadeptnie, to go w nogę parzy. – Hrabiowska uroda mu tylko została.

– No i kto kogo weźmie na ramię, Pradera. No? Kto kogo?

– Uwielbiam cię, Gałązko Jabłoni.

– Co żyje, to rośnie.

– Ukośnie.

– Gnój trza przyorać, bo śmierdzi.

– Boli mnie noga w biodrze.

– A lud roboczy wytrzeszcza oczy.

– Nie opuszczaj mnie, Margarito de la Mar.

Szedłem duktem. Po wczorajszym popiciu nie czułem się najlepiej. Co by się nie mówiło, wytrąbiliśmy wczoraj w „Hoplance”, we trzech, a potem dołączył się Wasyluk, te półtora litra gorzały i tę beczkę piwa. To nie jest tak dużo, choć i nie jest tak mało, ale znowu nie jest jednak tak dużo, żeby się człowiekowi urywał film, czyli gubi nić Ariadny i nie wie, co się dzieje. Co mi się wczoraj przydarzyło. Nie

wiem, nie pamiętam, o której wynieśliśmy się z „Hoplanki” i jak dojechaliśmy z Peresadą do Bobrowic, on na siodle roweru, ja na ramie. Musieliśmy się parę razy, ale to porządnie, wywalić na szosie, bo cały potłuczony jestem. Wszystkie kości mnie bołą. Najważniejsze, że wszystkie całe. Nic nie złamane ani nie zwichnięte. Potłuczone tylko wszystko. Peresadą i Młody Batiuk przytaskali mnie na kwaterę i rzucili na wyro, jak mi powiedziała dzisiaj rano Babcia Oleńka. Ale kwasu z kiszanej kapusty nie miała w chałupie. A taką miałem chęć na kwas, kiedy rano wylazłem z betów. Paliła mnie zgaga i głątwę miałem jak od Bobrowic do Hopli i z powrotem. Czułem się jak pięć minut, jak to mówią. Czułem się kruchutki jak pusty kieliszek stojący na jednej nóżce na chybocącym się stole.

Szedłem więc duktem, szeroką przesieką między dwiema ścianami lasu. Z oddali, od zrębu, słychać było siekierozadę, stukanie, pukanie, piłowanie, zgrzytanie pilników o stal i tak dalej. Jakiś ptak świsnął mi nad głową jak niecelnie rzucony za mną kamień, ale jeszcze coś, poza tym wszystkim, słyszało się w powietrzu. Jakieś brzęczenie ciche, bardzo ciche, ale nieustanne. Takie brzęczenie, jakie na wiosnę idzie od kwitnących krzewów malinowych, gdzie buszują osy, pszczoły, trzmiele i co kto chce. Ale cichsze trochę. Ale tak jakby narastające. I nieustające. To brzęczenie w powietrzu. Co to mogło być? Ciekawy byłem. Słuchałem tego, bo nie mogłem nie słuchać. Cały zasłuchałem się w to brzęczenie. Co to



mogło być? Szło z jakiejś dalekiej oddali, ale nie wiadomo, z jakiej strony, choć wyraźnie narastało. Bardzo wyraźnie narastało. Powietrze teraz brzęczało, jakby na wiosnę buszowały osy, pszczoły, trzmiele i co kto chce, nie w kilku rzędach krzewów malinowych, na kilku zagonach, ale na dwóch hektarach, na czterech morgach obsadzonych samymi malinami. Oczywiście patrzyłem w górę, ale nic nie widziałem. Brzęczenie tymczasem nie przestawało narastać. Co to mogło być, na Boga? Poczuję się trochę dziwnie. Trochę tak, jakby zacząłem się bać. Tak jest. Zacząłem się bać. I kiedy zacząłem się bać, to coraz bardziej zacząłem się bać. Strach mój narastał w miarę, jak narastało to potworne brzęczenie. Potworne. Patrzyłem w górę, ale ciągle nic nie widziałem. I nie wiedziałem ciągle, skąd to idzie, z której strony. Cały las zanosił się tym brzęczeniem i może dlatego nie mogłem się zorientować, z której strony ono idzie, z której strony ono nadchodzi, zbliża się groźnie. To brzęczenie. Zszedłem z przesieki i wszedłem w przybrzeżny las. Cały las rozbujany, rozdygotany, rozedrgany był tym brzęczeniem. Od zrębu już od dawna nic nie było słychać. Straszliwe brzęczenie zagłuszyło siekierozadę albo oni tam przerwali robotę i weszli w las, i pochowali się za drzewa. Tak jak ja. Nie wiem. Ja zapaliłem papierosa i rozglądałem się dookoła po ziemi, jakbym czegoś szukał. Nagle zdałem sobie sprawę, czego szukam. Przeróżające to było. Zdałem sobie nagle sprawę, że szukam nisko oczami schronu. Ale nie było nigdzie schronu. Nie było. Brzęczenie było.

Niesamowite. Potworne. Przykucnąłem pod drzewem i paliłem papierosa, sztachając się raz po raz i trzymając papierosa w ukryciu, w zwiniętej trąbce dłoni, tak, jakby to nie był dzień jasny, poranek zimowy świetlisty, ale noc, ciemna noc, choć nie głucha, absolutnie odwrotnie, i ktoś mógł dostrzec ogień od mojego papierosa, ognik ten. A paliłem tego papierosa, nie wiem, jakoś tak go paliłem, z jakąś taką podświadomością wyłazącą na wierzch, jakby to był ostatni papieros, który palę w życiu. Bolały mnie uszy. Wszystko brzęczało straszliwie: powietrza niezmiernie przestworza, tysiącliczebne drzewa i głowa moja biedna była cała jednym straszliwym brzęczeniem. I wtedy pomyślało mi się straszliwie, że to jest koniec wszystkiego, koniec świata, zagłada totalna, Blitzkrieg. Lecą eskadry bombowców, lecą rakiety i zaraz będzie po wszystkim. Nic nie zostanie. Nawet nie wstyd. Tylko jedno ogólne rozczarowanie gwiazd patrzących na nas z nieba. No bo dlaczego nie mogłem tak pomyśleć? Kto mi powie, przekona mnie, da mi dowody, że w żaden sposób nie miała prawa taka myśl powstać mi w głowie? Kto mi powie: szalony jesteś, albo chociażby zwyczajnie: głupi jesteś? Przykucnięty, przycupnięty pod drzewem, skulony wpół, nisko, jakbym chciał, z braku schronu, pod ziemię się schować, pomyślałem więc o zagładzie totalnej, o Blitzkriegu, i zaraz natychmiast pomyślałem o tobie, dziewczynko moja, Gałązko Jabłoni, że ja tutaj w tych lasach, a ty tam daleko w dżungli miasta i smutek nieludzki, rozpacz bezgraniczna, że nie jesteśmy razem

w tej chwili totalnej zagłady, w tym momencie końca świata, szybko wyjąłem z kieszeni twoją fotografię, tę, którą nam zrobił Lechu wtedy na targu, w spodniach jesteś, w różowej bluzce i w tym słynnym zielonym żakiecie; patrzysz tak, jakbyś na mnie patrzyła, choć ja za tobą stoję, trzymam lewą rękę na twoim ramieniu, dookoła nas stragany, kosze z owocami, kwiaty, Czarna Mańka, pamiętasz, ludzi dużo na targu, kupa narodu, wszyscy oni zaraz zginą, bo już lecą rakiety; więc to zdjęcie wyjąłem z kieszeni bluzy, szybko, szybko, i trzymając je w dłoniach obu rąk przycisnąłem cię do ust, bo tak chciałem zginąć, tak właśnie, z tobą na ustach i z twoim imieniem, przemknęło mi przez głowę, że tak właśnie ginęli pierwsi chrześcijanie, z krzyżem na ustach, z fotografią Boga na ustach i z Jego imieniem, a ja z twoją fotografią i z twoim imieniem, ale pomyślałem wtedy, że to jednak niemożliwe, to nie może być, nie może to być zagłada totalna, dlatego tylko, że nie jesteśmy razem, dlatego, że ja tu w tych lasach, a ty tam daleko w dżungli miasta, ty i ja, wiesz, dlatego więc właśnie, że nie jesteśmy razem w tej chwili, to dlatego nie może to być Blitzkrieg, koniec świata, zagłada totalna, a więc i nasza zagłada, i zaiste, zaiste nic się ciągle nie działo, bomby nie padały, drzewa nie padały, świat się nie walił, gwiazdy tam na niebie patrzyły dalej zaczarowane na tę małą planetę, tylko to brzęczenie niesamowite, potworne. Uniosłem lekko głowę i wtedy poprzez stojące niepadłe drzewa zobaczyłem je. Leciały niziutko nad lasem. Dziewięć ich leciało: jeden, trzy, trzy

i dwa. Olbrzymie transportowe helikoptery. Wyglądały jak olbrzymie przedpotopowe latające stwory, archeopteryksy, zwierzo–ptaki, gigantyczne wazki. Wolniutko sunęły w powietrzu, wolniutko oddalając się.

Doszedłem do zrębu i wziąłem się do roboty. Niesporo mi szło. Mizernie się czułem i krucho. Nawet nie słabosilnie. Tylko słabo. Marnie. Moja rąbalnica nigdy mi tyle nie ważyła. Ale rąbałem jakoś. Śpiewałem jakoś cienkim głosem w chórze siekierzady. I cały drżący byłem. Cały Boży dzień nie opuściło mnie to drzenie, to echo tego straszliwego brzęczenia. Co jakiś czas schodziłem ze zrębu i wchodziłem w las za czystym śniegiem. Całymi garściami pakowałem go sobie w usta i ssałem i jadłem go, bo paliło mnie gardło i w piersiach mnie paliło, i kiedy żarłem śnieg, to mi sprawiało ulgę. O czystym śniegu przeżyłem ten dzień. Nic nie jadłem, bo nie chciało mi się. I prócz tego jednego papierosa raniutko, cały dzień na zrębie nie paliłem. Tylko śnieg żarłem i żarłem jak smok, któremu palą się zatrute wnętrzności. I jeszcze nacierałem sobie nim twarz, uszy, czoło, bo bez przerwy pętały mi się po głowie bardzo katastroficzne myśli i kiedy mazałem się śniegiem, to mi sprawiało ulgę. Dobry, kochany śnieg.

Tej nocy miałem sen: szedłem piaszczysto–kamienistą jakąś drogą. Była to droga, bo widać było na niej ślady kół, mocno zatarte, ledwie ledwie, ale jednak widoczne. Tym tylko wyróżniała się ta droga od półpustynnej nagiej

bezludnej okolicy porośniętej z rzadka karłowatymi krzewami. Nogi mi grzęzły w sypkiej tej dominancji i piasek wlaził do butów. Pełne buty piasku. Zdjąłem je, żeby iść wygodniej, boso, ale musiałem zaraz na powrót je nałożyć, bo piasek był tak palący, że nie można było boso po nim stąpać. Bluzy i koszuli też nie mogłem ściągnąć z pleców, bo słońce wtedy ściągnęłoby ze mnie żywcem skórę. Słońce paliło bezlitośnie. Stało okrakiem nad moją głową w zenicie tak pionowym, jakiego się nie spotyka na średnich szerokościach. Szedłem z gołą głową, jak to ja, ale czułem, jakbym miał ciasno Osadzony na głowie ciężki średniowieczny hełm. Wszystko białe było. Nie biało–żółte lub biało–pomarańczowe, lub biało–szare, ale biało–białe. Tak białe, że aż zasnute jarzącą się mgiełką wszystko było. I cicho było. Ni wiatru, ni nic. Niewymownie. Jakby już nawet nie śmiertelnie. Bardziej. Coś takiego jak wieczna cisza. Nawet piasek, po którym szedłem, grzęznąc, nie syczał niby wąż. Tak samo kamienie toczące się spod butów nie czyniły najłżejszego hałasu. Szedłem lekko pod górkę z przymrużonymi szczelnie oczami, kroki stawiając powoli i ostrożnie, bo czułem, że od tej ciszy mogą mi pęknąć żyły w kostkach. W pewnej chwili przystanąłem i pomyślałem: czy to jest możliwe? Tak cicho było, że aż usłyszałem brzęczenie tej ciszy. Ale czy to jest możliwe? Mnie to się wydało możliwe. Wyszedłem na płaskowyż i wtedy zobaczyłem w pobliskiej oddali ten dom. Wielki dom. Straszno–mieszczkańska czteropiętrowa kamienica samotnie stojąca pośrodku nagiej tej okolicy.

Ślady kół karawanu, mocno zatarte, dawne, pradawne, ledwie widoczne w piasku i żwirze drogi, tam prowadziły. Ale dlaczego karawanu? Dlaczego nie jakiegoś innego dyliwozu? A skąd ja to mogę wiedzieć? Brzęczenie tymczasem w miarę, jak zbliżałem się powoli do tego grobowca, jakby trochę głośniejsze było. Więc jednak nie było to brzęczenie ciszy. Brzęczenie szło stamtąd. Od tej kamienicy. Powoli doszedłem tam. W oknach nie było okien, ni futryn, ni nic. Same tylko puste otwory. W drzwiach też nie było drzwi. Wszedłem przez ten otwór i znalazłem się na klatce schodowej. Bo niczego, prócz nagich murów, nie było, ale schody były. Brzęczenie ciche, choć dużo wyraźniejsze niż przedtem, szło z góry. Trzymając się poręczy, zacząłem iść po schodach, drewnianych, starych, ale nie trzeszczały, nie skrzypiały pod moimi krokami, nic. Wszystko bezgłośnie było. Ni słyhu. Wszystkie dźwięki przepadły gdzieś. Pochowały się w swoich norach i tam siedziały cicho, nie wyłaziły, żeby nie przeszkadzać brzęczeniu temu cichemu, ale absolutnie despotycznemu. Albo może umarł tu wszelki dźwięk, prócz tego jedyne go. Powoli wszedłem na pierwsze piętro. Tu też, jak na parterze, w drzwiach dających na klatkę schodową nie było drzwi. Przez te puste otwory widać było puste pokoje, bezludne i niedorzeczne, i widać było w gołych ścianach puste okienne otwory, przez które widać było dziki, górzysto-pustynny krajobraz porośnięty z rzadka karłowatymi jakimiś krzewami.

Wszedłem na drugie piętro. To samo. Czyli nic. Pusto.

To brzęczenie ciche, choć coraz wyraźniejsze magnesowało mnie do siebie, wiodło mnie, prowadziło mnie, jak się na przykład prowadzi krowę na sznurku. Nie bałem się, to było przedziwne. Ja, który się nie boję: niespotykana rzecz. Wszedłem wolniutko na trzecie piętro i bardzo wolniutko na czwarte. Nic. Pusto. Otwory w ścianach jako drzwi, puste pokoje, otwory w ścianach jako okna, pusty pustynny krajobraz za oknami. Brzęczenie ciągle szło z góry. Podniosłem głowę i spojrzałem tam. Aż zapiekły mnie boleśnie oczy. Wąskie, lekko kręcone schody prowadziły na dach. Przez pusty, kwadratowy otwór widać było to, co powinno być niebem, białe, drżące, jarzące się coś, co powinno być powietrzem. Wszedłem na te wąskie, ślimakowate schody i powolutku wspinałem się w górę. Kiedy głowa moja do połowy, do połowy oczu, wychyliła się nad otwór, zobaczyłem tego Człowieka. Stał odwrócony do mnie tyłem na jednej z krawędzi płaskiego dachu. Nie mówię, na której stał krawędzi, na północnej czy południowej, czy wschodniej, czy zachodniej, bo nie wiedziałem, gdzie są poszczególne strony świata. Słońce stało w zenicie arcypionowym i nie można się było po nim zorientować, jako że stało nieruchomo. Nieruchomo też stał ten człowiek naprzeciw mnie, na krawędzi dachu, patrząc w dal. Ubrany był w czarny garnitur, a na głowie miał także czarny kapelusz, melonik owalny z krótkimi wąskimi skrzydłami. Brzęczenie bardzo wyraźnie szło od niego. Wylazłem na dach i stanąłem za nim w tej odległości, jaka była pomiędzy otworem, przez który

wylazłem i który był pośrodku tego płaskiego dachu, a tą krawędzią, na której on stał nieruchomo, patrząc w dal. Nie bardzo wiedziałem, co robić. Zawołać jakoś na niego? Ale jak? Pomyślałem, że gdybym zawołał, on mógłby się przestraszyć tym z nagłą na niego zawołaniem i stracić równowagę na tej swojej krawędzi, i spaść z dachu na dół. Nie wyglądało, że wie, że ja za nim stoję i że oczekuje mojego zawołania. Wszystko cicho było, wieczna cisza nieskończonych przestrzeni, ale która mnie nie przerażała, tylko to niezależne zupełnie od tej ciszy, osobne, udzielne brzęczenie, które szło od niego i w którym jakby on także cały był zasłuchany. Patrząc w dal. Ja, patrząc na niego, jakoś też patrzyłem w dal, choć była to dal sześciu, siedmiu metrów, które mnie od niego dzieliły. Wiec nie wiedziałem, co robić: zawołać go jakoś, nie wiem jak, jakkolwiek, ale mógłby się przestraszyć, a podejść do niego i dotknąć lekko jego ramienia, też mógłby się przestraszyć i stracić równowagę na swojej krawędzi, i zlecieć na dół. Ale, będąc przy nim, mógłbym go powstrzymać. Właściwie to nie wiem, czy o tym wszystkim myślałem. W każdym razie ruszyłem w jego stronę powoli i nie na palcach, bo kroków moich i tak nie było słychać. Bezgłośnie były. Wszystko było bezgłośnie. Być może, wiedziałem jakoś podsekretnie, że także mój głos jest bezgłośny, i dlatego nie zawołałem na niego. Na nic by się zdało nieme, bezgłośnie poruszanie wargami. Tylko to brzęczenie było głośnie i jeszcze głośniejsze w miarę, jak się do niego zbliżałem. Doszedłem do niego



i stanąłem za nim, za jego plecami i wyciągnąłem rękę, i leciutko, ledwie ledwie, tak jak ledwie ledwie widoczne były ślady kół karawanu w piasku drogi, po której przedtem szedłem, tak więc ledwie ledwie dotknąłem jego ramienia. Dotknąłem go tak ledwie ledwie, po motylemu, że musiał nie poczuć mojego dotknięcia. Być może nie poczuł także z winy tego jego brzęczenia głośnego upartego, jakiegoś takiego fabrycznego albo jak kiedy na tartaku pracuje piła. Dotknąłem go drugi raz, puknąłem go leciutko palcem w ramię i wtedy on bardzo wolniutko odwracał się odwracał się odwracał się. Odwrócił się i staliśmy teraz twarzą w twarz. Twarz jego, w twarzy jego, twarz jego była twarzą, ale niczego z niej nie pamiętam: czoła, nosa, policzków, ust, usta zdaje się miał zaciśnięte, ale nie powiem na pewno, nie pamiętam, nie pamiętam, tylko te dwa wielkie oczodoły, dwa otwory, dwie dziury w miejscu, gdzie są oczy człowieka. I przez te dwie dziury, te dwa otwory, jak przez okrągłe bulaje w kajucie statku, widać było kłębiące się tam i brzęczące tysiące pszczoł i os. Jednym brzęczącym gniazdem os była jego głowa. Ulem gotującym się od pszczoł była jego głowa i wtedy zaczęły one wylatywać przez te dwie dziury po byłych oczach dwoma brzęczącymi strumieniami. Na wprost. Na mnie. Zdażyłem zasłonić oczy i twarz i wtedy obudził się ten z zasłoniętą dłońmi twarzą.

Zobaczyłem między palcami, że ciemno jest w izbie i za oknem. Zdjąłem dłonie z twarzy, odgarnąłem bety, postawiłem bosc nogi na podłodze i tak chwilę siedziałem,

potrząsając głową, bo wszystko mi tam jeszcze w niej brzęczało. Potem wstałem, nałożyłem spodnie, na skarpety onuce, na onuce gumiaki, wziąłem ręcznik i mydło, i wyszedłem na podwórze do studni. Ciemno było jeszcze. Na wschodzie dopiero przejaśniało się z lekka i nieśmiało. Mroźnie było. Gwiazdy błyszcząły, migotały ostro, jak to zimą, na wielkim czystym niebie. Półkula nieba cała usiana była nimi jak czarna peleryna wielkiego maga nabita złotymi pszczołami. Potrząsałem głową, żeby wytrzepać z niej te pszczoły tam pozostałe i wziąłem się do wyciągania wody ze studni. Długo chlapałem lodowatą wodą ciągle jeszcze brzęczący mi łeb. Potem, w kwaterze, dokończyłem ubierania się, załadowałem trochę prowiantu do chlebaka, z worka kartofli, które kupiłem po kumotersku od Selpki, wybrałem ładnych dorodnych piętnaście sztuk, i też władowałem je do chlebaka, i poszedłem do roboty, bez herbaty, bo w ciupce u Babci Oleńki jeszcze się światło nie paliło. Spała jeszcze Babcia Oleńka. Co się śniło Babci Oleńce?

Minąłem wioskę i skręciłem w lewo na sage przez pola. Dużo w plecy. Ze wschodu. Twarda skorupa śniegu co jakiś czas pękała mi pod stopami i zapadałem w jakąś wyrwę. Przede mną, w dali, widniała ciemna ściana lasu. Niewysoko nad lasem stał księżyc. Wschodzący za mną blask zaglądał mu tam do wygasłych kraterów. Nad tym wszystkim jastrząb bił skrzydłami na poranny łów. Niezdarny niby jego lot, ale niejeden skrzydlaty ciężko się na tym pomylił. Nagle coś mi wyskoczyło spod samych

nóg. Tak się przestraszyłem, że gibnąłem się do tyłu, potknąłem się o grudę i przysiadłem na tyłku. I jak się nie zaśmieję! Olbrzymi zajęć straszak, wielki gach, rosły jak miodowy jeleń, czmychał susami przez pole. A ja, siedząc na tyłku na śniegu, śmiałem się w głos. Niesamowity ten mój śmiech pośrodku nagiego zimowego pola o tej zarannej godzinie przedświtu, pod wielkim niebem usianym blednącymi gwiazdami. Cicho, pusto, a ja, ale się śmiałem! Coś niesamowitego. Niósł się po domenie mój śmiech jak w adwencie przed świtem dzwon z kościoła zwołujący wiernych na roraty. Jak dzwon wstrząsnął się mój łeb od tego śmiechu. Wszystkie osy, pszczoły, trzmiele i co kto chce wykurzył mi ze łba ten śmiech. Dobry, kochany śmiech.

Wstałem potem, kiedy uspokoiła mi się śmiechu maszyna i ruszyłem dalej. Przechodząc koło leśniczówki Bogdańskiego, wziąłem moją siekiere, którą zostawiałem za płotem w ogródku, żeby jej nie dźwigać co dzień na kwaterę i z powrotem na zrąb. Na podwórzu rozszczękały się psy: Lord, Kazań i Karuś – ulubiony pies leśniczego ten ostatni. Bezbłędny na dzika. Leśniczy powiedział mi wczoraj, kiedy wstąpiłem rano do niego spytać, czy mają kwas z kiszanej kapusty, że Tomaszewski nigdy nie wymajstruje takiego sztucznego mechanicznego psa jak Karuś. Nigdy. Potem pokazał mi leśniczy w sadzie swoją dumę: odmianę wiśni o nazwie Minister Podbielski. Mówił, że odporna na mróz i na szarą zgniliznę. Owoce duże i bardzo sokowate.

Na zrębie nie było jeszcze nikogo. Pierwszy dzisiaj byłem. Nazbierałem cienkich suchych gałązek i zaszedłem do ostatniego z wczorajszych ognisk na mojej działce. Odgarnąłem z góry popiół, żeby się dostać do żaru, który tam pod popiołem całą noc się zachował i tlił się. Położyłem nań suche gałązki i podmuchałem, aż strzelił płomień. Kiedy rozpałem porządne duże ognisko, usiadłem na pniu, wyjąłem z torby prowiant i zjadłem suche, bez herbaty śniadanie. Potem zapaliłem papierosa i czekałem, aż się dobrze rozjaśni. Kiedy przyszedł Selpka, poszedłem do niego, na sąsiednią działkę, żeby mnie poczęstował łykiem gorącej herbaty, bo sucho miałem w gardle i chciałem popić trochę po śniadaniu, a śniegu nie chciało mi się dzisiaj zreć. Wczoraj za dużo się go nałykałem.

Potem rąbałem ostro do południa. Po południu Nikodem spuścił mi nową porcję wielkich bojarskich sosen. Ze trzydzieści sztuk. I znowu się zazieleniło na mojej działce. Bo wszystko, co przedtem powalone, już oczyszczone było, popalone gałęzie i cała zielenizna, opałówka na kupach, długie nagie pnie trzeba było teraz okorować. Ale do korowania wezmę się potem. Kiedy oczyszczę to, co mi dzisiaj spuścił Nikodem. Najpierw skończyć z tym. Trzy, cztery dni. Potem niech mi Nikodem nie spuszcza już nowej porcji. Będę korował. Żeby tylko mróz zelżał. Bo niemożliwe będzie korować na takim mrozie. Potem jak leśniczy z gajowymi postawią znaki ryszpakiem, co nie piłować, co piłować i gdzie, wtedy

wezmę się do piłowania.

Ze zrębu zszedłem dzisiaj wcześniej, bo wczoraj przywieźli mi drzewo na kwaterę i chciałem je porąbać. Od kilku już dni paliłem u siebie drzewem Babci Oleńki. Kiedy przyszedłem na kwaterę, do zachodu słońca była dobra godzina. Zjadłem coś, wypłem dwie szklanki herbaty i poszedłem do szopy rąbać. Rąbałem do ciemnego zmroku, a potem poszedłem do sklepu zakupić trochę towaru do jedzenia i wypić piwo. W sklepie pełno ludzi czekało na autobus do Hopli i do Końskich Dołów i do Głogowa. Według rozkładu jazdy autobus miał odjazd z Bobrowic szesnasta dwadzieścia, a dochodziła piąta i jeszcze go nie było. Kobiety milczały, mężczyźni kleli, wszyscy tupali nogami.

– Piwo, szefowa – usłyszałem znajomy głos.

– Dosyć, Peresada – powiedziała Wasylukowa, która, jak wiadomo, była w sklepie za ekspedientkę. – Już macie dosyć. Idźcie do domu.

– Co dosyć. Komu dosyć ? – krzyczał Peresada. – Piwo chce. Płace i wymagam.

Zauważył mnie w kolejce i od razu się uspokoił. Przepchał się do mnie, wsadził mi do ręki jakieś drobniaki, piwo – powiedział i pokazał mi ręką, że czeka na mnie w rogu sklepu. Kiedy dopchałem się do lady, zakupiłem trochę towaru, trochę puszek rozmaitych, smalcu, żeby go przetopić z cebulą i czosnkiem, trochę jajek, chleba bochen i władowałem to do torby, jajka na wierzch.

– Aha. I dwa piwa pani da.

– Na miejscu?

– Na miejscu.

Na drutach rozciągniętych wokół kaflowego pieca, co był za ladą, wisały, grzejąc się butelki piwa dla klientów, co życzyli sobie cieplejsze.

– Cieplejsze pani da. Spod pieca.

Zapłaciłem, wziąłem torbę i piwa, i poszedłem do Peresady. Dałem mu jego butelkę i popijaliśmy w rogu. Peresada zrobił mi trochę miejsca na skrzynce, z której przedtem głośno przepędził kota, i siadłem obok niego.

– Musim my, Pradera, po biber iść do Czerniawy, bo to już nie można żyć – rzekł Peresada. – Czterdzieści złotych liter, ty rozumiesz, Pradera?

– Dzisiaj nie mam sił zasuwac do Czerniawy – powiedziałem.

– Nie. Dzisiaj nie. Ja dzisiaj boski już jestem. Parę złotych ja miał, to wypił cztery piwa i po krzyku. Ale ty słuchaj mnie. W piątek ja sprzedaje dwa metry kneblówki z mojego przydziału. Po 50 złotych to jest razem 100. Zejdę z roboty trochę wcześniej i zajdę ja do ciebie na zrąb. I pójdziem my po biber do Czerniawy. Bo to już nie można żyć.

– Dobra. Będę na ciebie czekał. A jak my dojechaliśmy, Peresada, w niedzielę z Hopli do Bobrowic. Ja nic nie pamiętam.

– Ano, ano. Ja tobie zaraz opowiem. Ty nic nie pamiętasz, czort, ale ja pamiętam. Niemożliwy ty był. Kładł ty się w rowie i nie chciał iść.

– Nie.

– Tak, tak, czort. Niemożliwy ty był. We dwóch my z Batiukiem co kawałek ciebie dźwigali i ciągli, bo ty się wyrywał i uciekał nam. Kładł ty się w rowie na śniegu. W zasy ty skakał. Wyzywał ty nas, żeby my poszli i zostawili ciebie. Przecie ty zamarzyłby na kość, jakby my zostawili ciebie.

– Nie bój. Mróz by mnie ścisnął, to ja bym wstał i poszedł. Nie bój. Ja taki chojrak byłem, bo wiedziałem, że wy jesteście ze mną. Jakbyście poszli, to ja bym zaraz wstał i poszedł za wami. Nie bój.

– A gadał ty coś, ale takie dziwne coś. Musi, że to poezje ty deklamował. Zara, zara. Jak to szło? Ładne dosyć to było. Przed tym, coś tam, przed tym zajazdem, nie, przed tą karczmą, miły, nie zatrzymuj sań. Nie pij, ty miły, nie pij. Jakoś tak to było. I inne jakieś poezje ty deklamował.

– Aha.

– Dosyć ładne to było. Nie pamiętam ja wszystkiego, bo też ja miał w czubie sporo.

– Aha.

– I jakieś imię ty mówił. Kobity. Ale dziwne jakieś. Ja nigdy nie słyszał takiego imienia. Polskie ono było, ale, musi, że ono rzadkie jest, to imię, bo ja nigdy nie słyszał jego.

– Aha. Wypijesz jeszcze jedno piwo?

– Ty nie pytaj, Pradera, tylko przynieś koledze. Wypiliśmy następne piwo i potem jeszcze jedno, tak że ja wypilem trzy, a Peresada siedem i trochę mi zwiotczał przy

siódmym. Musiał chyba jeszcze przedtem coś wypić. Tak więc na mnie była teraz kolej wziąć go pod pachę. Podprowadziłem go pod chałupę i zostawiłem pod drzwiami. Cofnąłem się kawałek w mrok, żeby zobaczyć, czy wejdzie do chałupy, czy się cofnie i będzie chciał ruszyć na wieś i pętać się po chałupach za szklanką wina. Czy nie daj, Boże, denaturatu. Chciałem mu tego oszczędzić. Wszedł do domu, więc poszedłem do siebie, na kwaterę. Rozpaliłem w piecu, nahajcowałem porządnie, potem zgasilem światło i usiadłem na krześle, nogi wyciągnąłem na drugim krześle i popijałem czwarte piwo, które kupiłem w sklepie po cichu przed Peresada, chowając je do kieszeni. I tak popijając, siedziałem cichuteńko przy piecu, patrząc na tańczące po ścianach słynne błyski ognia przebijające przez te trzy słynne szparki w drzwiczkach pieca. Próbowałem o niczym nie myśleć, ale to o niczym, ale to zupełnie o niczym. Ale, niestety, znowu się nie udało. Nic a nic. Przeciwnie. Absolutnie odwrotnie. Gniazdem os myślących była cała moja głowa. Ulem gotującym się od pszczoł–myślicielek była cała moja głowa. Przypomniała mi się ta historia, jak młody bohater wyrusza w świat i na początku drogi ratuje pszczoły przed niedźwiedziem, a na końcu drogi królowa pszczoł ratuje go miodem od śmierci głodowej. Mnie jakoś nie szła miłość z królową pszczoł i braterska przyjaźń z jej rojem. Zamiast miodem pięknym złotym, straszliwym brzęczeniem mnie częstowano.

Nazajutrz w południe, jak już od kilku dni, zeszli się



do ognia na moją działkę Selpka z żoną chi–chi i młody Batiuk z matką. Na mojej działce tylko palił się ogień. Na innych działkach wszystko już popalili, co było do spalenia. Teraz korowali, ostro cięli, ustawiali kubiki z papierówki i kneblówki, i tak dalej. Ja tylko jeszcze miałem zieleniznę do palenia. Roz–siedliśmy się wokół ognia, ściągnęliśmy rękawice i zabraliśmy się do południowego posiłku.

– Jakiś ten chleb niedobry – odezwała się matka młodego Batiuka.

– Słodki jakiś. Jakby otręby pszenne.

– Albo słodki, albo kwaśny, albo gorzki, albo w ogóle zakalec. Wczoraj musiałam kaczkom namoczyć i pokruszyć. Taki był.

– Dawniej to suchy chleb był lepszy niż teraz smarowany.

– Nie umią piec w tej Hopli.

– Niemożliwie paprzą ten chleb.

– Jeszcze stary Majewski, jak nie pijany, to upiecze dobry.

– Tylko, że on, chi–chi, zawsze pijany – zauważyła żona Selpki.

– Nie chce zelżeć ten mróz i nie chce.

– Nie można korować wcale, tak twardo.

– Co chwileczkę, cholera, trzeba korowaczke ostrzyć.

– Mnie wczoraj korowaczka złamała się na pół.

– A bo to nie dadzą dębiny na stylisko, tylko jakieś gównno.

– Jakby nas podciągli pod przemysł ciężki, toby my więcej zarabiali. Wyższe stawki. A tak to podpadamy pod przemysł lekki.

– Jak to jest przemysł lekki, to ja ważę dwadzieścia pięć kilo – mówię.

Wieczorem, po siekierzadzie na zrębie i po siekierzadzie w szopie, gdzie porąbałem resztę kłoców, stałem przy piecu w izdebce Babci Oleńki i przetapiałem na patelni smalec ten, co go wczoraj zakupiłem w sklepie. Kroilem do niego cebulę i czosnek dla lepszego smaku i zapachu. Moja Gałązka Jabłoni nauczyła mnie tego dobrego sposobu przetapiania smalcu. Wszystko, co dobre, mam od niej. Wszystko.

W piecu trzaskał ogień, na patelni skwierczał smalec, obok na drugich fajerkach syczała gotująca się w czajniku woda na herbatę, na komodzie tykał markierujący budzik stojący na boku, bo gdy go postawić na nogi, przestawał chodzić; we wsi czekały na podwórzach psy, i były to te dźwięki słynne domowe ciepłe przytulne, rozdzierające ze wzruszenia serce włóczęgi zawsze i wszędzie, gdziekolwiek jest. Babcia Oleńka siedziała cichuteńko na łóżku przy piecu w swojej słynnej lekko kiwającej się pozycji. W pewnej chwili zaczęła mówić. Pół do siebie, pół do mnie, ale jakby jeszcze do kogoś.

– Nas to dużo strachy dobiły. W domu się nie nocowało, tylko w lesie my się chowały przed bandami. Albo w kościele. Po innych wioskach napadały nawet na kościoły. Ale u nas jakoś nie. I tak to my albo w lesie, albo

w kościele. Jak trwoga, to do Boga. Co noc, co noc. Dwieście, trzysta ludzi w tym kościele, bo nasza wioska duża. Czteryście numerów. Kobiety młode, stare baby i dzieci. Wszystko w kościele siedziało. Cicho, nie brechać, nie brechać. Rano my wracały i albo karteczka przyklejona na szybie „won uciekajcie na wasze piachy” albo dom spalony. Dymi się jeszcze.

Minęły dwa, może trzy pacierze i w białej główce Babci Oleńki zapaliło się inne światełko, wesołe, jasne, nie ponure i straszliwe jak łuna z płonącego domu, a potem popiół i zgliszcza. Babcia Oleńka zaczęła mówić teraz o czymś innym zupełnie, jeszcze dawniejsze czasy wspominając. Te, kiedy to we Francji była, dokąd pojechała za robotą, a potem wróciła na Wschód. Przed wojną to wszystko było. Babcia Oleńka właściwie nie mówiła do mnie. Wcale. Pół do siebie mówiła i pół do kogoś jeszcze. Ale nie do mnie wcale. I tak to Babcia Oleńka zaczęła wyliczać po francusku nazwy dwunastu miesięcy, po trzydziestu czterech latach, po czterystu ośmiu miesiącach.

– Żanwier, fewrier, marst, abril, me, zwę, żwije, aut, septambr, oktobr, novambr, desambr. Robiła ja u baora i jak oni, patron z patronką, pojechały gdzieś na zabawę, to ja miała kluczyk do piwnicy, otworzyła drzwi i do służby tak: teraz my robimy bal. Dała ja im tego wina z jabłek, tego sidru...

– Wiem, wiem – powiedziałem głośno do siebie. – Piłem.

– ...to wszystko pijane było jak w Szwecji.

Minęły znowu dwa, trzy pacierze, smalec skwierczał na patelni, mieszałem go łyżką, a w białej główce Babci Oleńki zapaliło się z kolei inne światełko, z czasów najnowszych tym razem, z czasów współczesnych.

– I po co to stary Bordaczewski oddał Herediukom chałupę, ziemię i wszystko? Po co? Lepiej by dał na skarb państwa tak jak ja. Rentę by mu dały i żyłby sobie spokojnie jak pączek w maśle. Dożywocie Herediuki miały mu za to dać, ale Herediukowej nie widziało się to. Myślały, że Bordaczewski umrze wnet. Oni by chciały. A czy to jego wina, że żyje? Teraz Herediukowa do sądu podała starego. Że stary jakiś trujący proszek w powidła sypał, że z siekierą się na nią rzucił, świadków znalazła, co niby widziały to wszystko. I jaki to sąd? Mówi się, że będzie się prawdę mówić. Przysięga się. Krzyża nie ma, ale jest przecież orzeł na ścianie. Godło. Ale Herediuk z milicjantem wielkie kolegi. Już oni sobie krzywdy nie robią. Już oni sobie baczki wiążą.

Ja potem przelałem smalec z patelni do dwóch słoików, nakryłem je z wierzchu pergaminowym papierem, na to gumki i zaniósłem je do siebie na okno, żeby szybko smalec zastygł. Potem rozpałem u siebie ogień, zjadłem kolację i potem wziąłem się do cerowania nogawki u spodni, którą parę dni temu rozdarłem w lesie o ostry sęk poległej sosny. Końce rękawów swetra miałem postrzępione, więc zaobrębiłem je, żeby się nie pruło. Potem skarpetki jeszcze pocerowałem i tak mi na cichym

cerowaniu zeszedł ten wieczór cichy cerowniczy.

Nazajutrz, w czwartek, ach, te dni, przywieźli na zrąb budę nam. Buda była śliczna. Tuż spod hebla, piły i młotka. Nowiuteńka. Ze świeżych, białych desek, z okienkiem i z daszkiem dwuspadowym. Była na płozach. Cztery konie, dwa i dwa, ciągnęły ją od wioski polnymi drogami, potem duktem, a teraz po leśnej dominancji. Z pysków koni, z rozgrzanych ich nozdrzy i zadów buchała para. W jej kłębach to rozmazywali się, to wyłaniali się jak zjawy ludzie tańczący dookoła budy. Trzech ich było: Księżarczuk, który trzymał lejce, i dwóch obserwatorów, dwuosobowa eskorta po lewej i po prawej stronie budy. Mieli ją podtrzymywać, żeby się nie wywaliła na jakimś wykrocie. Wszyscy gromko krzyczeli, klęli na konie, miotali się między drzewami, tańczyli dookoła budy i tak krótkimi i dłuższymi zrywami sunął ten cały orszak w kłębach pary przez las. Było koło południa. Słońce stało w koronach sosen. Promieniste pasy i smugi przebijały przez zimozielone gałęzie i rozlewały się ukośnie i promieniście po mroczej lesistości. Był to ten słynny otwarty namiot słoneczny, wsparty na słupach drzew, pokryty półprzezroczystą jakby szelestną materią, jakby tiulem, jakby gazą czy czymś takim. Owiany, zawiany kłębami zwierzęcej i ludzkiej pary, prychający, parskający i gromkokrzyczący orszak dotarł na skraju lasu, tu, gdzie zaczynał się zrąb i tam stanął na wprost mnie, w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów, w samym

środku słonecznego namiotu, pod samym ślepiem Jednookiego.

Wszyscy ze zrębu zeszli się do budy i oglądali ją, obchodząc dookoła i chwając fachową, stolarską robotę. Księżarczuk wyprzągł konie, poczęstował papierosem swoich pomagierów z eskorty i sam zapalił. Potem wyjął z kieszeni kluczyk i otworzył drzwi do budy. Ładnie było w środku. Elegancko. Duży stół pośrodku i po obydwu stronach stołu ławy do siedzenia. Pod ławami, które miały podnoszące się z wierzchu klapy, były skrzynie na narzędzia i co kto chce. Buda podobała się wszystkim. Padały głośnie okrzyki zachwytu. Mówiono, że tylko piec wstawić, koła założyć, parę koni zaprząć, niedźwiedzia kupić i można jeździć po Polsce i cyrk odstawiać. Przyszedł gajowy z białą apteczką z wymalowanym na niej czerwonym krzyżykiem i powiesił ją na gwoździu na ścianie. Ustaliliśmy, że klucz do budy będzie się chować pod lewą płożą. Ostatni, który zejdzie ze zrębu, ma nie zapomnieć zamknąć budy i klucz schować na swoje miejsce, a nie do kieszeni. Księżarczuk pogadał chwilę z gajowym, potem odczepił koniom z jednej strony orczyki, żeby było im łatwiej iść i ruszył ze swoimi pomagierami z powrotem do wioski.

Było koło południa, jak już ktoś zauważył, więc pora na obiad. Mężczyźni: pilarz–Nikodem, Selpka, Wasyluk, Tomala, młody Batiuk, gajowy i ja – rozsiedliśmy się ciasno w budzie, na ławach, a kobiety, dla których w budzie już nie stało miejsca, rozsiadły się wokół jednego

z ognisk na mojej działce. Każdy wyjął swój prowiant i jedliśmy, popijając herbatą i pogadując. Kobiety tam o swoich sprawach pogadywały, chłopcy tu o swoich. Gajowy zapodał nam, że Pan ma już wybrane miejsce w lesie na trzebież. Jak skończymy tu robotę na zrębie, to pójdziemy tam trzebić, czyli patroszyć las.

Potem, po zwanym obiedzie i po wypaleniu papierosa, rozeszliśmy się każdy na swoją działkę do swojej roboty. Baby wstały od ogniska i poszły za swoimi, za mężami, za ojcami, za braćmi i synami. Za mną poszedł mój cień i ona, moja myśl o niej, wierniejsza od cienia mojego. Cienia mojego nie było przy mnie, kiedy na niebie stały chmury, a moja myśl o niej zawsze była przy mnie. Nigdy mnie nie odstąpiła. Gdziekolwiek byłem, a bywałem, bywałem ja tu i tam, i jeszcze gdzie indziej, i jeszcze gdzie indziej, nieraz bardzo daleko ciskał, rzucał mnie tuman mgły, ten wirujący dymny słup, a ona, moja myśl o niej, o dziewczynie mojej, o Gałazce Jabłoni mojej, zawsze była przy mnie. I niezależnie od tego, czy o niej myślałem czy nie myślałem, co się czasami zdarza. Ta moja myśl o niej, to było coś takiego jak się ma coś wrodzonego, coś od urodzenia, coś wrodzonego, nie nabytego jak wiedza książkowa na przykład, ale coś wrodzonego. Jak talent na przykład. Talent na przykład do gry na instrumentach, albo talent do malowania. Więc ja miałem ten talent cudowny: myśl o niej. Jeśli mam jakieś być może inne talenty, to one są w głębokim, bardzo głębokim cieniu tego talentu, dzięki któremu, po prostu ni mniej, ni więcej, żyję. I myślę, po

prostu, że gdybym nie mógł o niej myśleć, to, ni mniej, ni więcej, umarłby ten, który to tutaj, po prostu, zwyczajnie, spokojnie wyznaje.

Siedziałem po siekierzadzie przy ogniu i czekałem, aż się dopieką kartofle w żarze. Przed chwilą sprawdzałem je patykiem, ale jeszcze twarde były. Czekałem więc, siedząc na kapocie na pniu, patrząc w ogień i dysząc po ciężkim dniu. Ale o czym? O czym dyszałem, patrząc w ogień, w tej szybko zapadającej przedwieczornej godzinie tego styczniowego dnia tego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego któregoś tam roku? Nie o czym myślałem, ale o czym dyszałem? Więc o czym? Wiem o czym. Zaprawdę, mówię, wiem, o czym dyszałem w, tej przedwieczornej godzinie i nie pierwszy raz, setki razy o tym dyszałem i zaprawdę wiem o czym, to znaczy cała dusza i całe ciało wiedziały, a tylko usta, usta tylko nie wiedziały, jakby one usta nie do ciała należały ani do duszy, jakby czymś osobnym były, usta na maszcie, usta pełne smoły, jak powiedział jeden; więc tylko one—usta nie wiedziały, nie umiały się do tego ułożyć, nie znały tego sposobu ułożenia się, żeby to nazwać, to, o czym dyszałem. A ten sposób chyba istniał. A jeśli istniał, to była możliwość jego odkrycia. To dlaczego ciągle go nie odkrywałem, ja, który już odkryłem kilka dobrze ukrytych spraw, głęboko ukrytych, głęboko pod mchem, pod górą jesiennych spadłych liści, pod kamieniem, lub to wysoko ukrytych, w koronach drzew, lub to wyżej, nad drzewami, w chmurach ukrytych, lub to ukrytych na samej



powierzchni, na środku drogi, ale jak to się mówi, najciemniej jest pod latarnią, więc miałem ja na swoim koncie kilka niezłych odkryć, które kiedyś dokładnie, w punktach, wyliczę, a dlaczego ciągle nie odkrywałem tego sposobu ułożenia ust, żeby nazwać to, o czym w tej przedwieczornej godzinie dyszałem, patrząc w ogień, który był mi pomocny w tej sprawie, wiedziałem o tym i wiedziałem, mówię, wiedziałem, o czym dyszałem, tylko usta, usta tylko nie wiedziały tego sposobu ułożenia się, żeby to głośno czy cicho, raczej cicho, nazwać. A może, może ten sposób nie istnieje? Ale czy to możliwe? Czyżby nie było na to słów? Czyżby w języku, w mowie, brakowało pewnych słów, to znaczy pewnych liter w alfabecie, bez których nie można ułożyć pewnych słów, bez których nie można nazwać pewnych stanów, ni to uczuciowych, ni to rozumowych, ni to nerwowych: oto na przykład patrzeć w ogień zwyczajne: oto na przykład dyszenie w kosmos legendarne.

Wyprowadziłem głos z głębokości na powierzchnię, poruszyłem wargami, spróbować, spróbować, a nuż same ułożą się usta, nuż się to wypowie samo, właśnie teraz, w tej chwili, i tylko w tej chwili to się może udać. I co? Co się stało? Bełkot jakiś wydobył mi się z gardła, ble, ble, bleblanie jakieś, bulgotanie śmieszne i niesamowite, coś jak na bagnach nocą te odgłosy dziwne, jakby ktoś szedł po kępach i one zapadały się w muł z tym gulgotem, a potem ciśnienie znów wynosiło je, wypychało je w górę na powierzchnię. Z tym gulgotem. Więc coś takiego

usłyszałem przerażony i przez chwilę wydało mi się, miałem wrażenie straszliwe, że już nie będę mógł mówić, że straciłem mowę na zawsze, że odebrana na zawsze została mi mowa, za karę, za śmiałość moją. Że ośmieliłem się.

Posłyszałem kroki za mną, i zerwałem się na nogi, już z toporkiem w ręku. Cofnąłem się w mrok, poza koło bijącego od ogniska blasku.

– Co jest? Co ty tak zerwał się jak zając spod krzaka?

– A to ty, Peresada.

– Ja, ja. Ty myślał, że kto?

– Nie. Nic. Nie usłyszałem, jak idziesz, i przestraszyłem się trochę.

– Bo ja tak cicho szedł, żeby przestraszyć ciebie.

– Lepiej nie rób tego, Peresada, bo ja strachliwy jestem. A w strachu, to wiesz, jak jest, człowiek nie patrzy, tylko rzuca toporkiem.

– No dobra, dobra. Teraz to ty nie strasz mnie. Zaszumiał wiatr w lesie. Poszedł taki wiew po drzewach, taka ponurość wiewna.

– Aż kim ty gadał, Pradera? Bo ja tu nie widzę, żeby kto był. Ze sobą ty gadał czy jak?

Weszliśmy z dwu przeciwnych stron w koło blasku bijące od ognia. Peresada usiadł na pniu, a ja przykucnąłem przy ognisku i zacząłem patykiem odgrzebywać kartofle.

– Z Bogiem ja rozmawiałem, Peresada, ale nie mogłem się dogadać.

– Ze samym Panem Bogiem ty gadał?

– Chciałem. Ale nie chciał ze mną gadać. Ani słuchać chciał. Obrócił mi język w gębie, że słowa nie mogłem wydukać, tylko same ble–ble. No, ale częstuj się, Peresada, częstuj się.

Podsunałem patykiem dwa kartofle w stronę Peresady.

– Ja tobie powiem. Ja tu pół butelki wina mam w torbie. Pociągnij ty sobie, Pradera, bo ty coś chory mi wyglądasz. Gorączkę ty, musi, masz. Albo też ty mścisz się ciągle, że przestraszyć ja ciebie chciał i teraz ty straszysz mnie.

– To wino to jak ocet. Co oni robią z tym winem?

– Jutro my się bimbru napijem. To będzie lepsze. Od razu ty się lepiej poczujesz. Ja tobie obiecuję to. Ty zobaczysz.

Nazajutrz po południu spadł śnieg. Szliśmy z Peresada przez las do Czerniawy. Po bimer. Śnieg padał jak dzwony na nowennę, ale w lesie przytulnie było. Gdzieś niedaleko kukała zazula. Cały dzień dzisiaj kukała. Naliczyłem nam, mojej dziewczynie i sobie, sto lat jeszcze życia, a po setce przestałem już liczyć. A ona kukała dalej. Myślę, że chyba dwie zazule kukały. W taki sposób, że jak jedna przestawała, to druga zaczynała. I tak we dwie na zmianę. A może, może trzy zazule kukały.

Szliśmy wydłużonym krokiem, żeby zdążyć wrócić do Bobrowic przed zapadnięciem nocy. Śnieg poprzez wysokie korony i niższe gałęzie sypał się szelestnie na nasze głowy, ramiona i przygarbione plecy. Peresada miał na głowie swoją czapkę–atamankę, a ja z gołą głową, jak to

ja. Ale w uszy miałem ciepło, bo miałem nauszniki. Ona mi je zrobiła szydełkiem. Jej ręce kochane. Za wszystko jej się odwdzięczę już niedługo, kiedy skończy się moje opętanie. Moje zaćmienie tą mgłą. Kiedy skończą się jej prześladowania: zadymki, zawieje, zawieruchy i wirujące dymne słupy miotające mną, szastające mną, igrce bardzo karkołomne sobie ze mną wyprawiające. Strzeżcie mnie, zorze miłe!

Las skończył się i staliśmy teraz na jego skraju, na wzgórzu górującym nad otwartą okolicą. W dole leżała Czerniawka. Białło, białło. Ach, Gałązko Jabłoni, jak białło. Śnieg sypał, a z kominów wioski szły dymy prosto w górę, bo wiatru nie było. Cicho było. Tylko ten słynny szmer, szelest płatków śniegowych ocierających się w locie o siebie i opadających wolno, komunijnie na padół.

– To ile kupujemy? – spyta! Peresada.

– Co ile? Aha. Ja myślę, że litr.

– Lepiej kupić od razu dwa litry, żeby dwa razy nie chodzić – rzekł Paresada. – Jak ty uważasz, Pradera?

– Możemy kupić dwa litry, ale ja dzisiaj piję łagodnie. Parę kieliszków do kolacji i przerwa.

– Przecie ja też całego litra dzisiaj nie wypije. Zostanie na jutro, na sobotę. A może nawet na niedziele.

– To masz tu sorok. Ty daj sorok i kup dwa litry.

– Nie idziesz ty ze mną?

– Idź sam, a ja tu poczekam. Popatrzę trochę, jak pada śnieg. A w ogóle to baba mnie nie zna i jak zobaczy, że obca twarz, może się przestraszyć, że szpiegowska sprawa,

i może powiedzieć, że nie ma, że co, kto, i tak dalej.

– Ja tobie powiem, że ty masz racje, Pradera.

– Mam rację, Peresada, ale lepiej, żebym miał restaurację.

– Jej Bohu, toby dobre było. Nie potrzebowaliby my taki kawał drogi po tym śniegu się tłuc. Jej Bohu, toby dobre było, ale my piliby.

– Zasuważ, Peresada, zasuważ. Bo nas nocka dopadnie w lesie.

Peresada wielkimi pół-krokami, pół-skokami, pół-zszedł, pół-zbiegł po zboczu w dół do wioski, a ja zapaliłem papierosa i oparty o drzewo na tym skraju lasu, na tym wzgórzu górującym nad otwartą okolicą, patrzyłem, jak pada śnieg. Było jakoś tak niesamowicie uroczyście. Fantastycznie solennie. Chwila, chwila i miejsce, chwila, miejsce i czas były na złożenie jakiegoś przyrzeczenia. Co też uczyniłem. Przyrzekłem sobie, ja, Janek Pradera, włóczęga i były student, trzy lata archeologii słowiańskiej, uczestnik wielu bójek ulicznych, wielokrotnie ranny, ścigany ongiś niesłusznie, jak się później okazało, przez władzę ludową, ścigany ciągle i niesłusznie, jak się na pewno kiedyś okaże, przez mgłę, ten dym ten dym, tę mgłę tę mgłę, człowiek zwinny jak guma, twardy jak stal i kruchy, kruchutki, kruchuteńki jak szkło; przyrzekłem sobie ja, że nie dam się pogięć, że nie dam pogięć siebie takiego jaki jestem: zakochany, niewymownie, niewypowiedzianie przepięknie w tobie zakochany dziewczynko najmiłsza, Gałązko Jabłoni życia mojego

mglistego. I niech sobie będą wszyscy mądrzy ze swoimi rozumami, a ja z moją miłością niech sobie będę głupi.

To sobie przyrzekłem, paląc papierosa, oparty o wielko–koronną sosnę, na tym skraju lasu, na tym wzgórzu górującym nad otwartą okolicą zasypaną śniegiem, biało biało, i jeszcze śniegiem zasypywaną, bo śnieg padał i padał i po głębokich śladach Peresady, co niedawno poszedł z boczem w dół po bimber do Czerniawy, już nie było śladu. Zasypane zostały. Zapaliłem drugiego papierosa i patrzyłem, jak pada śnieg. Przypomniało mi się, jak spotkałem kiedyś na mojej dymnej, mglistej drodze jednego chłopaka. W pociągu go spotkałem. Krótco byliśmy razem. Niedługo. Bardzo mi się podobał ten chłopak. Bardzo. Ale to, co mówił. Mówił, że widział coś, co on nazywał: cała jaskrawość. Tu nie chodzi – mówił – ni o życie, ni o śmierć, ni o sens i bezsens, istotę i istnienie, przyczynę i skutek, materię i ducha, serce i rozum, dobro i zło, światłość i ciemność i tak dalej, i tak dalej, ale o coś zupełnie innego. Chodzi – mówił – o to wszystko razem wzięte i podane na tacy.

– Jak ci na imię? – spytałem go, kiedy wysiadł na jakiejś małej stacyjce. Pamiętam dokładnie tę stacyjkę. Mam ją mocno wbitą w pamięć.

– To jest nieważne, jak mam na imię. Nie ma znaczenia. O to też nie chodzi. Bądź zdrow.

Podobała mi się jego żelazna konsekwencja i podobało mi się to „Bądź zdrow”. „Bądź zdrow” nie mówiło się od dawna. Wyszło z mody to piękne proste pożegnanie. A on

„bądź zdrów” powiedział. I to jakoś tak, jakby coś wiedział o tym, o tej mgle mojej, co mnie wszędzie ściga i, dopadłszy mnie, dusi.

Otworzyłem okno z korytarza pociągu na peronie i on wtedy podszedł do mnie do okna. Podał mi rękę i powiedział:

- Edmund. Edmund Szerucki. A ty?
- Janek Pradera.
- Bądź zdrów, Janek.
- Trzymaj się, Edmund.

Peresada nie wracał, a ja na tym skraju lasu, oparty o drzewo z rękami w kieszeniach, patrzyłem, jak wali śnieg, myśląc o całej jaskrawości Szeruckiego. Wielka, niebywała sprawa ta jego cała jaskrawość, ale coś straszliwego, coś straszliwego i nieludzkiego było w tym wszystkim. „Tu nie chodzi ni o życie, ni o śmierć, ni o sens i bezsens, istotę i istnienie, przyczynę i skutek, materię i ducha, serce i rozum, dobro i zło, światłość i ciemności i tak dalej i tak dalej, ale o coś zupełnie innego. Chodzi o to wszystko razem wzięte i podane na tacy.” Coś nieludzkiego było w tym wszystkim. On sam, Szerucki, to przyznał, choć innymi słowami: – „I kiedy zobaczyłem tę całą jaskrawość, to nie czułem nic: ani smutku, ani beznadziei, ani strachu, ani przerażenia, ani radości, ani nadziei, ani spokoju, ani zachwytu, ani uniesienia, ani nawet zwyczajnej obojętności. Nic. Żadnego uczucia.”

Więc on sam to przyznał, Szerucki, że coś nieludzkiego było w tym wszystkim, choć tego słowa nie

użył, tylko inne słowa, ale które to słowa do tej właśnie nieludzkości prostą jak strzełią drogą prowadziły. Bo ta cała jaskrawość to było coś takiego zobaczonego wybitnie spoza. Z zewnątrz. Z boku, z dołu czy z góry, wszystko jedno, ale spoza koła czy też lepiej spoza elipsy, tak, spoza elipsy naszej galaktyki. „Chodzi o to wszystko razem wzięte i podane na tacy” – powiedział Szerucki. Szerucki jest tam sobie gdzieś poza i widzi, powiedzmy z góry, elipsę naszej galaktyki. To jest ta właśnie taca. Na tacy – jak owoce: melony, arbuzy, jabłka, śliwki, orzechy – ciała niebieskie: słońce, inne słońca, milion słońc, mgławice, komety, planety, gdzieś tam wśród planet Ziemia, malutka jak wisienka, ledwie albo i wcale niewidoczna w niezliczonej hiperbolicznej ciżbie niebieskich owoców. I wtedy być może zaiste nie chodzi o to, co tam się na wisience dzieje: życie – śmierć, dobro – zło, światłość – ciemność, miłość – nienawiść, wojna – pokój i tak dalej i tak dalej, tylko o to wszystko razem wzięte i podane na tacy. I na pewno coś boskiego jest w takim widzeniu, na pewno, ale przez to może, że boskiego to właśnie nieludzkiego. Straszliwie nieludzkiego. Bogiem się jest tylko czasami, bardzo rzadko to się zdarza i dosyć krótko to trwa, i dobrze, i tam, poza elipsą, bardzo rzadko się jest i dosyć krótko to trwa, i dobrze, i poza tymi krótkimi wypadami jest się zawsze tu, na tej planecie, i bardzo dobrze, i wtedy to już nie jest tak, wtedy to jest tak, że to jednak idzie o miłość, o życie, o dobro, o światłość, o pokój i tak dalej i tak dalej, i niedobrze, niedobrze jest



z tym na planecie, słabo z tym jest, ale o to idzie, o to się trzeba bić, więc tak to jest i jeśli ja do tego doszedłem, do tego, że tak to jest, a nie inaczej, to Szerucki też na pewno do tego doszedł i szybko stamtąd, spoza sfery powrócił na planetę i tak, jak go widzę, to gdzieś tam teraz w samym środku jakiegoś miasta albo na przedmieściach, na rogatkach, albo w jakiejś wsi zawieruszonej wśród lasów i pól, tak, jak go widzę, to gdzieś tam teraz bije się, walczy jak lew o miłość, o życie, o dobro, o światłość, o pokój i tak dalej i tak dalej albo nie doszedł do tego i gdzieś tam teraz, Bóg wie gdzie, kołuje sobie poza sferą, albo doszedł do czegoś innego: nie do powrotu na planetę i nie do kołowania sobie poza elipsą, tylko do czegoś innego. Ale do czego, do czego można jeszcze dojść?

Peresada wrócił i podał mi cały litr mojej doli. Pociągnąłem łyk, po czym zakorkowałem, wsadziłem butlę do torby i ruszyliśmy przez las w powrotną drogę. Śnieg ciągle sypał, ale zazula już nie kukała. Zmrok szybko teraz zapadał. Cień nie schodził powoli po drabinie, ale zbiegał po niej, przeskakując szczeble. Szliśmy ostro, żeby wykorzystać ostatnie blaski dnia. Wtem huknął strzał. I drugi. Przystanęliśmy i spojrzeliśmy w lewo, skąd ozwała się strzelanina. Potem po sobie.

- Kule czy śrut? – spytałem.
- Widzi mi się, że kule – odparł Peresada.
- Kto to może być?
- Albo leśniczy, albo gajowi. Albo...
- Kłusownicy – dokończyłem.

– Lepiej my stąd wywiewajmy, Pradera. Jak to kłusownicy są, to z nimi nie ma cacy–cacy.

Puściliśmy się biegiem. Strzały nie padały, ale jakieś dudnienie ciężkie roznosiło się po lesie. Jakby za nami. Dalekie, ale jakby się zbliżające. Przypomniało mi się dziewięć helikopterów, ale to nie było to. Tamto to było brzęczenie. A to było dudnienie. Przyśpieszyliśmy, ale dudnienie błyskawicznie zbliżało się. Stałem za drzewem ciężko dysząc i wyszarpnąłem zza pasa toporek. Spojrzałem za siebie, ale nic jeszcze nie widziałem. Nie minęły dwie minuty, jak zobaczyłem go. Pędził wprost w naszą stronę ze zwieszonym nisko wielkim łbem. Staliśmy za drzewami, a dzik pędził na nas i przemknął obok mojego drzewa, tak blisko, że mógłbym go trzepnąć toporkiem w łeb. I już był daleko. Jego ciężkie dudnienie oddalało się. Peresada wylazł spoza swojego drzewa i zawołał mnie. Kiedy podszedłem, pokazał mi ręką czerwone świeże plamy krwi na śniegu.

– Farba – mówię. – Trafili go.

– Zaraz oni tu będą, Pradera. Ja tobie mówię, my wywiewajmy stąd. Ale to raz, raz.

Spojrzałem za siebie i tak jakby jakieś postaci zamajaczyły mi w dali między drzewami. Ale nie byłem pewien. Poza tym ściemniło się błyskawicznie. Powiedziałem Peresadzie, w którą stronę ma spojrzeć, ale nie zobaczył nic. Jeśli tam byli, musieli się schować za drzewa. Puściliśmy się znowu biegiem w tę stronę, w którą popędził dzik, bo to był kierunek na Bobrowice. Potem

stanęliśmy, żeby chwilę odpocząć i potem znowu puściliśmy się biegiem, ale już w bok, bo kłusownicy, jeśli biegli z tyłu, to biegli po śladach dzika i po jego farbowaniu, bo o dzika im chodziło, więc lepiej było, żebyśmy nie biegli tym torem, choć to był kierunek na Bobrowice.

Do Bobrowic, dysząc jak psy, zaszliśmy o ciemnej nocy i zupełnie z innej strony. Od północno–zachodniej. Tako i na moją kwaterę zaszliśmy od podwórza, od strony pola, a nie od wiejskiej alei. Powiedziałem Peresadzie, żeby rozpałił w piecu, a ja w tym czasie wstąpiłem do babci Oleńki i usmażyłem pół tuzina jaj na patelni. Zrobiłem dwa duże kubki gorącej herbaty i zaniósłem to wszystko do siebie. Peresada już rozpałił w piecu. Zostawił na początek odemknięte drzwiczki od paleniska, żeby był cug, i buzowało tam, że aż się radowało serce mocno jeszcze w piersiach bijące od tej rejterady przez las.

– Czort przekłety. Nogi mi w dupę wleźli – powiedział Peresada, kiedy zasiedliśmy do stołu. – Dawno ja już tak nie ganiał ani pamiętam ja. Za młodu, na Podolu ja tak, musi, ganiał za krową jak się zegziła.

– Spieprzaliśmy jak para gniadych w jednym dyszlu. Bęc, Peresada!

– Daj nam, Boże, zdrowie!

Cyknęliśmy się litrowymi butelkami i pociągnęliśmy łyk.

– Nie ma to jak bimber, co, Pradera?

– Potęga.

Potem zabraliśmy się z dwu stron do jajecznicy na patelni. Głodny byłem, że hej. Peresada też był głodny, że hej. Raz, raz i w nabożnym milczeniu, żeby nie przeszkadzać słowem jedzeniu, wyczyściliśmy patelnię.

– No i wtorebuszyli my. Teraz my zapalim i popijem herbaty – powiedział Peresada.

Poczęstował mnie papierosem i sam zapalił. Nałożyłem do pieca i usiadłem z powrotem do stołu. Na piecu, wysoko, zaczynały parować moja i Peresady kapota, które tam rzuciłem, żeby się suszyły.

– Ty wiesz, Pradera, że kłusownicy dwa roki temu ubili gajowego z Czerniawy?

– Wiem. Mówił mi Pan. Jutro trzeba będzie mu zameldować o dzisiejszym.

– Trza będzie. Daj nam Boże!

– Daj nam Boże!

– Tego gajowego nie mogli my znaleźć. Cała Czerniawa szukała jego, całe Bobrowice, milicja i jeszcze wojsko zjechało i szukało jego po lesie. Aż chyba po tygodniu dzieciaki ze szkoły jego znaszli. Znaszli jego po krukach, co nad nim kołowały. Bo to padlina już była. Lato było, weź pod uwagę. Czerwiec czy lipiec.

– I podobno nie wykryli, kto go zabił.

– Nie wykryli. Ale, musi, że to kiedyś wyjdzie na wierzch.

– Ja też myślę, że wyjdzie. Po dwudziestu latach, ale wyjdzie.

– Może jak będzie konał, to księdzu się przyzna na

ostatniej spowiedzi. Ale ksiądz nie musi to rozpowiedzieć. Tajemnica spowiedzi jego wiąże.

– Wiąże albo i nie wiąże. Nieraz się z tego rozwiązali.

– No, daj nam Boże, Pradera. Pociągnę ja ostatni łyk i do chałupy będę leciał.

– Bęc, Peresada!

– Moja kobita tam pomyśli, że pobłądził ja w lesie i że śnieg zasypał mnie.

– Albo że cię kłusownicy ukatrupili. Może już i nawet gwałt podniosła. Ale toby było słychać.

– Gwałtu ona tak szybko nie podnosi. Mnie czasami dwa, trzy dni nie ma w chałupie, jak do Sławy ja jadę na targ.

Wyszedłem z Peresada na podwórze, bo przycisnął mnie pęcherz. Śnieg sypał ciągle, ale już nie tak grubo jak dzwony na nowennę. Cienko sypał. Jak ministrancki dzwoneczek przed księdzem idącym z ostatnim namaszczeniem.

– Tego dzika to oni w życiu panajezusowym nie znajdą – mówię. – Raz, że noc, a jutro, jak wrócą, to po śladach nic nie będzie. Ani śladu.

– A nawet jak latarkę mają i idą po śladach jego i po farbowaniu jego, to w lesie jeszcze jak cię mogę, ale jak dzik wyskoczył na pole, to przecież śnieg zaraz po nim wszystko zasypał.

– Jasne. Masz rację, Peresada.

– Jak ty to mówisz, Pradera? Mam rację, ale lepiej, żebym ja miał restauracje.

– Tobi nie było złe, Peresada. Piliby my gorzałkę jak kozy morską wodę.

– Ale bimber z Czerniawy dobry. Ty nie powiesz, że nie, Pradera.

– Bimber jest potęga, Peresada. Potęga. Idę do chałupy, bo zimno. Dobranoc, Peresada.

– Dobranoc, Pradera. Śpij ty z aniołkami.

Nie wiem, czy spałem z aniołkami. Nie wiem co mi się śniło, jeśli w ogóle śniłem. Jeśli śniłem, to prędzej z demonami niż z aniołkami. Przewaga tych pierwszych w moich snach jest druzgocąca. Demonicznie miażdżąca. Ale jeszcze przyjdą do mnie sny sielskie–anielskie. Jeszcze ja kiedyś doczekam się.

Na razie doczekałem soboty, a po sobocie niedzieli. W sobotę zszedłem trochę wcześniej ze zrzębu i pojechałem na pożyczonym rowerze do Hopli wrzucić trzy listy do Gałązki Jabłoni i ogolić się u tamecznego fryzjera. Dwa tygodnie nie goliłem się i brodę miałem nie jak Marks czy Engels, ale jak na mnie dosyć sporą. I nawet ładnie mi było z tą brodą, ale za mocno swędziało i szczypało mnie. Po ogoleniu się wpadłem, gładkolicy, do „Hoplanki”, gdzie ubiegłej soboty spałem się jak bąk i urwał mi się film, czyli nić Ariadny. Zjadłem dwa talerze rosołu – złotej myśli jedzenia, które podała mi znajoma kelnereczka, kręcąca pośladkami, i potem pojechałem do Bobrowic. Oddałem rower i wpadłem do remizy Och. Straży Pożarnej na dziecięcą zabawę tam się odbywającą. Mamusie stały pod

ścianami albo siedziały na ławach, dzieciarnia hulała po sali, tupiąc i szurając nogami, a tatusiowie, korzystając ze swobody, pili piwo w sklepie.

Zatańczyłem z Grażynką, trzynastoletnią córką leśniczego, którą bardzo lubiłem, i która mnie też bardzo lubiła. Przychodziła po szkole do mnie na zrab ze swoim ulubionym psem Kazanem i piekła kartofle w ognisku. Przyniosła mi raz w kociołku bigos, a drugi raz kawał pieczonej sarniny. Można było zwariować, takie to było dobre. Byłbym ostatnim łobuzem, a nie szlachetnym zwierzęciem, gdybym w tym miejscu nie podziękował Grażynce za jej przyjaźń dla mnie i nie życzył jej w dalszym życiu wszystkiego najpiękniejszego.

Zatańczyłem więc z moją przyjaciółką Grażynką dwa kawałki : polkę i fokstrota, i potem poszedłem na scenę, gdzie na harmonii zajewaniał z lekka jak zawsze podpity Władek Trynkos, a w bęben walił zezowaty Borys. Jedno oko miał na Maroko, a drugie na Kaukaz. Ale w bęben trafiał Borys bezbłędnie. Dwuosobowa ta orkiestra spisywała się wspaniale. Władek Trynkos co raz to odwracał kciuk paznokciem w dół i przejeżdżał nim błyskawicznie po całej klawiaturze harmonii, od wysokich tonów do niskich i odwrotnie. Borys też się nie oszczędzał. Walił w naciągniętą oślą skórę bębna, że tylko dudniło, a pałeczkami, to w metalowe okucia instrumentu, to w talerz czyneli, przytrzymując go lewą ręką, żeby się nie wymykał. Pałem papierosa i patrzyłem na tańczącą dzieciarnię. Przyjemny był widok i radosny. Cieszył oczy

i cieszył serce, i cieszył duszę wiecznie czymś zbolełe. Zawsze coś boli i boli i boli. Zawsze. I wszystko mnie bolało. Nawet kiedy cieszyłem się, to tak mocno się cieszyłem, że aż bolała mnie ta radość. Bo nie umiałem ja trochę się cieszyć, lekko się cieszyć, normalnie się cieszyć. Kiedy cieszyłem się, z byle czego, to zaraz tak straszliwie się cieszyłem, że aż mnie to bolało. To jest kara, ja wiem. Kara za przekroczenie granicy radości.

Bezkarne nie można przekraczać pewnych granic. Są, mówię, pewne stany graniczne jak menisk wypukły w kieliszku, których nie dane jest bezkarne przekraczać nikomu. Są za to kary. Za przekroczenie granicy wolności są różne kary. Łagodne i straszliwe: od niemożności noszenia zegarka na przegubie, bo to są kajdanki, do tęsknoty wielkiej za czymś bliżej niewiadomym. Tęsknoty dzikiej i odurzającej, jak ubytek krwi. Nad broczącym płynie wiatr. Bierze go i sieje. To jest kara za przekroczenie granicy wolności. Za przekroczenie granicy radości karą jest ból.

– Co cię boli?

– Wszystko mnie boli. Gdziebyś mnie nie dotknął, to mnie boli. Gdziebyś nie strzelił, to trafisz we mnie.

Bolało mnie serce, bolała mnie dusza, kiedy cieszyłem się, bo straszliwie się cieszyłem, niewysłowienie, wstrząsająco, strzeliście – strzeliście i promieniście, rozsypywałem się w proch, w pył, kroić mi serce radość wszelka byle jaka i to bolało. Jak może nie boleć, kiedy człowiekowi kroi się serce? Chociaż to radość przecież jest



tego przyczyną. Ale kroi serce. I jak to może nie boleć?

Po krótkiej przerwie na wypalenie papierosa Władek Trynkos wstał i zawiesił sobie na piersiach harmonię, a zezowaty Borys zasiadł do bębna.

– Biały walc! – krzyknął Trynkos. – Panie proszą panów!

Z początku nikt się nie ruszył, ale po chwili dwie odważniejsze dziewczynki poprosiły do walca dwóch partnerów i po tym, pierwsze lody nieśmiałości przełamane, wszystko poszło w tany. Do mnie na scenę wdrapała się malutka, piegowata panienczka, siedem czy osiem lat sobie licząca damulka, ukłoniła się ślicznie, prosząc mnie do walca. Zatańczyłem z nią i po tańcu podniosłem ją do góry i pocałowałem ją w policzek, a ona, buch, pocałowała mnie w nos. Potem wróciłem na scenę, bo kiwnął na mnie Borys. Chciał, żebym mu przyniósł piwo ze sklepu.

– Idź sam – mówię – a ja cię przez ten czas zastąpię przy bębnie.

Borys poszedł, a ja siadłem do bębna i waliłem, naciskając nogą na pedał, a pałeczkami, takatak, takatak, po metalowych okuciach instrumentu i bing w talerz i bang w talerz. Cieszyłem się, waliłem w bęben, dzieciarnia tańcowała, dobrze mi było, za dobrze i od tego „za dobrze” aż bolało mnie serce i dusza, i tak to jest, i tak już będzie zawsze. Nie ma na to rady. Nie ma dla mnie i nigdy już nie będzie niczego bez bólu. Ta sprawa nie jest skomplikowana, ja ją rozumiem, to jest prosta sprawa,

tylko wszystko polega na tym, czy ja wytrzymam ten ból, który na mnie polega, czy go zniosę, bo to jest wielki ból, straszliwy i nieodwołalny. Patrzeć bolało mnie, słuchać bolało mnie, oddychać bolało mnie, bo zaczynałem żyć istnieniem potężnym wszechogarniającym rozciągającym mnie: rąbałem drzewo, siedziałem przy ogniu, szedłem drogą, waliłem w bęben i tak się czułem, jakbym był przywiązany rękami i nogami do czterech koni, które prą: jeden na północ, drugi na południe, trzeci na wschód, czwarty na zachód. Kiedy patrzyłem, za dużo widziałem, o, cudne straszliwe manowce. Kiedy słuchałem, za dużo słyszałem, chóry, chóry. Kiedy oddychałem, czułem ten dziwny smak powietrza, czułem, jak atomy bombardują mi podniebienie, słyszałem w gardle hałas, zgiełk powietrza. I wszystko było słynne, najbliższa rzecz, przedmiot, kubek na stole, firanka w oknie, buty w kącie, kiwanie palcem u nogi, garnek na płocie, wszystko było słynne, ale to niesamowicie słynne, boleśnie słynne, słynniejsze niż słynne postaci, niż słynne bitwy i tak dalej, i każda chwila była słynna, uroczysta, rytualna, solenna, missa solemnis, missa mirabilis, i wszystko było wzruszające, wstrząsająco wzruszające, do łez, płakać można było bez przerwy ze wzruszenia, dzisiaj, kiedy jechałem do Hopli, zobaczyłem koło Ośrodka Zdrowia leżące na śniegu dwie wielkie różowe cysterny i tak mnie wzruszył ten widok, że o mało co nie wjechałem rowerem do rowu. I tak to jest, piękne to jest .wszystko, za piękne, przerażająco piękne. Boleśnie piękne, bardzo. Nie skarzę się, mam to, co chciałem, do

czego dążyłem, do czego zmierzałem, biegłem, czołgałem się. Nie skarzę się, tylko boję się, czy wytrzymam to wszystko i jak długo. Czy nie rozerwą mnie te cztery konie, do których jestem przywiązany rękami i nogami, a jeden prze na północ, drugi na południe, trzeci na wschód, czwarty na zachód.

A dym? Ta mgła ta mgła, o której nie mówię nawet, bo boję się napomykać, żeby jej nie wywołać jak wilka z lasu. Przeklęta niech będzie ta mgła. A ty błogosławiona bądź, Gałązko Jabłoni. Cóż ja bym zrobił bez ciebie, bez kochania ciebie ponad wszystko i tak cudownie cię kocham i ponad wszystko, ponad śnieg, deszcz, słońce, kurz i mgłę, ponad pola i bagna, ponad lasy, góry i chmury, ponad ziemię i niebo, i nawet głupio tak mówić: „ponad wszystko, ponad ziemię i niebo”, bo takie jakieś śmieszne stają się słowa przy tym jak niewypowiedzianie cię kocham i nawet to „niewypowiedzianie cię kocham” jest jakoś śmieszne przy tym uczuciu, które mam dla ciebie, bo to jest nie tylko ślepe fanatyczne kochanie, ale coś także tak jasnego, tak widnego, najwidniejszego, że człowiek nie boi się najstraszliwszych rzeczy: śmierci, próżni i tak dalej. Nie jest chyba ciężko umierać, kiedy się nie umiera samemu. Samemu chyba strasznie umierać. I myślę sobie, że gdyby tak komuś, gdyby tak mnie przyszło samemu żyć wiecznie, to byłoby to też straszne, może jeszcze straszniejsze niż umierać samemu. Ale z tobą to ja mógłbym nawet żyć wiecznie. Tak. Żyć wiecznie. Do ślepego fanatycznego kochania ciebie, do tego nie

doszedłem, bo do tego się nie dochodzi, to znaczy doszedłem do tego miejsca w tej probierni, gdzie, jak to się mówi dokładnie i precyzyjnie, zostałem rażony strzałą w serce. Ale do tego „dalej”, do tego „więcej”, „dużo więcej”, do tych widności doszedłem sam. Dzięki tobie oczywiście. Wszystko dzięki tobie, Gałązko Jabłoni, cała jaskrawości ty moja, zawsze i teraz absolutnie służy tobie emanuel delawarski.

W niedzielę w południe zajechał na placyk przed sklepem zielony autobus Objazdowej Biblioteki Publicznej. Pięcioro tłustych białych gęsi, co tam na placyku nieustannie i magicznie krążyły dookoła słupa, jakby doń były przytwierdzone niewidzialnymi łańcuchami, czmychnęły przed trąbiącym pojazdem, odpowiadając mu gęganiem i sykiem, wyciągając długie szyje i zrywając krępujące je do słupa niewidzialne łańcuchy. Przypomniiał mi się ten chłop w „Hoplance”, który wstał, siedemnaście razy okrążył stół i potem siadł. Niewykluczone jest, wśród innych powodów, że w tym krążeniu chłopca dookoła stołu i w tym krążeniu pięciorga białych gęsi dookoła słupa na placyku, przejawiał się kosmiczny wpływ krążących dookoła słońca planet, krążących całych układów słonecznych, galaktyk i tak dalej.

Zielony autobus Objazdowej Biblioteki Publicznej był starym gratem. Roztrzęsionym, steranym po setkach prowincjonalnych dróg dyliwozem. Dawno już powinien

był iść na emeryturę albo w ostatnią podróż na cmentarzysko złomu. Ale jakimś cudem stary grat trzymał się, nie rozlatywał się, jeździł jakoś i niósł ten kaganiec oświaty, szerzył kulturę po najdalszych rubieżach krainy. Zasługi jego na pewno były nieopisane. Aż na mnie trafił tu, w Bobrowicach, pośród lasów i puszczy, pośród zimy mroźnej i śnieżnej, i powiedzmy, jak jest; nie mógł na nikogo lepszego trafić, bo ja go tu zapisuję szczerozłotymi literami w Księgach Pielgrzymstwa i Kultury Narodu Polskiego.

Z dachu autobusu przebijała wąska blaszana rura komina. Z komina dymiło się. Gdzie się dymi, tam musi być ogień – mówi przysłowie. Od przysłowia, tak, jak prawie od wszystkiego, są wyjątki. Ten dym, na przykład, który mnie czasami napada i osacza ze wszystkich stron nagle i dość niespodziewanie nie jest od ognia. W pobliżu często nic się nie pali, a dym ten wyrasta skądś, zewsząd i, snując się, otacza mnie – rozmazuje na blade widmo, i ja sam widzę wszystko w rozmytych płynnych widmowych konturach, aż w końcu nic nie widzę. Straszliwe to jest. Strzeżcie mnie, zorze miłe. Więc na przykład ten dym jest bez ognia. Chociaż pomyślałem w tej chwili, że ogień jednak jest. Nie ma go w pobliżu, w okolicy, bo on jest we mnie, ja cały jestem ogień, płoną mi ręce, nogi, brzuch i głowa cała, i oczy, i wszystko, na co patrzę, zaczyna palić się, zapala się od mojego wzroku, i pali się, a tam gdzie pali się, tam dymi się, więc dymi wszystko, dymią całe Bobrowice, dymią chaty, dymi droga, dymi w dali

dzwonnica kościoła, dymi tu placyk przed sklepem, dymi pięcioro białych gęsi, dymi dzieciarnia na placyku obrzucająca się śniegowymi kulkami, dymi zielony autobus Objazdowej Biblioteki Publicznej, dymi z dołu, dymi z góry, dymi z boku, wszystko dymi, dymią wszystkie stany i wszystko rozmazuje się w tym dymie, w tej mgle w tej mgle, zaciera się, ginie mi z oczu, zapodziwia się w dali bezperspektywicznej i nic już nie widzę, dymne mgliste całkowite zaćmienie słońca straszliwe, w samo południe, w samą niedzielę, może jego wtedy, w samą niedzielę, dwa zaledwie tygodnie temu, przeklęty bądź, zegarze, w którym czas nie może być cofniony, może jego wtedy tak zaćmiło, ten dym, ta mgła ta mgła, i skoczył na stopień, ale nic już nie widział, i dostał się tam, gdzie nie trzeba, pod koła pociągu, w mgłę najgłębszą czarną i z której podobno już nie ma powrotu, a jeśli udało się niektórym powrócić, to tylko już w postaci dymnej mglistej widmowej zwiewnej i przemijającej.

Kiedy minął mi atak ten nagły i zupełnie niespodziewany w samo południe to niedzielne, skoczyłem na stopień zielonego autobusu Objazdowej Biblioteki Publicznej, który nie był w biegu, stał w miejscu, ale wiele, wiele razy wskakiwałem do rozmaitych będących w biegu pojazdów. I wyskakiwałem. Setki razy. Kiedyś przez dwa lata jeździłem do szkoły pociągiem z miasteczka do miasteczka i wracałem pociągiem i codziennie wyskakiwałem z pociągu na przejeździe przy stawie, bo miałem stamtąd dużo bliżej do domu zwanego

rodzicielskiego. Mówię o skakaniu do pociągu w związku z nim, który zginał pod kołami, dwa zaledwie tygodnie temu, przeklęty bądź, zegarze, w którym czas nie może być cofniony; i mówię o wyskakiwaniu z pociągu też w związku z nim, który na jednym filmie pod tytułem „Salto” wyskakuje z pociągu, ale bardzo dziwnie skacze, zupełnie po wariacku: wysoko do góry i do przodu, zamiast tylko trochę do góry i do tyłu, tak, jak na całym świecie skaczą z pociągów ci, co skaczą z pociągów, i tak, jak ja skaczę zawsze, jeśli to jest zwykły pociąg oczywiście, nie pospieszny, bo z pospiesznego lepiej nie skakać, nawet jak się zna ten sposób, który ja znam i którego raz w życiu użyłem, bo nie było innego wyjścia, to znaczy tak wtedy myślałem, teraz wiem, że było inne wyjście, bez wyskakiwania, bez opuszczania pędzącego pośpiesznego pociągu, ale wtedy nie wiedziałem, więc otworzyłem drzwi, wyszedłem na zewnątrz wagonu, po czym zamknąłem za sobą drzwi, po czym zszedłem na najniższy, najdłuższy stopień, położyłem się na nim i skulnąłem się w bok i w dół na nasyp.

Otworzyłem drzwi zielonego autobusu Objazdowej Biblioteki Publicznej, wszedłem i zamknąłem je szybko za sobą, żeby zimna nie naleciało. Przywitałem się z szoferem i przesunąłem się między półkami oprawionych w szary papier książek do środka, gdzie mocno przytwierdzony do ściany znajdował się piecyk, w którym wesoło buzował ogień. Powiedziałem „dzień dobry” bibliotekarce, dość młodej pani i wdałem się z nią w rozmowę na tematy

obracające się, to bliżej, to dalej, wokół spraw piśmiennictwa i czytelnictwa.

– Trochę za wcześnie przyjechaliście – mówię. – Czytelnicy są w kościele na sumie.

– Już się wkrótce suma skończy. A pan nie w kościele? – spytała bibliotekarka.

– Ach nie. Ja chodzę do kościoła, jak jest pusto. Bardzo lubię wtedy. Ten słynny tajemniczy chłód, pani wie. A jak dużo ludzi, to wszystko pryska. Cały czar. A poza tym, mój Boże.

Bibliotekarka wyciągnęła papierosy z torebki, „Syrenki” z połączanym ustnikiem, i poczęstowała mnie.

– Dziękuję bardzo. Jeśli pani pozwoli, zapalę „Sporta”. Przyzwyczajenie, rozumie pani.

– Ależ doskonale rozumiem. Pragnie pan zapisać się do naszej biblioteki?

– Bardzo chętnie.

– To wypiszę panu kartę czytelniczą. Jak godność pana?

– Pradera. Jan Pradera.

– Mieszka pan w Bobrowicach.

– Czasowo.

– Więc piszemy Bobrowice.

– Tak jest. Bobrowice, kwatera u Babci Oleńki.

– A, to na pewno pan pracuje w lesie?

– Zgadła pani. Pracuję na zrębie. Robotnik sezonowy.

– Wiec piszemy zawód: robotnik sezonowy. To będzie piękny zawód dla naszej statystyki czytelniczej. Niewielu



mam czytelników z tym zawodem. To są rzadkie przypadki.

– Białe kruki – mówię.

– Żeby pan wiedział. Każda bibliotekarka może być z nich dumna.

– To naprawdę cieszę się.

– Co pana interesuje z literatury? Książki historyczne: Kraszewski, Sienkiewicz, Gołubiew? Książki wojenne, przygodowe, psychologiczne...

– Psychologiczne, to przyznam się pani, że nie za bardzo. Chociaż właściwie to wszystko zależy, jak autor podaje rzecz. Właściwie to wszystko mnie interesuje.

– A Lema pan czytał? Stanisław Lem.

– Nie. Słyszałem tylko o nim.

– On uprawia gatunek: sajesz fikszyn. Nauka fikcyjna. Opisuje życie na innych planetach i życie na Ziemi, ale w przyszłych czasach. Wybiega daleko myślami naprzód.

– To musi być bardzo ciekawe. Każdy jakoś tam wybiega myślami naprzód. Ale nie wiem. Nie bardzo mnie ciągnie do czytania tego. Kiedy ja myślę o przyszłych czasach, o tych po roku dwutysięcznym i dalej, to nie podoba mi się to, co widzę. Ja mam przyjaciela. Bruno ma na imię. On mówi tak: Ludzi coraz więcej, a człowieka coraz mniej. I ja widzę, że tak będzie w przyszłych czasach. Już teraz tak zaczyna być. Już się widzi tego początki. Ludzi coraz więcej, a człowieka coraz mniej.

– Przyjemnie jest przysłuchiwać się dyskusji fachowców – powiedział szofer. – Wskoczę trochę na

wieś, panno Halinko. Może się coś tanio kupić. Jajka może, osełkę masła, sera może albo kurę, albo królika może niedrogiemu. Żona by się w domu ucieszyła.

– Jak pan znajdzie biały ser, to niech pan mi kupi – powiedziała bibliotekarka.

Szofer zatrafił parę razy na zew, żeby się czytelnicy schodzili i poszedł na wieś buszować po chatach za merkantylia spożywcza. Pięcioro białych gęsi poleciało za nim, sycząc i wyciągając długie szyje. Szofer odwrócił się, zamachnął się nogą i przez sekundę, dwie sekundy noga jego zawisa nieruchomo w powietrzu. Pomyślał, być może, jak toby się żona i dzieciaki w domu ucieszyli, gdyby przywiózł taką gęś. Kupa mięsa. Widziałem to wszystko przez okno autobusu Objazdowej Biblioteki Publicznej.

– A romanse pana interesują ? – spytała zniecka bibliotekarka.

– Romanse? Owszem. Tak. Tylko prawie zawsze tak się smutnie kończą. Tragicznie. I mnie to boli.

– Jest pan sentymentalnym.

– Och, tak, proszę pani. Bardzo.

– Za bardzo sentymentalnym być jest niedobrze.

– Ja myślę, że pani ma rację. Ale co można zrobić?

– To romansu pan nie chce.

– Nie. Lepiej jednak nie. Pani wybaczy, jak to się mówi.

– Książki przygodowe, tak sędzę, muszą pana interesować. W takim młodym wieku, dziwiłabym się,

gdyby nie.

– Nie będzie się pani dziwiła. Bardzo lubię książki przygodowe. To znaczy był czas...

– Ja bym romanse też zaliczyła do gatunku przygodowego – rzekła bibliotekarka i zwróciła się do mnie profilem.

Było na co popatrzeć. Tam, przez rozsunięte żółte firanki, za oknem autobusu, gdzie patrzyła powłóczyście bibliotekarka.

Chaty pod białymi dachami, biała dal tam w dali, białe pola i południowe słońce migotające, bijące nieprzytomnie powiekami po białej śnieżnej dominancji.

Otworzyły się drzwi do autobusu i tupając na stopniach, otrzepując buty na śniegu, weszły trzy dziewczynki, wyrywając bibliotekarkę i mnie z naszego przedłużającego się zapatrzenia tam za okno, gdzie oprócz tego, co widzieliśmy wspólnie, było jeszcze dużo różnych rzeczy. Ona widziała widoki, których ja nie widziałem, a ja widziałem widoki, których ona nie widziała. Ona na przykład widziała góry i pensjonat pośród marcowych gór, a ja widziałem sierpniowe ogródki podmiejskie pośród wielkich szarych kamienic. Ona widziała mężczyznę w czerwonym swetrze wybiegającego z pensjonatu na jej powitanie, a ja widziałem dziewczynę w ciemnoniebieskim fartuszk w białe groszki, biegnącą do mnie, na moje powitanie, między płotami działkowych ogródków. Ona słyszała szum morza, ja słyszałem deszczu plusk, który nas przyłapał wtedy wśród ruin tego

piastowskiego zaniku i staliśmy pod murem pod jednym nieprzemakalnym płaszczem. Ona widziała jego twarz pochylającą się nad nią: czarne włosy, piwne oczy, wąskie usta, a ja widziałem jej twarz, nad którą się pochylałem, jej oczy wielkie bursztynowe, jej włosy, jej usta.

– Przyszliśmy po lekturę szkolną na drugi okres – powiedziała do bibliotekarki jedna z dziewczuszek. – Tu jest lista, proszę pani.

Odsunąłem się trochę do tyłu, robiąc miejsce młodemu czytelniczkom i sięgnąłem, na chybił trafił, po jedną z książek, co na półkach. Wszystkie były ładnie oprawione w szary gruby papier z wypisanymi na grzbiecie literą i numerem. Otworzyłem na tytułowej stronie tę, po którą sięgnąłem. Która mi wpadła w rękę. Było to „Lato leśnych ludzi” Marii Rodziewiczówny.

– Ja wezmę tę, proszę pani. Może pani zapisze i już będę szedł, bo coś za długo pani marudzę.

– Wcale nie, wcale nie. Co pan sobie wybrał? A, „Lato leśnych ludzi” Marii Rodziewiczówny. Teraz wprawdzie zima, a nie lato, ale nikt jeszcze do tej pory nie napisał książki pod tytułem „Zima leśnych ludzi”. O ile mi wiadomo.

– Może ktoś kiedyś napisze – mówię. – To dziękuję bardzo i do widzenia pani.

– Do widzenia panu. Spotkamy się za cztery tygodnie, to znowu porozmawiamy, zgoda?

– Bardzo chętnie, proszę pani. Bardzo chętnie. Mogę zatrąbić parę razy przed wyjściem? Na zew. Żeby ludzie

w kościele usłyszeli. I ksiądz. Bo chyba się rozgadał z ambony. Wpadł w studnię wymowności i trzeba go trąbieniem stamtąd wyciągnąć.

– Niech pan zatrąbi. Musimy jeszcze dzisiaj odwiedzić dwie wsie przed wieczorem. Bardzo ładne to porównanie ambony do studni wymowności. Bardzo poetyckie.

– Cieszę się, że pani się podoba. Do widzenia pani.

– Do widzenia panu. Życzę powodzenia.

– Wzajemnie. W pracy zawodowej i w życiu osobistym.

– Dziękuję i wzajemnie.

– Dziękuję. I jeszcze raz: do widzenia.

– Do widzenia. Bardzo miło mi było pana poznać.

Wyraźnie wpadliśmy z bibliotekarką w studnię uprzejmości. Dziewuszkom, jak przy meczu pingpongowym, tylko kręciły się główki, to w stronę bibliotekarki, to w moją stronę, w zależności od tego kto ostatni uprzejmie odbijał piłeczkę. Zrobiłem wysiłek i wydostałem się ze studni, to znaczy, odwróciłem się i przesunąłem się do przodu autobusu, do kierownicy. Oparłem się o nią i chwilę zamyśliłem się. Po czym zatrąbiłem alfabetem Morse'a: trzy krótkie, trzy długie, trzy krótkie i jeszcze raz to samo: trzy krótkie, trzy długie, trzy krótkie. Potem machnąłem ręką bibliotekarce, odpowiedziała mi przyjaznym ruchem i tak opuściłem gościnne ciepłe przytulne wnętrze zielonego autobusu Objazdowej Biblioteki Publicznej.

Kiedy opuściłem gościnne ciepłe przytulne wnętrze

zielonego autobusu Objazdowej Biblioteki Publicznej, ludzie akurat wracali drogą z kościoła. Znać suma nareszcie skończyła się. Poszedłem na kwaterę, rozpałem w piecu i usiadłem przy ogniu. Chciałem trochę poczytać, ale zaraz po kilku zdaniach odłożyłem książkę. Nie szło mi czytanie. Zaczęły mi chodzić po głowie takie różne zdania: duszę łzy; zwinna jest bestia; fabuła rasa; duszę łzy; zwinna jest bestia; fabuła rasa. A potem takie zdania chodziły mi po głowie: ta wstążka twoja służy mi tutaj za temblak; ta wstążka twoja służy mi tutaj za temblak; niech mi nigdy nie będzie wisielczym powrozem: wstążka, temblak, powróż, temblak, wstążka, powróż; duszę łzy, fabuła rasa.

Minęło kilka dni – jak piszą powieściopisarce. I tak to jednym zdaniem załatwiają się z kilkoma dniami, których to dni, jakie by one były, bezbarwne, puste, bezmiłosne, jeśli to jest w ogóle możliwe, nie można załatwić jednym zdaniem, jednym pociągnięciem, drobnym ruchem ręki, lekkim wdzięcznym gestem, jakby łapiąc wpół kota z podłogi i sadzając go sobie na kolana. Ja, czyż inaczej czynię? Nie. Ale mnie przynajmniej śmieszy takie zdanie: minęło kilka dni. Nie mówiąc o tym, że boli mnie to, ubliża mi straszliwie. Bo to tak wygląda, że, ot, minęło kilka dni. Jakby nigdy nic. Jakby batem strzelił. Jakby pestkę wypluł. A ja przez te kilka dni, o, Gałązko Jabłoni i wy, straszliwe manowce, ja przez te kilka dni ileż razy konałem, umierałem i zmartwychwstawałem, ileż roboty zrobiłem

na zrębie, ileż potu ze mnie wyciekło, ileż łez zadusiłem w zarodku, w zaraniu, u wylotu, u źródeł, ileż tysięcy myśli przeszło przez moją głowę smugą światła jasną łagodną lub straszliwą nawałniczą ciemną smugą cienia, pętając mi czoło albo wprost dziurawiąc, trepanując mi klekoczącą czaszkę, ileż razy, mówię, przez te kilka dni umierałem i zmartwychwstawałem, i znów padałem i zpadłych-wstawałem i znów padałem na pysk i zpadłych-na-pysk-wstawałem i ulatywałem w dziedziny błękitu i znów zapadałem w dół głębokości, tonąłem w toni, to znów stałem pięknie na grzbiecie fali jak piana, jak zwycięski śmiech i znowu w dół i w górę, i tak dalej, i tak dalej.

Minęło kilka dni. I piszę to zdanie nie lekkim ruchem ręki, drobnym miłym gestem, jakby się łapało wpół kota z podłogi i sadzało się go sobie na kolana. Piszę to zdanie „minęło kilka dni” z bólem wielkim, bo nie mam sił, żeby te kilka dni pięknie i straszliwie opisać, tak jak są tego godne. Nie ma po prostu sił ten, który to tutaj wyznaje. Gdyby żył tylko życiem, miałby więcej sił. Ale on nie tylko żyje życiem, ale i żyje śmiercią i jeszcze jak, ach, jak żyje śmiercią i jeszcze żyje miłością, co jest ponad tym wszystkim, absolutną do ciebie miłością on żyje, dziewczynko, i sam nie wie, skąd na to wszystko bierze siły. Ale czasami zmęczony jest. To znaczy zawsze jest zmęczony, wieczne zmęczenie, ale czasami straszliwie zmęczony jest. Tak, że wydaje mu się, że za chwilę będzie

po nim, za chwilę potknie się i upadnie, i polecą twarzą na bruk i tak już będzie leciał i leciał w dół, tak już będzie wiecznie leciał... Ale nie. Jakoś jeszcze ciągle nie. Bo wisi u kosmyka włosów, co spada ci na oczy, i ty nie odgarniasz go za główki twojej zapadający się stromo w dół horyzont.

Minęło kilka dni: po słynnej niedzieli słynny poniedziałek, słynny wtorek, słynna środa, słynny czwartek, a słynny piątek miał się ku końcowi. Boleśnie słynny był ten piątek. Dla mnie i dla matki pilarza–Nikodema. I zapewne nie tylko dla nas, nie tylko dla nas. Zapewne. Można się tego domyślać bez zbytniego wysilania zwanej wyobraźni. Ale lepiej nie domyślajmy się za dużo. Bo za dużo domyśliliśmy się. I co wtedy? Mówmy lepiej o tym, co wiemy na pewno. Więc przed południem matka pilarza–Nikodema dziabnęła się siekierą w nogę. Krzyk się podniósł na zrębie od ich działki, bo krzyczała ranna, krzyczała jej córka, a pilarz–Nikodem, przekrzykując matkę i siostrę, wołał wielkim głosem:

– Apteczkę! Dawajcie apteczkę!

Ja miałem najbliżej do budy. Pobiegnę do niej, zerwałem ze ściany apteczkę i pogoniłem tam, w wiadomym kierunku, przeskakując wszędzie walające się poległe pnie wielkich sosen. Ranna siedziała na pniu, jej córka załamywała ręce, a pilarz–Nikodem tamował szmatą krew lejącą się z rany przez przecięty gumowy but. Zdjąłem najpierw ten but z jej nogi, potem onuce całe we krwi czarnej, związałem silnie szmatą nogę powyżej rany, pod kolanem, i wziąłem się do przemywania rany wodą



utlenioną. Rana głęboka była, cięta, do samej kości. Krew lała się i lała. Kiedy przemyłem ranę wodą utlenioną, wziąłem z apteczki jodynę i zacząłem jodynować.

– Do środka lej pan jodynę, panie Pradera – rzekł Nikodem.

– Do środka nie można – ja mówię. – Dookoła rany trzeba.

– Lej pan do środka, ja panu mówię.

– To masz pan. Lej pan sam. Mnie moja skromna wiedza medyczna nie pozwala na to – powiedziałem, podając Nikodemowi buteleczkę z jodyną.

– Co mu przeszkadzasz? – odezwał się Selpka do Nikodema. – Nie widzisz, że chłopak zna się. Kurs kończyłeś i głupi jesteś. Mnie też się zdaje, że jodyny się nie leje do środka.

– Ja zawsze lał do środka – bąknął Wasyluk – ale może nie powinno się.

Zgromadzeni w koło zaczęli dyskutować nad tym, czy się leje jodynę do środka rany czy nie. Zdania były podzielone. Ja tymczasem nałożyłem grubo gazy na ranę i zacząłem bandażować nogę.

– Gotowe – powiedziałem, kiedy skończyłem.

Córka i syn wzięli matkę pod pachy i doprowadzili do budy, o którą oparty był motocykl Nikodema. Nikodem zapuścił motor, pomógł matce usadowić się z tyłu i pojechali do Bobrowic, a stamtąd do Hopli, do Ośrodka Zdrowia.

Do Hopli, do Ośrodka Zdrowia i ja tego dnia musiałem

pojechać. Czy nieszczęśliwe wypadki są zaraźliwe, czy też tylko chodzą seriami, a przynajmniej parami? Przed południem matka pilarza–Nikodema dziabnęła się siekierą w nogę, a mnie po południu niemożebnie rozboleł ząb. Pożyczyłem rower od Młodego Batiuka i prosto ze zrębu pojechałem do Hopli, do słynnej dentystki Majki Nowak, w której kochali się wszystkie miejscowe chłopaki. Tak szeroko głosiła fama. Chodzili do Ośrodka Zdrowia i ze słynnym poświęceniem znanym tylko jednemu uczuciu dawali sobie świdrować bor–maszyną w nadpsutych zębach i wyrywać bez zastrzyku, po męsku, te niewyleczalne. Tak to czysta platoniczna miłość uzdrawia chore zastępy narodu.

Około czwartej zajechałem do Hopli. Dwa razy tylko wywaliłem się na drodze. I to szczęśliwie. Nic groźnego. Jechałem zresztą wolniutko, lelum polelum, i ostrożnie. Ślisko było, a najgorsze, najbardziej zdradliwe te oblodzone kawałki pokryte cienką warstwą śniegu. To jest tak jak czarna ręka pięknej damy–morderczyni w białej rękawiczce.

Do dentystki była kolejka: czterech dorodniaków i jeden chłopaczek. Spytałem, kto jest ostatni w kolejce. Chłopaczek był ostatni. Zamówiłem za nim kolejkę i pojechałem na pocztę wrzucić do skrzynki cztery listy do Gałązki Jabłoni i potem pojechałem ogolić się do fryzjera, korzystając z bytności w Hopli. Jutro zabawa, ale ani o tym myślałem. W zębie to mi ćwierkało, to mi gwizdało, to mi dudniło i tak na zmianę. Serce miałem w zębie i mózg,

i tak dalej. Los, co puka do drzwi, a czasami do okien, pukał mi tam w emaliowane ścianki zęba.

U fryzjera też była kolejka, więc stanąłem pod ścianą, bo dwa krzesła dla gości zajęte. Marzenna, kilkuletnia córeczka fryzjera, trzymając na kolanach wielki rysunkowy blok, rysowała z natury muchę, którą gdzieś tam widziała na suficie. Ja muchy nie zauważyłem. Ból zęba, widać, mącił mi wzrok. I wszystkie pozostałe zmysły. Zamówiłem kolejkę i wyszedłem na dwór trochę się przejść. Szedłem z otwartą gębą, bo zimne powietrze jakby łagodziło mi ból.

Tak idąc, zaniósł mnie pod prywatny kantor Baładaja, który konkurował z państwową nie opodal restauracją „Hoplanka”. Wlazłem tam i kazałem sobie zimne piwo. Ba Jada j, stojąc za bufetem, chwalił się komuś, że spod jego knajpy jeszcze nie zginał żaden rower, a spod „Hoplanki” już niejeden zginał. A pompki od rowerów to spod „Hoplanki” giną co rusz.

– A kto to zostawia pompkę przy rowerze? – powiedział ktoś. – Pompkę się zabiera ze sobą pod pachę.

– Jasne. Tak jak parasol – rzuciłem ja od mojego stolika.

Ból zęba jakby trochę zmalał albo tak mi się tylko zdawało. Kiedy w kantorku Baładaj zaczął rozprawiać z klientami o polityce, ból znowu wzmógł się. Albo tak mi się tylko zdawało. Wróciłem do fryzjera, ogoliłem się i pojechałem do Ośrodka Zdrowia. Ból zęba był taki, że miałem ochotę głośno wyć. Ale nie od razu zawyłem.

Przedtem pomyślałem o tobie, Gałązko Jabłoni. Zawsze i teraz absolutnie służy tobie emanuel delawarski. Nikt piękniej nigdy o nikim nie myślał. I to wszystko w samym środku bólu straszliwego, zdawałoby się nic prócz samego siebie, nic prócz bólu nie dopuszczającego. Ale miłość, miłość moja do ciebie, nie przez takie bóle i nie przez takie lasy i bory jak te, w których teraz jestem, już torowała sobie drogę. Wtedy dopiero zawyłem w tym cichym, zimowym, wczesnowieczornym zmroku hoplańskim. Z bólu i z miłości. Kto usłyszał to wycie, komu ono do uszu dopadło, tego niechybnie przeszedł dreszcz.

W korytarzu przed gabinetem słynnej dentystki Majki Nowak nie było nikogo, ale w środku, w gabinecie, był ktoś, był jakiś pacjent, bo dochodziło stamtąd piskliwe jęczenie i „o, Jezu, o, Jezu” między jednym a drugim jękiem. „O, Jezu, o, Jezu” automatycznie powtórzyłem i usiadłem na ławie. Zapaliłem papierosa, którego dym już mi w ogóle nie smakował ani żadnej ulgi w bólu nie przynosił, choć przed wypuszczeniem trzymałem go długo w ustach, a kiedy go po pewnym czasie wypuszczałem był cały brązowy, taki brudno-brązowy i jakiś taki boleściwy cały, jakby zarażony bólem od jego tuż-bliskości, ale ulgi żadnej dym mi nie przynosił, bólu mi nie odejmował.

Otworzyły się drzwi i wyszedł z gabinetu ten chłopaczek, za którym zamówiłem kolejkę. Cały skulony był, a dwiema rękami trzymał się prawego policzka.

– O, Jezu, o, Jezu. Wiedziałem, że tak będzie. Po co ja tu przychodziłem. Wiedziałem, że tak będzie. Siłą się na

człowieka rzucili.

Uśmiechnąłem się przez łzy, które ból mi wyciskał z oczu i wszedłem do gabinetu. Siadłem na fotelu i czekałem, aż słynna dentystka Majka Nowak wypali papierosa, którego zapaliła. Jej pomagierka tymczasem, herod–baba, wielka i potężna, postawiła kubek z wodą na spluwaczkę całą we krwi tego chyba chłopaczka, co przed chwilą wyszedł i skarżył się, że się na niego rzucili siłą, w którą to siłę ja, patrząc na herod–babę, nie wątpiłem. Potężne, dyżurne było babsko. Pomyślałem, że i mnie ona przytrzyma, gdybym chciał rzucać się na fotelu.

Ale nie rzucałem się. Nie zdążyłem nawet szarpnąć się. Tak, że stojąca za mną herod–baba nie miała nic do roboty. Zgrabnie i błyskawicznie wyciągnęła mi gdzieś tam z głębokiego środka głowy, z państwa środka, wielki trzonowy ząb słynna dentystka Majka Nowak. Aż dziw brał, skąd tyle siły w tej szczupłej młodej ładnej dziewczynie. Stała nade mną dzierżąc w dłoni obcego–szczypce, a w nich krwawiący były mój ząb.

– Chce go pan na pamiątkę?–spytała.

Poruszyłem głową, że nie. Że nie chcę tego na pamiątkę. Słynna dentystka Majka Nowak wrzuciła tedy ząb do spluwaczki, włożyła mi do gęby tampon i kazała przygryźć. Po czym umyła ręce i zapaliła papierosa.

– Dzielny pan jest – powiedziała.

Podziękowałem ruchem głowy, potem pokazałem na nią palcem, co miało znaczyć, że to ona jest dzielna i znowu skłoniłem głowę w dół, co miało znaczyć:

Dziękuję bardzo i do widzenia pani. Niech się pani szczęści we wszystkim. Wyszedłem z gabinetu, wyprowadziłem rower z korytarza i pojechałem do Bobrowic.

Wieczorem siedziałem na kwaterze w izdebce Babci Oleńki i jadłem drahli, jak z ukraińska nazywał Wasyluk galaretkę z zimnych nóżek. Drahli, czyli trzęsionka. Studzienina. Jadłem, bo minęło parę godzin” od wyrwania zęba i mogłem już jeść i byłem głodny. Babcia Oleńka siedziała na łóżku przy piecu w swojej słynnej pozycji z rękami splecionymi na brzuchu, kiwając się z lekka, to do przodu, to do tyłu. W piecu buzował ogień, a na strychu i z pustych pokoi szły jakieś szmery, skrzypnięcia, szuruburu i przeciągłe żałobliwe powiewy wiatru. Gdzieś z dali niosło się, raz głośniej, raz ciszej, smętne bicie dzwonu. Ciszej może wtedy, kiedy pociągający sznurem dzwonnik zamyślał się nad czymś. Nad tym na przykład, jak to raz, kiedy młody był, szedł raniuteńko polem, lato było i przed świtem było, nad łąkami stały nisko opary i nagle zobaczył tego pasącego się luzem białego istnego cud-konia, który podniósł powoli łeb, potrząsnął lekko grzywą...

– To jak my przyjechały do wioski i zaczęły my z chłopakami parlefransować, to ludzie, co mnie nie pamiętały, mówiły, że jakieś Czechy przyjechały.

To powiedziawszy Babcia Oleńka nagle zamilkła tak, jak nagle zaczęła mówić. Było to coś takiego, jak powiedział jeden w podobnej okoliczności, jak podziemna

rzeka, która nagle wypływa na powierzchnię, płynie jakiś czas po tej powierzchni, a potem, raptem, znowu wpływa, zapada pod ziemię i nie ma jej. Tak było teraz. Rzeka płynęła pod ziemią. Ale po chwili znowu wychynęła w górę i dał się słyszeć jej plusk, mamrotanie jej:

– Zeszłego roku przyjechały górale na robotę do lasu. Ośmiu ich było. To czterech ja miała u siebie na kwaterze. Co zarobiły, wszystko przepiły. Razu jednego jak sobie popiły, to jednemu wszystko się pomieszało i chciał do mnie do łóżka wleźć. Bójcie się Boga. Poszła ja na drugi dzień do leśniczego, zameldowała jemu i wyrzuciła, wygoniła ja ich wszystkich na zbity pysk. Nie chciała ja ich dłużej na kwaterze. Do takiej starej baby jak ja do łóżka się pchać, no bójcie się, ludzie, Boga, bójcie się Boga, bójcie się Boga, bójcie się Boga...

I rzeka znowu zapadła w dół, w głębokości podziemne i tam płynęła sobie, i stąd, z powierzchni, nie słyszało się jej płynięcia. Zjadłem drahli, potem jeszcze dopchałem się chlebem ze smalcem, wypilem herbatę i jeszcze zrobiłem sobie drugą szklanekę, żeby popijać u siebie do papierosa. Zanim wyszedłem z izby, podziemna rzeka jeszcze raz wypłynęła, na krótko, na powierzchnię.

– Co on może wywojować stary Bordaczewski z młodymi Herediukami? Co on może? Nie ma podejścia na słabych swoich warunkach.

Powiedziałem „dobranoc”, choć wiedziałem, że nie będzie odpowiedzi, bo rzeka płynęła teraz znowu pod ziemią i stąd, z powierzchni, nic do niej nie dochodziło.

No, ale powiedziałem „dobranoc”, zamknąłem cichutko za sobą drzwi i poszedłem do siebie. Nałożyłem do pieca, potem usiadłem przy stole, wypilem łyk herbaty, zapaliłem papierosa i zacząłem pisać list:

Dziewczynko Kochana, Gałązko Jabłoni Śliczna.

– Jest wieczór i siedzę na kwaterze przy piecu, usadowiony elegancko i nawet trochę nonszalancko, bo zebute nogi mam wyciągnięte na drugim krześle. W piecu huczy ogień, za oknem duje wiatr i w ogóle wieczór jest z tych nostalgiczno—magicznych, bo przecież nie ma Ciebie tu i tęsknię, tęsknię za Tobą straszliwie, ale tak jakoś jednocześnie jest, tak się jakoś czuję, jakbyś tu jednak była gdzieś blisko, nie wiem dokładnie gdzie, ale gdzieś bliźiutko, tu, w izbie, może na piecu siedzisz albo leżysz i drzemiesz sobie, bo ciepło Ci tam jest i dosyć przestronnie, bo piec jest duży i kapotę tam przedtem rzuciłem na górę, tak, że i miękko jest, więc jesteś tam, a ja spod pieca piszę do Ciebie na górę, na piec.

Byłem dzisiaj w Hopli i wrzuciłem na poczcie cztery listy do Ciebie a byłem w Hopli u dentystki w Ośrodku, bo rozboleł mnie na zębnie trochę zęb i mówię sobie: nie ma na co czekać, z zębami nie ma żartów. Ty też, pamiętaj, nie zwlekaj z pójściem do dentystki, jeśli Cię, nie daj Boże, zaboli zęb, ale nawet jak Cię nie boli, a czujesz, że Q się psuje, to zasuway natychmiast do dentystki. Nie czekaj, aż zęba nie da się już wyleczyć, tylko trzeba go wyrwać. Tak jak ja. Wiedziałem, że jest dziura, ale nie bolało, to nie szedłem do dentystki. Dzisiaj mnie zaczął boleć,



pojechałem i pożegnałem się z jednym zębem. Dentystka wyrwała mi go zgrabnie i spytała potem, czy chcę go na pamiątkę. Tego zęba. Ja poruszyłem głową, że nie. Że nie chcę. W ogóle nie wiedziałem, że można przechowywać na pamiątkę własne zęby. Jeśli jest taki zwyczaj, może miejscowy, regionalny, diabli wiedzą, to wydaje mi się ten zwyczaj dość dziwny.

Co do dziwności to mi się przypomina jedna już naprawdę bardzo dziwna historia, którą mi opowiadał jeden facet w pociągu. Więc opowiadał mi ten facet, że miał znajomego, który się potem strasznie rozpił, ale to potem. A przedtem zagrał w toto–lotka. Wypełnił kupon według kombinacji numeru z obozu w Oświęcimiu, w którym był więźniem podczas okupacji i miał jak każdy więzień wypalony na nadgarstku numer. Bo, jak wiesz, nikt tam nie miał nazwiska, tylko numer. Więc wypełnił toto–lotka, skreślając te cyfry, które były w jego numerze i wygrał pół miliona złotych.

Tak, że naprawdę dziwny jest ten świat, jak śpiewa Niemen, przeciągając dziwnie samogłoski. Ale podoba mi się. Śpiew Niemena. I ten świat oczywiście też. Bo Ty na nim jesteś. Patrz: pomyślałem o tym, jak to dobrze, jak to cudownie się stało, nie wiem, komu za to dziękować, że urodziliśmy się w tym samym czasie. Co to za cud jest fantastyczny. Bo patrz: Ty mogłaś urodzić się parę tysięcy lat temu, w Starożytności, a ja na przykład w Średniowieczu albo tak, jak się urodziłem w czterdziestych latach dwudziestego wieku, albo

odwrotnie, Ty mogłaś się urodzić tak, jak się urodziłaś, a ja w Starożytności i co wtedy? Co wtedy? Albo Ty mogłaś się urodzić dopiero za tysiąc lat, a ja dopiero za dwa tysiące lat, jeśli to wszystko do tego czasu będzie istniało. Ale załóżmy, że tak.

Więc, co wtedy, Boże mój? Albo patrz: mogliśmy się urodzić w tym samym czasie, tak, jak się urodziliśmy, ale ja na przykład tutaj, a Ty w Japonii, albo Ty tutaj, w Polsce, a ja w Patagonii i co wtedy? Mogliśmy się nigdy nigdy nie spotkać. Ale oczywiście tak nie mogło być. Nie mogło tak się stać.

Na zrębie wszystko w porządku. Matka pilarza–Nikodema dziabnęła się tylko siekierą w nogę, ale Nikodem zaraz ją odwiózł motocyklem do Ośrodka Zdrowia. Krzyku na zrębie było co niemiara. Poza tym zimno i spokój. Śnieg leży grubo, a o kłusownikach nic na razie nie słyhać. Robota na tym zrębie już się kończy i leśniczy, jak Ci już pisałem, ma wybrane nowe miejsce w lesie na trzebież. Wypłata chyba we wtorek albo w środę i jak tylko wezmę forszę, natychmiast, ech, Gałązko Jabłoni, pruję przestworza lotem ptaka do Ciebie.

Uważaj na siebie bardzo bardzo i na ulicach uważaj, na tramwaje i samochody; popatrz najpierw w lewo, potem w prawo i jeszcze raz w lewo i wtedy dopiero przechodź przez ulicę. Powtarzam Ci to ciągle, bo to jest bardzo ważne. I nie pal dużo papierosów, proszę bardzo. Rano gimnastykuj się trochę, potem zjedz duże śniadanie i potem dopiero zapal pierwszego papierosa. Rób wszystko, co Ci

każę, bo zbiję Cię pasem po tyłku, gówniarzu, jak przyjadę. Zbiję jak nic. Jak Boga kocham. I ubieraj się ciepło, wychodząc na spacer. Palto zapięte pod samą szyję, na to szalik, a na głowie czapa, chociaż jej nie lubisz. Kiedy teraz przyjadę, to Ci kupię nową i śliczną. Taką, jaką sobie sama wybierzesz. Nawet za pięćset złotych. Nawet za sześćset. Niech tam. I kupię Ci też łyżwy z białymi butami i pójdziemy ślizgać się na lodowisko do parku. I wezmę Cię do kina, i wezmę Cię na tańce, i to wszystko już niedługo, za kilka dni, Boże mój. A jutro nie będę tańczył ani razu, choćby mnie poprosiła do białego tanga najdorodniejsza panna całej okolicy. Bo jutro jest sobota i jest ta od dawna zapowiadana zabawa w Remizie Och. Straży Pożarnej i pójdę tam trochę popatrzeć i wypić zwaną tradycyjną lampkę wina. Już Ci nie będę zabawy opisywał, tylko opowiem, jak przyjadę. Tak Cię kocham cudownie, ale cicho sza, cicho sza.

Dobranoc, Dziewczynko. Śpij ładnie. Spotkamy się w nocy na polanie. Twój wierny pies – Janek Pradera

Na zabawę udałem się wczesnym wieczorem – juniorem tego dnia. Leżący na boku, markierujący budzik Babci Oleńki wskazywał wpół do ósmej, więc było gdzieś wpół do siódmej. Wyszedłem tak wcześnie, żeby wcześnie wrócić. Popić trochę, posłuchać muzyki, popatrzeć na tańcówników, pogadać o życiu i śmierci, i przed północą wrócić grzecznie z lekka szpulającym się krokiem na kwaterę. I iść spać. Jutro niedziela, ale nie zawsze dane jest dzień świąteczny święcić. Chciałem jutro dokończyć

piłowania i układania kubików z papierówki i opałówki, bo w środę albo we wtorek wypłata i Pan chodził po zrębie z gajowymi, zapisując w kajecie, ile kto zrobił, i obliczając, co się komu należy, a w poniedziałek, najpóźniej we wtorek, miał jechać na swoim starym Harley’u do nadleśnictwa, żeby przedłożyć listę płac i wziąć guldeny. Pieniężory. Dzisiaj, do południa, wszyscy już prawie ukończyli byli robotę na swoich działkach, a ci, co nie ukończyli do południa, ukończyli do wieczora. Mnie tylko zostało ze dwa dni roboty: jutro i pojutrze.

Przed wyjściem na zabawę napełniłem butelkę po lemoniadzie, co mi służyła za manierkę, nie herbatą, bo nie szedłem na zrąb, lecz bimbrem, bo szedłem na zabawę i po co zaczął tracić walutę przy bufecie, w którym zresztą na pewno nie będzie gorzały, żeby się bractwo niby–nie–popiło, jeno będą wina cieniutkim patykiem pisane, la patik, jak m je nie wiadomo dlaczego z francuska nazywali, a dla pań będzie słodka malaga – wino gestapowskie. I kto ze sobą nie przyniesie w kieszeni czegoś szlachetniejszego, ten? będzie musiał niestety tym się zadowolić. Bimber ja miałem z naszej drugiej z Peresadą brnącej wycieczki do Czerniawy przez zawiany śniegiem las i sumioty pól. Ten bimber z naszej pierwszej ekskursji, kiedy to nas pogonili kłusownicy, już dawno skończył się był. Była raz królowna. .

Na placyku przy sklepie pięcioro białych gęsi nie kręciło się dookoła słupa jak planety wokół słońca. Gęsi

spały już i słońce spało już od dobrych dwóch godzin. Spotkałem tam, na placyku, chwiejnie kroczącego Tomalę z drabiną na ramieniu.

– Do nieba ta drabina, panie Tomala? – rzuciłem w jego stronę.

– Do piekła, panie Pradera.

– To do piekła też po drabinie się idzie?

– A jak pan myślał. Do nieba po drabinie w górę, a do piekła po drabinie na dół.

– Aha. To już teraz będę wiedział.

Kiedy przybyłem do Remizy Och. Straży Pożarnej, bumstarara jeszcze się nie zaczęła. Na scenie spoczywały instrumentalne futerały, a w drugim końcu sali reprezentacyjna orkiestra z Końskich Dołów, z wypożyczonym od nas z Bobrowic harmonistą Władkiem Trynkosem, piła przy bufecie tradycyjną lampkę wina. Dansingowy parkiet posypany był grubo świeżymi, pachnącymi trocinami prosto ze stolarni Ołoszyna, tego, co nam zbił śliczną, elegancką budę na zrab. A trumny robił Ołoszyn też znakomite. Mówię, bom widział tę, którą ostatnio wyszykował dla kogoś tam, kto miał odbyć podróż z Hopli do Hadesu, poprzez rzekę Styks, i potrzebował czółna do tego celu. Pudło trumny było proste, a przez to, że proste, było oczywiście eleganckie, ale nie tylko to. Coś było w tej trumnie, choć umrzyk w niej jeszcze nie spoczywał. Jakiś wdzięk był. Jakaś gracia. Jedna z tych trzech. Gdybym wierzył w to, że umrę, to życzyłbym sobie w takiej właśnie trumnie być

pogrzebanym, gdybym chciał być pogrzebanym, a nie, powiedzmy, spalonym i rozrzuconym na cztery wiatry, a poczynając od tego, że wierzę w to, iż umrę. Bo nie wierzę. Absolutnie nie chcąc obrazić Ołoszyna mógłbym mu zaśpiewać to, co się kiedyś śpiewało pod dawną granicą polsko-węgierską: „Wyrzykowski robi trumnę, robi trumnę, robi trumnę; a ja jemu gównu umrę, gównu umrę, gównu umrę.”

Więc dansingowy parkiet posypany grubo świeżymi, wonnymi trocinami, przy ścianach w koło sali – długie ławy, kwadratowe stoły i krzeselkowate krzesła. Ponadto, pod niskim sufitem, łańcuszki ze skręconej kolorowej bibuły przeciągnięte w poprzek sali. Kolory patriotyczne. Biały i czerwony. Kolor białego orła i śniegu oraz kolor ludzkiej krwi, która oby dzisiaj nie popłynęła. Módlcie się matki, módlcie się, dzieci. Wszystko to ładne było. Grupkami panny Bobrowiczanki, panny Hoplanki, panny Końskodolanki i inne podokoliczne mieszkanki siedziały na ławach, chichotając się, na pozór bardzo zajęte wewnątrzfrakcyjną konwersacją, plotkowaniem i spiskowaniem, ale coraz to łypiąc spod oka na boki, a zwłaszcza na wejściowe drzwi: kto to też pojawia się z ciemnego dworu w oświetlonym progu sali. Ja, moja nie dla wszystkich, ale dla wielu obca twarz wzbudziła żywe zainteresowanie. Mówię to, opierając się na licznych spojrzeniach, które na mnie padły. A raczej potykając się o nie. Kiedy szedłem przez pół sali do bufetu, nogi plątały mi się wśród spojrzeń. Czuję także spojrzenia na plecach.

To się czuje. Najbardziej czuje się te spojrzenia, które padają w tył głowy na potylicę. Nie .spojrzenia w oczy. Te można znieść. Nawet najstraszliwsze: ssące, wsysające cię spojrzenia próżni. Więc nie te spojrzenia w oczy, oko w oko, są najgorsze. Ale te w tył głowy. Na potylicę. To jest miejsce specjalnie uczulone. A jednak ilu w dziejach pokoleń dało się z tyłu podejść i padli do przodu uderzeni w potylicę maczugą, obuchem siekiery, kolbą karabinu, kastetem czy zdradą. Ale dlaczego o tym mówię tutaj, o zdradzie i o tym wszystkim, w przystrojonej sali dansingowej rzeźnię oświetlonej stuwoltowymi i dwustuwoltowymi żarówkami przyciemnionymi wprawdzie tu i tam, dla nastroju, papierowymi lampionami? I dlaczego mówię o tym przy okazji tych niewinnych, dość przecież chyba jednak niewinnych spojrzeń dziewczęcych padających mi na plecy i w tył głowy na potylicę, kiedy tak idę przez pół sali do bufetu?

Przy bufecie stali chłopaki, czekając na otwierającego zabawę marsza, co da sygnał do falangowego ataku na te pagóry, pagórki i inne łagodne nierówności terenu. Przeszli z nogi na nogę i wypatrywali swoje cele, popijając tradycyjną lampkę wina. I ja sobie zafundowałem lampkę wina za jedne siedem złotych, bo potrzebowałem szklanki do bimbru. Peresady jeszcze nie było, innych kamratów po siekierze też nie zauważyłem, więc siadłem w kącie sali przy stole, przy którym siedział w pojedynkę, jak samotny odyniec, stary chłop z wielkimi wiciokrzewiastymi rudymi wąsami i w baraniej czapie na

kolanie. Stary przyszedł tu po to samo, co ja: posłuchać muzykantów, popatrzeć na tańcówników i pogadać do kogoś, kto ma słuch i słuchać ma życzenie. Ja miałem dobry słuch i słuchać tego wieczoru miałem życzenie. Stuknęliśmy się szklankami i stary zaczął:

– Dawni były lepsze czasy. Ja robił przy pile. Ona mi dużo zdrowia zabrała. Przyszedł ja robić do jednego bogatego gospodarza. Ziemi to miał z półtorej kolonii. To będzie przeszło trzydzieści mórg. I lasu miał dużo. Przedtem u niego piłowali ludzie, ale uciekli, bo za ciężko. Ja przyszedł, żeby zobaczyć. Zobaczył ja i mówię: jak za trzysta łokci da pan meter żyta, to piłujemy, jak nie, to szukaj pan innych. To on się zgodził. To my piłowali we trzech. Ręczną piłą. Dwóch na dole i ja sam na górze. To my piłowali dziennie trzysta łokci i zarabiali meter żyta na trzech. Meter żyta to było 50 złotych. Pan się będzie dziwował. My przez 14 dni wypiłowali 25 kubików. Jak ja skończy! robotę, to dwoma końmi nie mógł tego zboża zawieźć, co ja zarobił. Bo gospodarz zbożem nam płacił. Żytem. Musiał ja iść po swojego konia i we trzy konie wieźć. Konia ja miał dobrego. A przedtem ja miał ogiera. Kobyły dopuszczali do niego. To ja brał trzy ruble za dopuszczenie. Dwie kobyły w tygodniu, to ja miał sześć rubli. Bo to jeszcze przed pierwszą wojną. Za carskich czasów. Za cara.

Gdzieś mniej więcej wtedy, to znaczy nie za rosyjskich czasów, nie za cara, ale gdzieś mniej więcej w tym punkcie opowieści starego, pięciu członków orkiestry oderwało się



wreszcie od bufetu, gdzie byli przylepieni łokciami i kolanami jak do świeżej farby, i podążyli ku scenie. Kiedy tak szli środkiem sali krokiem dość niedbałym, choć być może nie dość powłóczystym, nie dość muzykalnym, ucichło wszystko i zerwały się pojedyncze najpierw, a potem tłumne oklaski. Muzykanci weszli na scenę, wyjęli z futerałów instrumenty, chwilę stroili je, potem cicho znieruchomieli, potem skrzypek uderzył stopą w deski podestu: raz, dwa, trzy, cztery i zaczęła się bumstarara. Od marsza.

Z początku, jak to z początku, ciało chce ruszyć, bo głowa każe, oko trzyma cel na muszce, tylko nogi jakieś krnąbrne, odmawiają posłuszeństwa, słabość jakaś w nich, jakby z waty są, ale to krótko trwa. Niedługo. Po chwili wata na powrót zamienia się w mięśnie, nerwy i żyły, i krew pojawia się w żyłach, i biec zaczyna, i wije się z pluskiem jak strumyk na łąkach. Po chwili zatem więc cała sala tańczyła szuranego, a ci, co nie tańczyli, jak ja na przykład i stary mój przy stoliku towarzysz, patrzyliśmy na tańcówników bijąc w rytm muzyki palcami w blat stolika albo pod stołem nogą w podłogę.

– Ten mój ogier to nie było na niego siły – podjął stary przzerwany wątek, kiedy skończył się marsz. – Uprząż zrywał, a szedł do przodu. Straszna siła miało bydło. I ja miał siłę. Rękę dawni to ja miał jak teraz dwie.

Tu przyłożył zaciśniętą pięść do drugiej zaciśniętej pięści.

– Taką ja miał rękę. Jak teraz dwie. Jak ja przyjechał

po kartofle, to worki po sto kilo i więcej, teraz nie ma takich dużych worków, to ja brał taki worek za szyjkę, nogą z dołu, raz, i już worek był na wozie.

Orkiestra zagrała teraz „głęboką studzienkę” i wszystko już walcowało po sali, a ci, co nie tańczyli, jak ja na przykład, stary mój przy stoliku towarzysz, chłopaki przy bufecie, co brzydsze panny na ławach popod ścianami i tym podobnie, więc ci, co nie tańczyli – nie tańczyli. Ci, co patrzyli na kręcące się pary, słuchając muzyczki – ci patrzyli, słuchając muzyczki. Ci, co nie patrzyli – nie patrzyli: stali przy bufecie plecami do sali, twarzą do półek z potrójnym, o ile mnie wzrok nie myli, rzędem butelek na każdej półce i poili się u wodopoju.

– Dobre czasy były. Sekurację się płaciło, podatek i nikt się do chłopca nie wtrącał. Świnie się chowało, przyjeżdżali Żydzi, kupcy, i jak ładna sztuka była, to kupowali żywiec na zagranicę. To płacili jeden złoty za kilo. Jak sztuka miała chociaż sto kilo, to – 100 złotych. I krowę można było za to kupić. A teraz weź pan świnie na spędy, dadzą 20 złotych za kilo, to sztuka sto kilo – dwa tysiące złotych. I teraz kup pan krowę, jak dobra krowa sześć, siedem i więcej tysięcy kosztuje. Lepsze były kiedyś czasy.

Jeszcze tak nie było, ja w każdym razie nie słyszałem, żeby jakiś stary, wspominając dawne czasy powiedział, że gorsze były te dawne czasy. Zawsze lepsze były. Lepsze, bo młode. Młodością buchające. Młodości ogniem młodym płomiennym.

– Ile macie roków, dziadku?

– No tak ile?

– Sześćdziesiąt jakieś.

– Siedemdziesiąt trzy. A siedemdziesiąty czwarty niedaleko.

– Siedemdziesiąt trzy. A siedemdziesiąty czwarty niedaleko za pierwszą górką – powtórzyłem. – Tyle lat. Tyle lat można żyć. I ja też mogę żyć tyle lat. Dlaczego nie? I nawet jeszcze więcej. Tyle lat mogę żyć i kochać cię, Gałązko Jabłoni; tyle lat i może jeszcze więcej i wszystko dla ciebie, Gałązko Jabłoni; zawsze i teraz absolutnie służy tobie emanuel delawarski.

To powiedziałem cicho, tylko do siebie, cichutko, a poza tym stary trochę nie dosłyszał, słuch miał stary z lekka przytępiony, i jeszcze poza tym orkiestra zaczęła rznąć oberka ostro z kopyta wtedy, kiedy do siebie mówiłem, więc wszystko było w porządku, wszystko dobrze było i wszystko będzie dobrze, musi być dobrze, tylko spokojnie, muszę uważać, straszliwie muszę na siebie uważać, na każdym kroku, nie mogę, nie wolno mi oszaleć, spokojnie, spokojnie, nie mogę, nie wolno mi, nie dam się pognać, nie da się, nie da się pognać ten, który tutaj przysięga, że nie da się pognać.

Wyciągnąłem z za pazuchy buteleczkę po lemoniady, w której miałem bimber i nalałem trochę staremu i trochę sobie do szklanek, co puste były od pewnego czasu.

– Zdrowie, dziadek. Sto lat.

– Zdrowie, panie grzeczny. Jak Bóg da, to może

pożyje ja jeszcze trochu.

– Sto lat. Ja sto lat widzę dla dziadka za dwudziestą siódmą górką.

– No, daj Boże. Mnie tam życie nie zawadza. A pan, panie grzeczny, ile ma lat?

– Ja? Trzy razy po tyle – pokazałem palcami obu rąk.

– Trzydzieści. Kiedy to ja miał trzydzieści lat? Zaraz... Czterdzieści... trzy lata temu nazad.

– Tysiąc dziewięćset... dwudziesty... czwarty rok. Lenina wtedy zabili – zapodałem.

– Lenina? To jego zabili?

– Zabili.

– A kto jego zabił?

– Kontrrewolucja, dziadku. Biała burżuazja.

Orkiestra zagrała znowu marsza na cześć jakiegoś towarzystwa, które właśnie wchodziło na salę dansingową, otupując na progu buty ze śniegu i wykupując bilety wstępu, o których zapomniałem wspomnieć, że były i że były po dziesięć złotych polskich. Wybuliłem te dziesięć złotych bez słowa sprzeciwu, choć na dobrą sprawę mógłbym się potargować o specjalną dla mnie zniżkę z wielu różnych względów i także dlatego, że ja tylko posłuchać muzyki i popatrzeć, a wcale nie tańczyć.

Za tym pierwszym towarzystwem wkroczyło zaraz jakieś drugie towarzystwo i jeszcze z pół tuzina chłopów, wśród których, kiedy się nieco rozstąpili, zauważyłem najpierw małego Peresadę, a potem dopiero zauważyłem młodego Batiuka długiego jak miesiąc, a szczupłego jak

pensja. Widać mieli ze sobą własny trunek, bo nie pośpieszyli wcale w stronę bufetu, jak absolutnie należało tego oczekiwać, tylko pocyrkowali między tańczącymi parami w drugą stronę, bliżej orkiestry, a—jak najdalej od bufetu, żeby ich z przemyconym nielegalnie na zabawę trunkiem nie przyuważyło któreś z czterech oczu bufetowej i bufetowego, przed którymi to oczami i ja się kryłem z nielegalnie tak samo przemyconym bimbrem. No, ale kto trzeźwy i przy zdrowych zmysłach, mając do wyboru między winem octowogronowym, czyli la patik, a wódką pod jakąkolwiek postacią, będzie pił to pierwsze? Trzeba nie mieć do wyboru, żeby to pić. Tak jak ci, co tam jak muchy oblegają bufet. I tak jak my, którzy na razie mamy wybór, ale którego nie będziemy mieli, kiedy skończy się nam to, co ze sobą przeschmuglowaliśmy w katanach, i wtedy też jak muchy obiegniemy bufet, żeby się doprawić winnym octem po siedem złotych szklanka. Na razie to mi nie groziło. Podlałem pod stołem, cichaczem, trochę bimbru dziadkowi i trochę sobie, i wypiliśmy.

Gdzieś mniej więcej wtedy zauważyłem siedzącego nie opodal pod stołem chłopaczka, który musiał przesmyknąć się na salę wtedy, kiedy przybyły te dwa mieszane towarzystwa i zaraz za nimi te pół tuzina chłopów, wśród których rozpoznałem kompanów po siekierze: Peresadę i młodego Batiuka. I jeszcze, zdaje się, czyjąś znajomą twarz. Chłopaczek siedział na podłodze oparty plecami o nogę stołu i z podkurczonymi do brody

kolanami. Rękami obejmował kolana. Siedział nieporuszony w tej melancholijnej fundamentalnej pozycji i patrzył, i słuchał, i przeszedł mnie dreszcz, bo tak jakby sądził ten świat. Z całą surowością. Bez pobłażliwości. I to było straszliwe. Bo bez pobłażliwości niewiele by się z tego wszystkiego ostało. Z tego, co ja wiem, to niewiele. Niewiele i niewielu. Z tego, co ja wiem, to bardzo niewielu. Z tego, co ja wiem na pewno, to Gałązka Jabłoni i kto jeszcze?

Tymczasem bumstarara rozkręcała się na całego. Reprezentacyjna orkiestra z Końskich Dołów z wypożyczonym od nas z Bobrowic harmonistą Władkiem Trynkosem rznąła kawałek za kawałkiem. Pary parzyły się w tańcu. Przy bufecie tradycyjna lampka wina została zachwiana i zaczynało się obalanie całych butelek. Wszystko było na dobrej drodze. Która czasami kończy się bardzo źle. A czasami wprost fatalnie. Ilu poszło na zabawę i wyniosło z niej biżuterię w plecach: żelazo, stal, kufłowe szkło i tym podobnie. A ilu nie miało już zdrowia tego wynieść i pozostali tam, gdzie padli. W szkarłatnej kałuży. Ale nie kraczmy. Nie kraczmy. Kim byli, tym byli moi zwani przodkowie, ale nie byli krukami.

Za blisko siedziałem bufetu. Przy bufecie stali chłopaki. Obce chłopaki. Stało między innymi dwóch, którym ja wyraźnie zaczynałem się nie podobać. Widziałem to od pewnej chwili, zerkając na nich spod oka. Co im się mogło u mnie nie podobać? A kto to wie? To może, że za spokojnie sobie siedziałem w kącie na uboczu;

to może, że kręciłem sobie palcami we włosach. Być może błyszczące guziki mojej bluzy–duglasówki im się nie podobały, bodły ich w oczy błyszczące guziki mojej bluzy. Być może nie podobał im się mój pogląd na świat całkowicie odmienny od ich poglądu na świat, co stwierdzili na przykład ze sposobu trzymania przeze mnie łożki na stole. Wiele rzeczy mogło im się nie podobać. Kto szuka zaczepki, przyczepi się do niteczki, że tak powiem. Kole nas w oczy, że się nam napatoczył twój widok uroczy – że tak powiem.

Kiedy ci dwaj przy bufecie kazali sobie po kolejnej szklanic octowogronowego wina, które, jak wielokrotnie wykazało doświadczenie, nie tylko upija, ale jeszcze człowieka rozzłaszcza, wtedy pożegnałem się ze Starym, sto lat, dziadku, sto lat, schowałem szklankę do kieszeni i oddaliłem się wolnym krokiem. Strzeżonego Niewidzialna Ręka strzeże. A poza tym nie słyszałem o takim prawie, że trzeba zaraz bić się z każdym, kto zaraz chce się z człowiekiem bić. Jeśli nawet jest takie prawo, niepisane, to ja je spokojnie łamię albo omijam. Bo na przykład nie mam ochoty w danej chwili, zaraz natychmiast, bić się. Chyba, że choć nie mając ochoty, przydybany zostałem w ciasnym kącie i nie ma żadnego widoku na omijanę ani na cofnięcie się do tyłu, bo z tyłu, za mną, ściana, Przyparty jestem do muru. A nad głową nie ma gałęzi, żeby skoczyć i wspiać się po niej na drzewo, a obok jest drugie’ drzewo i tak dalej, i tak z drzewa na drzewo wsiąkam w gęstym listowiu. Więc jak nie ma rady,

to nie ma rady. Broń się, Pradera, i niech cię ślepy los strzeże jak oka.

Bumstrara rozkręcała się na całego. Orkiestra rznąła, pary się parzyły. Sunałem wolniutko, lelum polelum, pod ścianą w stronę orkiestry, szukając swoich. Znalazłem ich w drugim końcu sali, na drugim końcu przekątnej, którą by się przeprowadziło na sagę przez całą salę, poczynając od tego rogu, gdzie siedziałem przedtem ze Starym. Siedzieli przy stole: Peresada, młody Batiuk, Selpka i jeszcze ktoś czwarty. Nie z lasu ten czwarty. Żadna druga płeć z nimi przy stole nie siedziała. Selpka zostawił w domu swoją żonkę chi-chi. Peresada— wiadomo. Przysiadłem się, rzucając ogólne „dobry wieczór”. Drugiej płci nie było przy naszym stoliku, jak już mówiłem, ale gadka toczyła się właśnie o kobietach.

– Nigdy się nie żeń z babą, jak ma wąskie wargi. Za grube wargi też niedobrze. Najlepsze są średnie wargi.

– Ale duże cycki, nie, Pradera? – rzucił Peresada, mrugając do mnie prawym okiem. Odmrugnąłem mu lewym okiem, bo prawym nie umiałem. Peresada zaś umiał mrugać prawym i lewym okiem wedle życzenia.

– Teraz mało jest takich z dużymi cyckami – zauważył fenomenalnie młody Batiuk.

– Teraz dziewczyny to pineski mają, a nie cycki. Chłopaki nie mają za co złapać – powiedział Selpka, stary lubieżnik.

– Taka, co dużo gada, też jest dobra – tłumaczył dalej Ten Czwarty młodemu Batiukowi, spozierając też na mnie,



żebym słuchał, bo mi się to przyda. – Taka, co dużo gada, to nie jest zła. Postawisz łokieć na stół, oprzesz głowę i słuchasz jednym uchem. Ona gada, a ty sobie marzysz.

– Co tam kobity! Były kobity, niech sobie będą! – powiedział Peresada.

– A Kaziuk lata po wiosce i szuka swojej baby. Z Nowej Doli przyjechał, a jej znowu w chałupie nie ma – zapodał Selpka. – Zły taki, że aż strach. Był u mnie się pytać.

– U mnie też był się pytać – powiedział Peresada. – Ale już przestał latać. Siedzi teraz w chałupie, pije liliówkę i czeka na nią. Przez okno ją go widział.

– Znowu ją nawali, jak wróci.

– No i co? Potem on znowu wyjedzie i ona znowu pójdzie.

– Po co ona z nim siedzi, jak ma tylu amatorów?

– A ty myślisz co? Ty myślisz, że by ją kto chciał, jakby Kaziuk wygonił ją z chałupy albo jakby ona sama własnowolnie poszła? Teraz każdy ją bierze, bo ma chłopa. Zabawi się każdy, a potem ją odsyła z powrotem do chłopa i niech ten jej daje zryć. Każdy wygodny jest. Co ty myślisz? – wytłumaczył Selpka młodemu Batiukowi.

– Co tam kobity. Były, niech sobie będą! – powtórzył – Peresada swoją sakramentalną polubowną odezwę. – Lepiej my napijem sia.

Towarzysze moi zaopatrzeni byli nie tylko we własny trunek, ale i we własne musztardowe szklanki. Szmerek uznania popłynął, kiedy i ja wyjąłem z kieszeni szklanekę

i nalałem sobie własnego bimbru. Że też jestem zaopatrzone w co trza. Wypiliśmy i młody Batiuk z Tym Czwartym poszli powalcować, a my: Peresada, Selpka i ja – trochę pogapiliśmy się na tańcówników. Gapowe wliczone było w cenę biletu. Tłok na sali robił się coraz większy. Chyba ze wszystkich okolicznych wiosek w promieniu dziesięciu kilometrów ściągnęli kuzyni i kuzynki do nas, do Bobrowic, na zabawę. Saniami, furmankami, na hulajnogach, czyli pieszo przez lasy i pola, czym się dało. W przerwach między orkiestralnymi kawałkami słyhać było z dworu wesoły, miły uchu dźwięk dzwoneczków.

Wehikuły: sanie, furmanki stały ciasno jedno przy drugim wokół Remizy. Zaprzężone do nich konie, przykryte derkami, workami, kocami, potrzęsały od czasu do czasu łbami i wtedy grały dzwonki, którymi końskie zaprzęgi były świątecznie obwieszane. Oparte tu i tam rowery cyklistów; gdzieniegdzie motocykl; gdzieniegdzie motorower marki „Komar”. Stałem trochę z boku, pod drzewem, i paliłem papierosa. Wyszedłem na dwór, bo przycisnął mnie pęcherz. Mróz był niezaduży. Tak na nos: minus dziesięć stopni. Gwiazdy, ech, Gałązko Jabłoni i wy, straszliwe manowce, gwiazdy skrzyły się nieprzebranie i księżyc stał wysoko na niebie, dwa razy tak wysoko jak gdysiejsze słońce. Oświetlone okna Remizy rzucały blask i noc jasna była, nie da się ukryć, ale dla koniokrada i tak było tu wiele pola do popisu na skradzionym koniu. Gdzieś tu chyba musiał być stróż tego całego taboru. Siedział na

którejs furmance albo na którychś saniach nakryty kozuchem. Albo gdzieś wałęsał się. Albo stał z drugiej strony Remizy i w okna zaglądał, gapił się przez szyby na bumstararę. Gap się, bracie, gap. Nawet nie będziesz wiedział, kiedy podczołga się do taboru koniokrad–syn koniokrada, odprzęgnie rumaka z któregoś wehikułu, wyprowadzi cichcem–milczkiem na stronę, a potem wsiądzie nań i pogalopuje, pogna w zimową jasną noc.

Pomyślało mi się, że jeśli już jestem na dworze, to może by tak skoczyć do kwatery i napełnić bimbrem buteleczkę po lemoniadzie, którą, przy pomocy Starego, a potem samotrzeć wysuszyłem już był. Zastanawiałem się chwilkę nad tą sprawą i zdecydowałem się jednak podskoczyć do kwatery, dżgany obawą, że jeśli zechce mi się ostro pić, to zgodzę się na to, pójdę na to, nie mając przy sobie bimbru i nie mając akurat ochoty poń podskoczyć, by truć się winnym octem przy bufecie, o ile się w ogóle dopcham do bufetu, na który już teraz odbywał się tłumny szturm, pospolite ruszenie, a co dopiero potem, kiedy po wypiciu pewnej ilości nie można już się cofnąć do tyłu, w miejscu trudno stać i można już tylko płynąć do przodu stylem coraz bardziej dowolnym.

Tak to sobie przemyśliwując nad rozwiązywaniem niektórych węzłów sytuacyjnych, doszedłem do kwatery. W ciupce u Babci Oleńki ciemno było. Była sobota i chyba na pierzaczki, na pogaduszki przy darciu pierza pokuśtykała do kogoś Babcia Oleńka. Klucz był w drzwiach. Przekręciłem i wszedłem. Przesunąłem się po

omacku do mojej izby, zapaliłem światło, wyciągnąłem z szafy bimber i przelałem z dużej butelki do małej butelki, tej po lemoniadzie, przez zrobiony naprędce papierowy lejek, wolniutko i ostrożnie, żeby nie uronić drogocennych kropel. Potem schowałem małą butelkę za pazuchę, a dużą butelkę wstawiłem na miejsce. Przy zamykaniu jednych drzwi szafy, uchyliły się drugie drzwi szafy i odskoczyłem do tyłu cały zjeżony, oparłem się o stół, siadłem na nim; nie odwracając wzroku od szafy, przerzuciłem górą nogi. W tej drugiej przegrodzie szafy stała jakaś postać. Wyciągnąłem z rękawa nóż, pstryknąłem, otworzył się z trzaskiem i tak z ostrzem wystawionym do przodu znieruchomiałem. Cały byłem zjeżony, serce mi mocno waliło, a sekundy płynęły. Ale nic się nie działo. Nikt z szafy nie wyłaził. Przemknęła mi przez głowę kryminalistyczna myśl, że jest to może trup, i jeszcze bardziej się przestraszyłem, oczywiście, że dużo bardziej, a zaraz potem przemknęła mi przez głowę metafizyczna myśl, że kiedy podejść i otworzę szeroko te drugie, uchylone teraz lekko, drzwi szafy, to zobaczę jego, tego, co trzy zaledwie tygodnie temu zginął pod kołami przepadł już w bezdennych głębokościach, a oto wrócił stamtąd, skąd się nie wraca. Nie wiem, nie powiem na pewno, że to doświadczenie ludzkości i moje skromne sprawiły to, że odrzuciłem tę drugą myśl. Dużo pewniejsze jest natomiast, że właśnie doświadczenie ludzkości i moje skromne kazały mi zatrzymać się przy tej pierwszej kryminalistycznej myśli. Ale i tę zaraz odrzuciłem. Trup by nie stał

o własnych siłach.

– Hej! – cicho zawołałem.

– Hej! – zawołałem głośniej.

Nic. W prawej ręce trzymając nóż, wolną lewą ręką zaszurałem stołem, za którym stałem, a który był pomiędzy mną, a szafą. Nic. Od Remizy tylko niosło się bicie bębna, donośne i głuche, duszące w czystym nocnym powietrzu dźwięki pozostałych instrumentów orkiestry. Pchnąłem nogą krzesło. Zachwiało się i przewróciło z hałasem na podłogę. I dalej cisza. Jeszcze rzuciłem w szafę metalowym kubkiem w tę zamkniętą połowę, tak, że jeszcze trochę uchylły się drzwi tej drugiej połowy i wtedy dopiero zacząłem się dokładniej przypatrywać temu, co widziałem, temu, co tak mnie przestraszyło, że odskoczyłem od tego błyskawicznie do tyłu, cały zjeżony, nie przypatrzwszy się dokładniej owemu.

Była to wisząca na wieszaku długa, trzy czwarte katana i zaraz pod kataną stały na dolnej półce gumowce i to wszystko razem tworzyło bardzo postaciową całość, bez głowy wprawdzie, ale tego nie zauważyłem jakoś. Drzwi tej drugiej połowy szafy były z początku, nim rzuciłem w nie metalowym kubkiem, tylko leciutko uchylone i wszystko tam wewnątrz było w cieniu, i dlatego. Odwróciłem wreszcie od szafy wbity w nią wzrok, zamknąłem nóż, też wbity w tym kierunku, i spojrzałem po izbie. Na jednym z dwóch wolnych łóżek, na tym w prawym rogu, naprzeciw mojego, leżała duża pękata podróżnicza torba typu worek. Obok torby, z jednej

strony leżał zielony ręcznik, z drugiej strony brudne skarpety. Jakiś nowy przyjechał do roboty do lasu. Tymczasem, zwabiony muzyką, umył się, założył świeże skarpety i poszedł na zabawę.

– Przestraszyłeś mnie, Nowy – powiedziałem głośno do siebie.

W Remizie Och. Straży Pożarnej, kiedy tam wróciłem, była akurat przerwa w bumstararze. Na podium leżały instrumenty, a muzykanci rozpierzchli się po sali i porozsiadali się do znajomych pijąc to, czym ich częstowano. Przy naszym stole siedzieli dalej Peresada, młody Batiuk i Ten Czwarty. Selpki już nie było. Wybył nam. Poszedł do chałupy, do swojej żonki chi–chi, bo może bał się, że jak za długo ją zostawi samą, to ona mu na jakieś chi–chi pójdzie, jak żona Kaziuka, który tam u siebie siedział ze zwieszoną głową i zaciśniętymi na stole pięściami, obok pustej wypitej butelki, i czekał, aż wróci mu niewierna. A żal, ból i gniew, wszystko razem: w imię Ojca i Syna i Ducha, wzbierały w nim jak na przedwiośniu woda w rzece, kiedy tają śniegi i ruszają lody, i jeszcze wali woda z rozlicznych dopływów.

– Siadaj, Pradera – powiedział Peresada. – Na kwaterze ty był?

– Był.

– Przyniósł ty co nieco?

– Przyniósł.

– To daj trochu, bo u nas wyschło źródółko. Ja potem pójdę do chałupy po świeże.

– Jak ja cię znam, Peresada, to ty nie masz po co do chałupy chodzić, bo tam nie masz ani kropelki. Jak ja cię znam – powiedziałem, nalewając pod stołem do wyciągających się w moją stronę szklanek.

– Ale ty, czort, domyślny, Pradera, no jej Bohu. To wino my kupim. Złożym się i kupim.

– Kupim – powtórzył Młody Batiuk.

– Jak tam na polu? – spytał Ten Czwarty. – Idzie na większy mróz?

– Chyba nie. Tak jakby się zatrzymało w miejscu.

Ten Czwarty okazał się być bratem Peresady. Z Końskich Dołów. Gdzie rej wiedli Podolaki. Nigdy bym nie powiedział, że Peresada i Ten Czwarty to bracia. Byli do siebie tak niepodobni jak stara Zelandia i Nowa Zelandia, pomyślałem sobie topograficznie. Wtedy przypomniał mi się ten Nowy, który tak mnie niedawno przestraszył w kwaterze, to znaczy nie on, chociaż jakoś tam on, ale właściwie to nie on, tylko ja sam. Ja sam się przestraszyłem. Nie pierwszy raz sam siebie przestraszyłem. W innym sensie, w innych wymiarach. Ale strach jest zawsze bardzo podobny do strachu. Nie różni się bardzo. Jest mały strach, duży strach i straszliwy strach, ale zawsze to strach, a nie, na przykład, otucha. Ile razy, kiedy zapędzałem się myślą daleko daleko, tam gdzie za dalą dała tak dalej, straszło mnie to, co widziałem przez ledwie uchylone ze strachu powieki. Chyba stamtąd, z tamtych strachów wyniosłem ten ostatni przedziwny mój ból: klucie włosów w głowę.

Więc kiedy porównałem topograficznie Peresadę i Tego Czwartego, którzy, o, dziwo, okazali się być braćmi, do Starej i Nowej Zelandii, to przypomniał mi się ten Nowy z kwatery i spojrzałem po sali na pobliskie naszego stołu rejony, czy może rozpoznam go w którymś z mężczyzn. Jako nowy w tych stronach powinien mieć w sobie coś, jakąś, nazwijmy to, nowość, która by mi się od razu rzuciła w oczy. Zaraz natychmiast. Chyba że rokrocznie tu przyjeżdżał do roboty do lasu i nie były to dla niego nowe strony, tylko odnawiane. Jeździłem oczami po okolicznych męskich postaciach, ale żadna z nich nie wydała mi się tym Nowym. Może obracał się w innych rejonach wielkiej sali Remizyj w drugim końcu może, przy bufecie, tam, gdzie mój wzrok sięgał tylko, że tak powiem, ogólnikowo. Bóg z tobą, Nowy. Niedługo cię zobaczę na kwaterze. Jeszcze dziś. Albo najpóźniej jutro, jeśli zostaniesz na zabawie do końca, to jest do rana. Na pewno, jak zwykle, mocno się rozczaruję, kiedy cię zobaczę. Teraz, kiedy nie wiem, jaki jesteś, mogę sobie wyobrazić cię bardzo malowniczo. Mogę sobie nawet wyobrazić, że to Szerucki wrócił na planetę gdzieś tam z galaktyki czy spoza galaktyki, skąd patrzył na całą jaskrawość boskim niehumanym spojrzeniem. Wrócił na planetę i tu, do Bobrowic, przyjechał do roboty na zrab.

- U dziedzica nos jak świca.
- A pod nosem krosta.
- Kaczki hreczke zjadły.
- Bocian w dupę dostał.



– Bydło bodzie – zaczynały się w koło w krąg słynne pijackie katarynkowe odżywki.

– Jeden chłop – powiedział Peresada – miał pięć włosów na głowie. Rano wstaje, patrzy do lusterka i myśli: jak tu się dzisiaj uczesać. Nareszcie czesze się: trzy włosy na prawo, dwa na lewo, a w środku przedziałek. Na drugi dzień wstaje, patrzy do lusterka i widzi, że zostały mu się cztery włosy. No to pół na pół: dwa włosy na prawo, dwa na lewo, a w środku przedziałek. Na trzeci dzień patrzy, trzy włosy ma już tylko, na głowie. Myśli i tak: dwa włosy na lewo, jeden na prawo, a w środku przedziałek. Na czwarty dzień patrzy: dwa włosy na głowie. No to pół na pół: jeden włos na prawo, drugi na lewo, a w środku przedziałek. No i na piąty dzień został mu się tylko jeden włos. Stoi przed lusterkiem i дума i дума, i дума: jak tu się, czort, uczesać? Na koniec macha ręką i mówi: A co mi tam! Pójdę dzisiaj do roboty poczochrany.

Zaśmialiśmy się wszyscy gromko i wesoło, i oto nagle ja przestałem, śmiech uwiązał mi w gardle w półśmiechu, bo przy stole obok śmiała się pijana kobieta i to było straszliwe, Boże mój, to było straszliwe. Śmiać się można; śmiać się trzeba, dużo, dużo się śmiać, ale ona tak się śmiała, tak strasznie jakoś, że ten jej śmiech obrażał, znieważał wielki bolesny dostojny smutek świata. Tak się więc śmiała i ja przestałem się śmiać, bo to było tak, jakby mi ktoś w mordę dał zniecka albo tak jakby mi ktoś w rozdziawioną ze śmiechu gębę kawał lodu wpakował, albo tak jakby mi ktoś przeciągnął czymś zimnym po szyi,

brzytwą lub innym jakimś narzędziem. Tak, coś takiego. A dlaczego mój śmiech czy śmiech Młodego Batiuka, czy Tego Czwartego – brata Peresady nie obrażały, nie znieważały wielkiego bolesnego dostojnego smutku świata? Nie wiem dlaczego. Wiem, że nie obrażały. I nie wiem dlaczego, ale wiem, że śmiech tej pijanej kobiety obrażał wielki bolesny dostojny smutek świata. Pierwszy raz w życiu przytrafiło mi się to usłyszeć, to znaczy usłyszeć, o co tu idzie, bo wiele, wiele razy raził mnie czyjś śmiech, zwłaszcza kobiecy, i nie wiedziałem dlaczego, na czym to polega, że tak mnie to raziło, bolało wprost; a w ogóle to lubię śmiech, uwielbiam, zaraz natychmiast zarażam się śmiechem, gdy śmiech jest zaraźliwy, często śmieję się razem z tym, który się zaraźliwie śmieje, choć nie wiem nawet, z czego ktoś się śmieje; zeszłego lata na przykład szedłem wyludnioną przedpołudniową uliczką jednego miasteczka i naraz słyszę taki zaraźliwy śmiech dobiegający mnie z niedaleka, idę w tę stronę i już się śmieję, choć nie wiem nic, o co idzie, podchodzę, siedzi starszy facet na murku i cały się zanosi śmiechem, i ja go pytam ze śmiechem:

– Z czego się pan tak śmieje, panie?

– A, do swojej myśli, panie – odpowiada mi facet i śmieje się jak głupi.

I ja się śmieję z nim jak głupi, do rozpuku, choć przecież nie wiem nic, ani pojęcia nie mam, jaka jest ta jego myśl, do której on się śmieje i do której ja się śmieję, nie dlatego, że mam absolutne zaufanie, że to musi być

cholernie śmieszna myśl, tylko dlatego, że ten starszy facet tak się zaraźliwie śmieje i ładnie jakoś.

Ta pijana kobieta natomiast inaczej, o, inaczej się śmiała, nieładnie, brzydko, strasznie, tak, w taki sposób, że ten śmiech, jak to odkryłem, znieważał wielki bolesny dostojny smutek świata, i jeszcze zaczęła czkać' tak jakoś, jak kurzoj, schizma domowego ptaka, ni kogut, ni kura, i to naprawdę było dla mnie, biedaka, nie do zniesienia, włożyłem palce do ust, żeby gwizdnąć, cztery palce, po dwa palce z każdej ręki, żeby głośno, przeraźliwie gwizdnąć i przerwać, uciąć jej ten śmiech i czkanie, wciągnąłem głęboko powietrze do piersi i gwizdnąłem, ale mało kto usłyszał mój gwizd, ja sam ledwie go usłyszałem, bo w tym samym momencie, kiedy gwizdnąłem, prysnęły z wielkim trzaskiem szyby w najbliższym oknie Remizy, zaraz po prawej stronie, i wszyscy się zerwali i, przewracając krzesła, potykając się o stoły i zwalając z nich, co było szklanego, kobiety piszcząc, rozbiegli się wszyscy od tego okna promieniście jak fale, kiedy się rzuci do wody kamień, my też zerwaliśmy się na nogi, bo byliśmy w tej strefie i odsunęliśmy się do tyłu, nikt nie wiedział, co się dzieje, i oto po drugiej stronie rozbitego okna zobaczyłem wysoką postać, Kaziuk – powiedział Peresada, szaleńczą Kaziuk miał twarz, maniakalis–maniakalis, całą wykrzywioną w jakimś bolesnym grymasie, za nim, z tyłu, słychać było rzenie przestraszonych koni stojących wokół Remizy i zaprzęzonych do wehikułów, rzenie było wysokie, takie

jak kiedy koń staje dęba; Kaziuk zaczął przelazić przez okno, pomagając sobie jak kotwicą siekierą, którą trzymał w prawej ręce, kaleczył się o wystające końce rozbitego okna, krew mu ciekła po twarzy i rękach, baby piszczały, ale tak jakoś cicho, jękliwie, i nikt się nie cofał dalej, nikt nie uciekał, jakby sparaliżowało wszystkich, urzeczone, zaczarowane stało koło wokół Kaziuka, który przelazł przez okno, stanął mocno na nogi, po czym zgarbił się, wziął siekiere w obie ręce i zawył:

– Gdzie ona? Gdzie ta suka?

Wszyscy trwali w bezruchu przez te sekundy, które się strasznie dłużyły i Kaziuk stał w miejscu ze spuszczoną w dół głową, patrząc sobie pod nogi i ciężko sapiąc. Potem podniósł łeb, spojrział przed siebie błędnymi oczami, postąpił krok naprzód i znowu zawył:

– Gdzie ta suka?

Jak wilk zawył. Przeciągnął długo literę „u”, podnosząc przy tym łeb do góry jak do księżycy. „Gdzie ta suuuuuuka?!” Jak wilk. Kiedy Kaziuk postąpił jeszcze krok do przodu, tłum cofnął się trzy kroki do tyłu i wtedy wyszedł do przodu mały Peresada. Nie można było oprzeć się słynnemu biblijnemu porównaniu, widząc małego Peresadę idącego z gołymi rękami, bez procy, w stronę wysokiego olbrzymiego Kaziuka dzierżącego w obu pokrwawionych łapach gigantyczną, wydawało się, siekiere. Peresada zatrzymał się za stołem w odległości jakichś pięciu kroków od Kaziuka i, robiąc taki zwiewny przemijający ruch ręką z dołu do góry, wypowiedział

z przedziwną łagodnością swoją polubowną sakramentalną odezwę:

– Ech, co tam suki, Kaziuk. Były, niech sobie będą!

Wtedy Kaziuk podniósł wysoko wysoko siekiere, a Peresada pchnął w jego stronę stół. I zaczęła się siekierzada. Peresada szybko, ale spokojnie (dlatego nie wychodziłem z szeregu, żeby mu pomóc, ani nie wyszedł Młody Batiuk, ani nie wyszedł Ten Czwarty – Peresady brat) uwijał się przy stołach, które ściągał z dookolnej okolicy i pchał je w stronę Kaziuka, a Kaziuk walił w nie siekiere, wyjąc przy każdym łupnięciu: „Ty blać! Blać! Blać twoja mać! Ty blać ty!” I łup! łup! Naprawdę tak jakby się zmówili, Peresada i Kaziuk, jakby ustalili, co kto ma robić: ty robisz to, ja robię to. Ja ci podsuwam stoły, a ty wal siekiere. I świetnie, znakomicie wprost, obaj sobie radzili. Brakowało może trzeciego, takiego pomagiera, który by sprzątał przed Kaziukiem rozplątane stoły i po kawałku, po jednej nodze, po jednej desce, wyrzucał cały ten połupany towar przez okna na dwór. Ale ja się nie kwapiłem pod siekiere Kaziuka ani nikt z tych, którzy, być może, pomyśleli sobie to samo, co ja.

Wszyscy patrzyli na bezbłędne technicznie, ale straszliwe widowisko rąbiącego stoły pokrwawionego Kaziuka całego we władzy szaleńczych niszczycielskich Furi. Widok zaiste był niesamowity. Ale ludzie to lubią. Cyrk lubią, teatr lubią, kino lubią, a ostatnio telewizję! Ci z tylnych szeregów stawali na palce i wyciągali szyje, żeby lepiej widzieć; paru wlaźło na barana na plecy swoich

kumpli, a po chwili zamieniali się rolami; ci jeszcze dalej z tyłu powłazili na co się dało: na krzesła, ławy, stoły; orkiestrowe podium pełne było gapiów; dwóch młodych chłopaków wlaźło na wielki kaflowy remizowy piec rzuciwszy nań przedtem jakieś kapoty, żeby się nie poparzyć, bo w piecu ostro było nahajcowane. Kobiety, które najpierw pognały ze strachu w gęsty tłum, przepychały się teraz, kuksane w bok gatunkową ciekawością, do pierwszego szeregu, na pierwszy plan i patrzyły wielkimi oczami, popiskując z cicha, jękliwie i jakoś tak lubieżnie przy każdym uderzeniu Kaziuka siekierą: „Ty blać! Blać. Blać twoja mać! Ty blać ty!” w podsuwane mu przez Peresadę stoły.

Do pierwszego szeregu, w którym stałem, wychynęła tuż obok mnie ta pijana baba, która jak brzytwą ucięła mi mój śmiech serdeczny swoim śmiechem i czkaniem znieważającym wielki bolesny dostojny smutek świata, i który to śmiech ja jej chciałem uciąć przeraźliwym gwizdnięciem na palcach, ale zrobił to za mnie i dużo lepiej, dużo lepiej, bo dużo brutalniej, Kaziuk swoim nagłym amokowym wtargnięciem na zabawę.

Baba patrzyła na siekierzadę mętnymi zapitymi oczami, popiskując z lubością, nie czując wcale albo dobrze czując, że stojący za nią chłop przywarł, przykleił się do niej całym ciałem i wsadził jej pod spódnicę kosmatą łapę. I czy ja muszę takie rzeczy oglądać? Czy moje oczy, które dużo, za dużo już widziały, muszą jeszcze oglądać takie sceny rodzajowe? Nie muszą. Przysięgam, że nie

muszą. Moje są moje oczy i będą oglądały to, co ja będę chciał, co ja im każę oglądać, prócz, niestety, tego dymu, tej mgły tej mgły, która mnie napada i dusi, przeklęta mgła, przed którą nie mogę uciec, od której nie mogę odwrócić oczu, bo kiedy ona jest, to ona jest, wszędzie, faluje wokół mnie i zamazuje mi wszystko, i nic nie widzę, nic nie widzę, strzeżcie mnie, zorze miłe; ostatnim razem sześć dni temu; w samą niedzielę, i w samo południe napadła mnie ta mgła ta mgła, w samym środku wsi, na samym środku placu, kiedy szedłem do zielonego autobusu Objazdowej Biblioteki Publicznej, strzeżcie mnie, zorze miłe, świetliste leśne polany, strzeż mnie, Gałązko Jabłoni, zawsze i teraz absolutnie służy tobie emanuel delawarski.

Przesunąłem się o kilka miejsc w bok i odwróciłem głowę od tej pijanej kobiety i poczynającego sobie za nią chłopca, odwróciłem głowę i spojrzałem gdzie indziej i co zobaczyły moje oczy? Kogo ujrzały? Chłopaczek siedział pod jednym z dalszych stołów, jednym z tych, którym nie groziła zagłada z ręki Kaziuka, którego tak jakby opuszczała powoli Furia, a może mi się tylko tak zdawało, ale chyba jednak powoli opuszczała. Chłopaczek siedział tak samo jak przedtem oparty plecami o nogę stołu z podciągniętymi kolanami, na których opierał brodę, a ramionami obejmował kolana. Siedział w tej melancholijnej fundamentalnej pozycji i patrzył, i naprawdę tak jakby sądził to, co się działo, z całą surowością, bez żadnej pobłażliwości, a z zimnym okrucieństwem. Dlaczego nikt nie zabierał stąd tego

bożka? Do północy było niedaleko i już dawno powinien spać iść oberwawszy przedtem parę pasów po tyłku.

Kaziuka jednak opuszczała Furia – margrabini na licznych człowieczych włościach. Jego uderzenia siekierą powolniejsze coraz były i „Ty blać! Blać twoja mać! Blać ty!” ciszej coraz było wypowiedane, ale za to bardziej boleśnie i głębiej, bardziej z wnętrzości, z tych czeluści; Peresada już mu nie podsuwał stołów, wyciągnął papierosy, potem pomacał się po kieszeniach i spojrzał do tyłu, w naszą stronę, ja mu wtedy rzuciłem zapalki; Kaziuk zaś walił już z czystego rozpędu, ale coraz wolniej, coraz wolniej w piętrzącą się przed nim kupę drewna. Aż przestał. Stał zgarbiony ze spuszczonego nisko łbem, prawie opierając go o stylisko siekiery. Oddychał ciężko. Ciężko.

– No to fajrant, Kaziuk – powiedział Peresada i, omijając kupę połupanego państwowego i prywatnego mienia, podszedł do Kaziuka, wziął od niego siekierę, drugą ręką popchnął go lekko w plecy i tak wolniutko wyprowadził go jak dziecko na dwór przez szpaler, który utworzył rozstępujący się na boki tłum. Przeszli wolniutko, cichutko, bez słowa. Kaziuk miał straszliwie zaciśnięte szczęki i patrzył przed siebie nic niewidzącymi oczami, z których dwiema strużkami ciekły mu w dół po twarzy grube, grube łzy.

Zaraz jak tylko wyszli, orkiestra zagrała marsza po przerwie, która się trochę przeciągnęła z przyczyn niezależnych i wszystko, jakby nic, poszło w tany. Co do



mnie, byłem, jak to się mówi, pod bardzo silnym wrażeniem straszliwego widoku Kaziuka całego we władzy Furii i potem tych grubych łez, które mu ciekły wylewnie po twarzy, kiedy to szedł jak dziecko szpalerem, popychany lekko w plecy przez Peresadę. Odechciało mi się i pić, patrzeć w koło w krąg, i słuchać muzyki, i wszystkiego. Poza tym przypomniała mi się ta pijana baba, jej śmiech, jej czkanie, obrażające wielki bolesny dostojny smutek świata, to, jak popiskiwała jakoś tak lubieżnie, patrząc na opętanego szaleńcem Kaziuka, ten chłop stojący za nią z kosmatą łapą pod jej spódnicą i tak dalej i tak dalej, i takie mnie obrzydzenie wzięło, takie obrzydzenie, że gdybym nie poił się od samego początku tylko czystym bimbrem, a wmieszał w picie jedną chociażby szklanekę winnego octu la patik z bufetu, to już bym chyba rzygał jak taki jeden magik, który jak pił, to naumyślnie mieszał wszystko: wódkę z winem, z piwem i z wodą kolońską po to, żeby, jak mi mówił, móc potem porzygać na ten zafajdany padół. Ale dla mnie ten padół jeszcze nie był całkowicie zafajdany i ja nie piłem po to, żeby nań porzygać, i dlatego starałem się nigdy raczej nie mieszać picia, dlatego kiedy na początku bumstarary zamówiłem wino w bufecie to po to, żeby zdobyć szklanekę do bimbru, a wino przelałem Staremu do jego szklanki, podczas gdy mi opowiadał o swoich młodych czasach. Nawet nie zauważył Stary, a plusku przelewanki nie usłyszał, bo był trochę przygłuchy. To, zdaje się, wzmiankowałem, że Stary miał słuch z lekka przytępiony.

Zatem więc w zobojętniałym obliczu tego, że mi się odechciało wszystkiego: i pić, i patrzeć na bumstraraę, i słuchać muzyki, a także w obrzydliwym obliczu tego obrzydzenia, które mnie ogarnęło na przypomnienie sobie tej pijanej baby, a także w jasnym obliczu tego, że jutro z rana, choś to niedziela, musiałem iść na zrab i dokończyć piłowania i układania kubików, bo we wtorek wypłata – postanowiłem opuścić lokal Remizy Och. Straży Pożarnej i wrócić do siebie do kwatery, żeby raniutko wstać i raniutko podążyć do lasu.

Ruszyłem zatem więc popod ścianami ku wyjściu, cyrkując między parami, które lepiąc się do siebie lepiły się jeszcze do ścian. W ogóle takie lepkie mi się wszystko wydało: lepka atmosfera, lepki pot lepiących się do siebie w tańcu par, lepka podłoga z lepkiem błoćkiem trocin i naniesionego z dworu śniegu, lepka krew na twarzy i rękach Kaziuka. Bardzo mi się chciało wyjść na wolną domenę, gdzie duje wiatr i hasają czyste atomy. Doszedłem do rogu, gdzie spotykają się ściany i chciałem skrócić w prawo do wyjścia i wtedy wyrosło przede mną tych dwóch. Od razu sobie ich przypomniałem. Byli to ci dwaj, którzy, kiedy parę godzin temu siedziałem ze Starym, stali przy bufecie i, pijąc wino, patrzyli na mnie okrakiem w stylu: kłuje nas w oczy, że się nam napatoczył twój widok uroczy. Tak sobie myślę, że najprawdopodobniej kłuły ich w oczy błyszczące guziki mojej bluzy–duglasówki. O ile ja się znam na tych klockach, to chyba chodziło’ fo guziki. Bo to już nie

pierwszy raz.

– Dlaczego nie tańczysz, co ? – zapytał mnie jeden z nich, wprost, bez ceregieli.

Stałem prawie w samym rogu. Nie da się ukryć przyparty byłem do muru i nie widziałem widoków, ani na omijanę, ani na cofanę. Niedobrze było. Zaczęły mi drżeć uda jak to normalnie przed bójką.

– A bo jakoś nie chce mi się – mówię.

– Nie podobają ci się nasze dziewczuchy? – zapytał ten sam.

Podniósł trzymaną w rękę butelkę do ust i pociągnął łyk, przechylając głowę głęboko do tyłu, bo widocznie kończyła się zawartość. Tu zrobił duży błąd, fatalny, który mógł go wiele kosztować. Ale i ja zrobiłem duży błąd, bo zamiast, nie czekając na dalszy rozwój zwanych wypadków, kopnąć go w wypięty do przodu brzuch, kiedy pił, lub trochę poniżej; na drugiego huknąć z japońska głośnym „Aaa!”, żeby go przez sekundę sparaliżować i wtedy przedrzeć się ku wyjściu i wsiąknąć w noc, więc zamiast to wszystko zrobić, co powyżej, to ja tego nie zrobiłem. Takie błędy, takie przegapienie wyśmienitych okazji parę razy drogo mnie kosztowało. Ale człowiek zawsze jest głupi. Nie chce niby zacząć pierwszy, kiedy tak naprawdę już i tak wszystko jest zaczęte i podniesienie ręki czy nogi, czy kolana, czy uderzenie głową nie są początkiem, tylko zwyczajnym dalszym ciągiem tego co, co się zaczęło od gadki, która dłuższa lub krótsza, zależy?

– Nie podobają ci się nasze dziewczuchy? – powtórzył

ciągle ten sam.

Jego kumpel, ten drugi, stał obok, tarasując mi drogę, i nie odzywał się. Nie mówię o tym, jak wyglądał ani jak wyglądał ten, który do mnie przemawiał, bo nie warto. Szkoda słów. Trzymałem prawą rękę w kieszeni, w której nosiłem piasek. Piasek od pewnego czasu nosiłem w kieszeni zawsze. Po to, żeby, w razie czego, piaskiem w oczy. Sposób starożytny, ale który się nic nie zestarzał. Uda trzęsły mi się dalej, ale już takim jednostajnym, miarowym rytmem, co było jakoś tam pocieszające trochę.

– Czy ja wiem, czy mi się podobają – mówię. I chciałem dodać, że raczej nie podobają mi się, bo widziałem, że już wszystko jedno, wszystko jedno, czy powiem, że mi się podobają, czy powiem, że mi się nie podobają; widziałem, że to i tak nie będzie miało żadnego znaczenia. Wiec chciałem dodać, że raczej mi się nie podobają, ale nie zdążyłem tego powiedzieć, nie potrzebowałem nawet, jak się okazuje, tego powiedzieć, bo ten i tak powiedział to, co miał powiedzieć, obojętnie, co ja bym powiedział.

– To dlaczego nie tańczysz? – powiedział on.

To mnie wtedy cholerna naszła ochota, żeby mu powiedzieć „Pocałuj mnie w dupę”, żeby już się zaczęło, to znaczy, żeby się już potoczył dalszy ciąg, ale nie powiedziałem. Może dlatego, że tak naprawdę to nie chciałem, żeby się zaraz potoczył dalszy ciąg, czyli po przemówieniach, po części oficjalnej, część artystyczna. Na co liczyłem zwlekając? Na co się liczy, zwlekając?

Zawsze się na coś liczy. Chociażby na cud.

– A jakie ma złote guziki! – powiedział mówca już nie do mnie, a do swojego kumpla. – Jak pułkownik jaki. Albo jak sam generał.

Tak więc dobrze jednak czułem, że to błyszczące guziki mojej bluzy–duglasówki kłuły ich w oczy. Może nie tylko, ale na pewno nie łagodziły one, nie studziły ich zapału do sprawienia mi batów, a tak naprawdę za co, to Bóg wie.

Wysunąłem trochę z kieszeni rękę z piaskiem, tak do połowy, i czekałem co dalej, i myślałem o tym, żebym tylko, broń Boże, nie wyciągnął noża. Żebym tylko nie uległ tej przemożnej pokusie. Bo za nóż to już prokurator. Pomyślało mi się też, że łubudu zacznie się wtedy, kiedy orkiestra, która niedawno skończyła grać, zagra kolejny kawałek. Wtedy się zacznie dziwny taniec pod tytułem: dwóch tańczących wokół jednego. Stałem więc z trzęsącymi się miarowo udami i czekałem, bo nic innego lepszego nie miałem do roboty. Ale zanim zagrała orkiestra, zobaczyłem, nie spuszczać z oka tych dwóch, zwłaszcza tego z butelką, zobaczyłem z ostrego ukosa jakąś postać stojącą z boku, prawie na równej ze mną linii, jakieś trzy, cztery kroki ode mnie. Trzeci do nich doszłusował. Teraz byłem już zupełnie załatwiony. Nie miałem żadnych szans. Broń się, Pradera, i niech cię ślepy los strzeże jak oka. Zobaczyłem oczyma duszy, jak mnie biją, a orkiestra gra i mieszane towarzystwo wokół nas tańczy i nikt, żaden z obywateli nie ruszy mi na pomoc,

a jeśli nawet ktoś będzie chciał się wtrącić, to tańcząca z nim kobieta przytrzyma go i nie da mu ruszyć, przycisnie się, przylgnie do obywatela całym ciałem: piersiami, brzuchem, nogami i tak dalej, ramionami oplecie go jak lianami, główkę położy mu na ramię, główkę przechyli, do ucha szepnie namiętnie: „tak mi dobrze z tobą” albo „przytul mnie mocniej” i wyprowadzi, wykuksa faceta lekkimi uderzeniami bioder na środek sali albo na świeże powietrze, z dala od nierównej bójki bijącej w oczy jaskrawą niesprawiedliwością, gryzącą sumienie, ale cóż to za przeciwnik: sumienie człowieka dla kobiety, która akurat chce, żeby „jej” było „dobrze”. Nie wiedziałem, gdzie jest Peresada; chyba jeszcze nie wrócił z odprowadzki Kaziuka do chałupy, a co do innych moich towarzyszy po siekierze, to diabli wiedzą gdzie byli, zgubiłem ich w tym zamieszaniu po siekierzadzie Kaziuka i zanim zauważą bójkę tu w tym małym rogu wielkiej sali Remizy, i że to mnie biją, i zanim pośpieszą mi na pomoc, to ja już będę ładnie wyglądał.

Orkiestra jeszcze nie grała; spojrzałem szybkim ruchem głowy w bok na tego trzeciego i zabiło mi serce, jakoś tak pięknie, jakoś tak nie tylko dlatego, że zobaczyłem, iż ten trzeci to nie był ktoś z paczki tych dwóch. Na pewno nie. Zupełnie inny, ale to zupełnie inny, że tak powiem, typ urody. Kiedy spojrzałem w jego stronę, on się trochę przysunął i głośno do mnie powiedział:

– Zawołać naszych chłopaków?

I kto by powiedział, że na tym wszystko się skończy?

Nikt. A jednak na tym się skończyło. Tamci coś natychmiast zmiękli, orkiestra zagrała, a oni cofnęli się tyłem i wsiąkli w tłum w poszukiwaniu być może posiłków, słysząc o jakichś naszych chłopakach.

– Kogo miałeś na myśli, kiedy powiedziałeś do mnie na zabawie, czy zawołać naszych chłopaków? Jakich chłopaków? Miałeś na myśli? – spytałem Michała, kiedy już siedzieliśmy w kwaterze, w piecu już napalone, do kubków resztką bimbrow z mojego zapasu już nalana.

Michał Kątny – ten Nowy na kwaterze, bo on to był tym Nowym, którego próbowałem rozpoznać w którymś z uczestników bumstarary; który, jak na razie, nic tylko straszyl: najpierw mnie przestraszył maskaradowym, że tak powiem, upostaciowaniem swojej kapoty i butów w szafie, a potem wystraszył tych dwóch na zabawie – Michał Kątny palił papierosa i patrzył niebieskimi, jasnoniebieskimi swoimi oczami na jasnoniebieski wijący się falujący esujący floresujący w powietrzu nad jego głową dym własnego papierosa. Oczy ma jak z dymu, pomyślałem sobie. Niesamowite to było.

Jak z mgły. Tej mgły tej mgły. Pomyślałem sobie, że ma takie oczy, że ma takie oczy, jakby kiedyś chorował na tę samą, co ja straszliwą dymną chorobę i zwyciężył ją, wyszedł z niej cało, i tylko w oczach został mu ten dym, ta mgła ta mgła.

– Jakich chłopaków miałem na myśli ? – powtórzył moje pytanie. – Czy ja wiem? Tak w ogóle. Naszych chłopaków... na przykład z Powstania Listopadowego –

powiedział.

A ja, który myślałem, który prawie przekonany byłem, że się rozczaruję Nowym na kwaterze!

– Aha – mówię. – Aha. Aha. No tak. No to tych z Wiosny Ludów miałeś chyba też na myśli?

– Też. Miałem też na myśli tych z Powstania Styczniowego.

– I tych z Komuny Paryskiej.

– Też. I tych z Wojny Domowej w Hiszpanii.

– I tych z Powstania Warszawskiego.

– Tak. Tych też oczywiście miałem na myśli. Zamilkliśmy przez chwilę i ja po tej chwili powiedziałem:

– Gdybyś ich zawołał i gdyby cię usłuchali, to byłaby to wielka piękna armia duchów. Tych dwóch zakapiorów tak się wycofało, jakby wiedzieli, co im grozi.

– Miałem jeszcze na myśli tych z Boliwii – powiedział najpierw Michał Kątny łagodnie i poważnie i po tym dopiero się uśmiechnął. – Tak. Dziwnie szybko się wystraszyli. A co oni właściwie od ciebie chcieli?

– A czy ja wiem, bracie? Coś im się nie podobało i tyle.

– Tak. Tak to jest.

– Ja nie wiem, jak to jest, ale zawsze jak wchodzę na obcą zabawę albo gdzieś do knajpy w jakimś mieście i tak dalej, to zawsze coś się musi stać. Zawsze się kroi na jakąś bójkę.

– Tak to jest. Mogę ci powiedzieć, że to samo jest ze mną. Albo się komuś za bardzo nie podoba, albo się komuś



za bardzo podoba. Co wychodzi na jedno, bo jak się komuś za bardzo podoba, to zawsze jest ktoś drugi, komu się to właśnie bardzo nie podoba.

– Narzeczony – mówię ze śmiechem.

– Raz narzeczony, raz fagas, czasami brat, ale to rzadziej. Najczęściej to jest mąż.

– Smutne życie tych mężów z tymi żonami.

– Mnie ich nie żal. Są tylko tyle samo warci, co one. A nawet o te trochę mniej. Ale nie ma o czym mówić. Twoje zdrowie, Janek.

– Tak. Moje. I twoje.

– Nasze.

– Nasze.

Cyknęliśmy się kubkami i spełniliśmy po łyku. Zaledwie pół godziny, może trzy kwadransy, jak znałem tego chłopaka, a myślałem o tym, czy dojdzie do tego, że opowiem mu to, czego nikomu, nawet Gałazce Jabłoni mojej, nie opowiedziałem: moją straszliwą dymną mglistą chorobę. Chyba nie dojdzie, chyba na pewno nie dojdzie do tego, ale samo to, że o tym myślałem po trzech kwadransach znajomości z tym chłopakiem, już samo to, że o tym myślałem, było niezwykle. Niesamowite. A wszystko przez te jego oczy. Bardzo jasnoniebieskie. I bardzo dymne. Bardzo mgliste.

– Bezbłędny ten bimber. Ktoś tu pędzi w Bobrowicach?

– Nie. W Czerniawie. Taka wioska niedaleko przez las w stronę na Nową Dolę. Powiem Peresadzie, żeby cię

zaprowadził. Peresada to ten mały, który okiełznał Kaziuka na zabawie. Tego, który rąbał stoły. Widziałeś?

– Widziałem. Tego mi żal, bo może zgnić w kryminale, jak dopadnie w ataku szału tę swoją sukę. Ależ on zawył: „Gdzie ta suuuuka?!”

– Jak wilk zawył. Ciarki mnie przeszły.

– Ja jeszcze słyszę to wycie.

I zamilkł i ja nic nie mówiłem i tak było, jakbyśmy się wsłuchiwali w to wycie Kaziuka, które gdzieś tam jeszcze niosło się w mroźnym klarownym nocnym powietrzu przestrzeni. Zimowe mroźne nocne powietrze jakby stworzone jest po to, żeby przeszywać je wilczym wyciem, pomyślało mi się smutno. Ile razy w takie zimowe białe noce z dala od mojej Gałązki Jabłoni cudownej, wypędzony od niej wiecznymi i zawsze niespodziewanymi nawrotami mojej choroby, ile razy chciałem zawyc nad naszym rozdartym, rozdzierającym losem, Gałązko Jabłoni, ty tam, ja tu, ty tu, ja tam, i wkładałem pięść w usta i gryzłem palce, żeby nie wyć. Ty nie wiesz o tym i dobrze. Ja ci nie powiem. Bo po co? Ale to się skończy. To się musi skończyć.

– To skoczymy po bimber do tej Czerniawy w trójkę z Peresadą – powiedział Michał Karny.

– Ja już nie. Biorę we wtorek wypłatę i wybywam stąd.

Do ciebie jadę, dziewczynko najmilsza, Gałązko Jabłoni, moja cudowna piękna mądra cierpliwa. Jakaś ty ze mną cierpliwa, duszko moja. Bądź jeszcze trochę cierpliwa. Bądź!

– Wyjeżdżasz. To szkoda. Szkoda, że wyjeżdżasz.

– Posłuchaj, Michał. Tobie to mogę powiedzieć od razu i wprost. Umówmy się na te parę dni, które zostały, że nie będziesz mnie pytał, gdzie jadę, do kogo, skąd jestem, czy mam rodzinę i tak dalej. Ja cię też nie będę pytał, jaki (tu chwilę szukałem słowa) niebieski wiatr cię przygnał w te dzikie strony ani skąd jesteś, i tak dalej, ani kim jesteś, choć to mnie cholernie ciekawi. Będziesz chciał mówić o tym – ja będę słuchał, nie zadając pytań. Ja będę chciał mówić – ty będziesz słuchał, jeżeli oczywiście będziesz chciał słuchać. Bo nie zawsze się chce.

– Tak powinno być, jak mówisz. I chcę ci powiedzieć, że cię o nic takiego nie pytałem.

– Nie pytałeś. Michał, wiem, ale powiedziałem to, bo bałem się, że zapytasz. A nie lubię o tym mówić. Zwłaszcza pytany. Twoje zdrowie, Michał.

– Niepotrzebnie się bałeś, Janek. Ja też nie lubię o tym mówić. Ale skąd możesz wiedzieć. Nasze!

– Nasze!

Spełniłszy po łyku i ja wstałem i wyszedłem na dwór, bo przycisnął mnie pęcherz. Śnieg jarzył się nisko na polach i gwiazdy jarzyły się wysoko tam na tamtych polach. Zimno było, mróz, a ja cały rozgorączkowany byłem. Tym, że, ech, straszliwe manowce, tym, że już za trzy, cztery dni, będę jechał do niej, Gałązki Jabłoni mojej ukochanej, ale cicho sza, cicho sza. Byłem też bardzo rozgorączkowany tym chłopakiem, jego niebieskimi dymnymi oczami, tym, co mówił i jak to mówił i w ogóle.

A ja, który myślałem, że na pewno się rozczaruję Nowym na kwaterze. Ale skąd mogłem wiedzieć, jak to on powiedział. Zawsze przecież tak było, prawie zawsze tak było, że nic, tylko rozczarowania nowymi znajomościami.

Tak, że te znajomości nowe ja je zawierałem już tylko bardzo przelotnie. Powiedziałem sobie, że nie mam czasu na tiutiuti z pięknymi kobietami ani na hohoho z męskimi postaciami, ani na paraeunuchoidalne dyskusje z poetami (d ileż wolę fantazyjne dialogi z miasteczkowymi fryzjerami). Powiedziałem sobie, że tylko Gałązka Jabłoni, tajemnice świata świdrujące toń i ten dym, ta mgła ta mgła, którą muszę przejść, muszę zwyciężyć, bo inaczej zadusi mnie ona któregoś pięknego dnia.

Od Remizy Och. Straży Pożarnej słyhać było obereczkowe dźwięki zabawy. Była gdzieś pierwsza godzina nad zimowym późno wstającym ranem i bumstarara trwała tam w najlepsze. Tych dwóch typów w towarzystwie może jeszcze dwóch innych typów daremnie wypatrywało za nami oczy, krążąc i buszując po sali, płosząc zamelinowane w ciemnych zakątkach parzące się pary. Letnią porą Bogdan wyprowadziłby swoją Bogdanę na świeże powietrze w jakiś ustronie pod drzewko o gęstym folium, czyli gęstym liściu. A teraz co? Śnieg, mróz i szczekanie zębami. Zanim wróciłem do kwatery – gdzie w piecu buzuje pięknie, na stole bimber, a przy stole siedzi jedna z tajemnic świata: Michał Kątny – usłyszałem od strony pola tętent galopującego konia. Poszedłem za stodołę i zamajaczył mi w dali koń, a na nim

jeździec. Koniokrad syn koniokrada cwałował na łupie dzisiejszej nocy przez pola w stronę lasu. Ustaliłem kierunek jego jazdy pomiędzy Czerniawą a szosą na Nową Dolę i wtedy wróciłem do kwatery, gdzie w piecu pięknie buzowało, na stole bimber, a przy stole siedziała jedna z tajemnic świata świdrująca moją toń: Michał Kątny.

Robota była skończona. Michał poszedł rano ze mną na zrąb i we dwójkę zrobiliśmy przez jeden wspólny dzień to, na co ja sam musiałbym poświęcić dwa samotne dni. Przepiłowaliśmy to, co było naznakowane przez leśniczego i jego gajowych do piłowania, ułożyliśmy kubiki z papierówki i kneblówki, wysprzątailiśmy działkę, cały drobiazg złożyliśmy na jedną kupę, skupiliśmy, że tak powiem, podpaliliśmy – i Święto Lasu. Usiedliśmy wtedy, po wszystkim, przy ogniu i paliliśmy papierosy, odpoczywając po ciężkim dniu. Ciężki był dzień, ale też i bezbłędny. Słonko nam świeciło i z lasu kukała nam cały boży dzień zazula; każdy z nas mógł sobie naliczyć kupę lat do życia, sobie i innym – miłym sercu.

Przed południem Księżarzuk, nie zważając tak jak my na niedzielę, zrywał tartaczkę i sklejkę na mygły, pohukując i bluźniąc na konie. W południe wlaźł na jednego z koni i pojechał na obiad. I już nie wrócił. Może zabarłoczył. Rozmawiałem z nim w południe, zanim pojechał. Udzielił nam niektórych informacji względem wczorajso–dzisiejszej zabawy. Wiec tak: najpierw konie, co Księżarczuka najwięcej podniecało; wiec koniokrady

skradli spod Remizy dwa konie; ja mu wtedy powiedziałem, że jednego z nich widziałem i podałem mu kierunek, w jakim czmychał. Co do Kaziuka to już obliczyli, ile porąbał: pięć stołów i dwa krzesła; będą mu ściągać z wypłaty za te meble. I za wybite okno. Co poza tym? Poza tym pobili się nad ranem, ale nie od nas. O dziewczuchę poszło. Wieczna kość niezgody.

Teraz było późne popołudnie. Zachodzące słońko biło z ostrego ukosa całymi wiązkami jasnowidzących promieni w wysokie korony sosen stojące na skraju zrębu. Siedzieliśmy, jak już było powiedziane, przy ogniu, odpoczywając po ciężkim dniu. Odbywało się patrzenie w ogień zwyczajne i dyszenie w kosmos legendarne. Dym z ogniska szedł prosto w górę, a kiedy trącały go te słynne luźne w pojedynkę przez las pędzące powiewy wiatru, wtedy łamał się miękko i rozwiewał jak w oknie muślinowe firanki, za którymi dama na szezlongu, czyli wszystko i nic.

Po dłuższym i starannym milczeniu Michał Kątny poruszył się, przerywając nasze patrzenie w ogień zwyczajne i dyszenie w kosmos legendarne. Wyjął jakieś papiery, taki plik luźnych kartek i karteluszków z wewnętrznej kieszeni kurtki i zaczął przeglądać je, na poły w blaskach gasnącego dnia, na poły w blaskach dopalającego się ogniska. Wiele kartek, po krótkim lub trochę dłuższym rzuceniu na nie okiem, zmiął i wrzucił do ogniska. Zmięte kuleczki papieru szybko zajmowały się od czerwonego żaru i strzelały płomieniem o krótkim

żywocie. Patrzyłem na to, paląc papierosa i nie odzywając się. Jedną z karteczek Michał Kątny przytrzymał trochę dłużej przy niebieskich swoich oczach. Potem odezwał się:

– Znalazłem niedawno taki list na ulicy. Facet pisze z więzienia do kolegi na wolności. Przeczytam ci kawałek. Chcesz?

– Czytaj.

– „Teraz, kiedy wypadłem z łaski życia, wszyscy się ode mnie odwrócili. Mam jeszcze w życiu tylko dwa pragnienia. Jedno, żeby nie gniły mi zęby, a drugie, uśmiejesz się, żeby przejechać się dokoła miasta tramwajem.”

Michał Kątny przerwał w tym miejscu czytanie, popatrzył jeszcze przez chwilę na odwrotną stronę kartki, po czym złożył ją we dwoje i schował razem z pozostałymi papierkami do kieszeni kurtki. Po krótkim i starannym milczeniu:

– Ile dostał? – spytałem.

– Trzy lata. Tak wynika z listu. Pisze, że dopiero rok mu minął i zostały mu jeszcze dwa lata.

– Amnestii żadnej na horyzoncie nie widać – mówię.

– Widać. Ale właśnie za dwa lata. Na 25-lecie Polski. Od czasu zaborów nigdy jeszcze tak długo Polska nie istniała, więc amnestia na pewno będzie.

– Dla niego ta amnestia to już żadna pociecha. Odsiedzi okrągłe trzy lata. A wiadomo za co siedzi?

– Nie wiadomo. Nie pisze nic o tym w liście.

– Zawsze za coś siedzi – mówię.

– Znałem jednego – powiedział Michał Kątny po chwili – który nie powiedział dozorczy „dzień dobry” i dostał dwa lata.

– Ja ci powiem – mówię po chwili – że on może powiedział, tylko że za cicho, i ten nie dosłyszał.

– A to też możliwe – powiedział Michał Kątny.

– Słyszałem o jednym – mówię – który siedział za nic. Przyszli mu zrobić remanent do magazynu i nie było nic.

Wtedy uśmiechnął się Michał Kątny, a ja, który do tego zmierzałem, który bardzo chciałem, żeby się rozluźniła jego stężała twarz i żeby się uśmiechnęła, i żeby się uśmiechnęły jego oczy, tak się ucieszyłem tym, jakbym się nie wiem czym ucieszył, tym na przykład, że temu facetowi z więzienia nie gniją zęby i że w ogóle jest już na wolności, i że sobie jedzie dookoła miasta tramwajem, od pętli do pętli i z powrotem.

Michał Kątny miał uśmiech taki niepełny, częściowy, fragmentaryczny. Jakoś tak się uśmiechał, jakby nie chciał całą duszą się uśmiechać. Albo może jakby nie mógł. Jakby w jego życiu wydarzyło się coś, co mu zniszczyło, pogruchotało i zaprzepaściło pełen uśmiech i Michał Kątny nie mógł już tego odbudować albo nie chciał, albo: ani nie mógł, ani chciał.

Ściemniało się coraz. Słońce było już niziutko tam za lasem, na niewidocznym horyzoncie tam za lasem, daleko tam za lasem, a cienie tu połączyły się, zlały się i cały zrab był teraz jednym cieniem. Na górcie, gdzie była działka Tomali, kołki po odebranych kubikach papierówki



i kneblówki wyglądały jak szubieniczne rusztowania na tle północnego ciemniejącego nieba.

– Zobacz, Michał. Tam pod górką.

Pod górką, tam, gdzie patrzyłem i gdzie popatrzył Michał Kątny, szło, jedna za drugą, dziewięć sztuk czarnej zwierzyny. Dziki były w odległości jakichś sześćdziesięciu, siedemdziesięciu metrów od nas. Tak jakby zwietrzyły naszą obecność, bo zaczęły fukać zaniepokojone, ale nie zmieniły szyku ani szybkości marszu. Jeden po drugim zniknęły za górką i poszły w las.

Kiedy później opowiedziałem o tym Panu, czyli leśniczemu, do którego zaszliśmy, był niepokieszony, że go tam nie było z flintą. Zaszliśmy do leśniczego, bo chciałem mu, zameldować, że robota skończona na mojej działce; czysto, ładnie, wszystko lśni. Leśniczy powiedział, że jutro z samego rana podskoczy na zrab i zapisze mi w kajecie, co i jak, a potem pojedzie do Sławy do Nadleśnictwa po wypłatę dla nas. Zameldowałem mu też, że wyjeżdżam i ustaliliśmy, że przekażę Michałowi moją siekiere i rękawice. Buty nie, bo Michał miał własne józwy. Buty przyniosę jutro, jak wpadnę po wypłatę, powiedziałem. Zapodałem też, że drzewa do palenia na kwaterze zostało w szopie u Babci Oleńki na jakieś góra dziesięć dni. Przywiezie się dla pana Kątnego nowy transport, powiedział leśniczy. Potem leśniczy poprosił nas do pokoju i poczęstował słynną nalewką ze śliwek na spirytusie. Śliwowiec, jak mówił o niej Peresada, który o tej nalewce marzył na jawie i śnił po nocach. Balon ze

śliwownicą unosił się nocami w powietrze i płynął napowietrznie od leśniczówki do wioski, do chałupy Peresady i tam kołował jak wielka ćma nad śpiącym Peresada. Na razie, póki co, był wieczór i balon stał na swoim miejscu w gabinecie leśniczego, dokąd żona leśniczego zachodziła dwa razy po dolewkę do szybko wysychającej karafki. Na zakąskę pani domu podała bigos, taki sam, jaki mi kiedyś przyniosła na zrab Grażynka i tak wtedy jak i teraz można było zwariować, taki był ten bigos fantastyczny. Fantastyczna też, oddajmy wszystkiemu sprawiedliwość, była śliwownicą.

– A co robi moja przyjaciółka Grażynka? – spytałem.

– Odrabia na jutro lekcje w kuchni, bo w sobotę nie odrobiła – powiedziała żona leśniczego. – Grażynko, chodź no tutaj. Ona się pana wstydzi – poinformowała cicho pani domu. – Od czasu jak pan z nią zatańczył na zabawie. Powiedziała, że pan tak ładnie tańczył, a ona się myliła.

– Absolutnie się nie zgadzam – mówię. – Bardzo ładnie tańczy i to ja, pamiętam, myliłem się, bo zezowaty Borys tak walił w bęben, że nie można było żadnego rytmu złapać. Też tak sobie, pomyślałem, co to się stało, że cały tydzień nie przyszła mnie odwiedzić na zrab.

Przyszła Grażynka, powiedziała „dobry wieczór” i stanęła pod piecem z wielkimi rumieńcami na policzkach. Płonące rumieńce wydawały się być większe od policzków.

– Przekazuję ci w opiekę mojego przyjaciela, Grażynko – powiedziałem pokazując na Michała. – Jego

przyjaźń jest bardzo dużo warta – dodałem, zwracając się już nie do Grażynki, lecz tak w ogóle.

Michał Kątny spojrział w moją stronę, jakoś tak po swojemu, spokojnie i tak z ukosa, z lekko przechyloną na bok głową, jakby nie dowierzające; po czym wstał, przyłożył prawą rękę na serce, skłonił się w stronę Grażynki i powiedział:

– Bardzo by mi było przyjemnie dostać się w opiekę tak ładnej panienki.

I usiadł.

Rumieńce na policzkach Grażynki stały się jeszcze większe i jeszcze czerwiejsze. Takie spłonione, że wydawało się absolutnie pewne, iż można by się sparzyć, gdyby dotknąć je palcem, i takie wielkie wielkie, większe od policzków, na których zakwitły; jakby się oderwały, wyalienowały od policzków, na których już nie było dla nich placu i tak stały w powietrzu, gorejąc po obu stronach głowy Grażynki. Grażynka spuściła głowę, dygnęła i uciekła z pokoju. Zaśmialiśmy się wszyscy, spełniliśmy po kieliszku śliwowicji za zdrowie pani domu i udanej latorośli, i zaczęliśmy oczywiście rozmawiać o zabawie, która zaczęła się wczoraj, skończyła się dzisiaj rano, a którą wspominać się będzie jeszcze długo: dwa skradzione konie spod Remizy, szaleńcza siekierozada Kaziuka i bójka między Czerniawą i Hoplą.

– Dobrze, że Górale przyjeżdżają dopiero jutro – powiedział leśniczy. – Jakby przyjechali w sobotę, toby też poszli na zabawę i mogłoby być jeszcze dużo gorzej.

– To Górale przyjeżdżają? – powiedział Michał Kątny.

– Podobno jutro. Dostałem list, żeby przyszykować kwatery. Jutro jadę do Nadleśnictwa, to wezmę dla nich rękawice.

– Oni co roku zjeżdżają tu do nas do roboty gdzieś tak na początku lutego – powiedział leśniczy. – Czasem sześciu ich przyjeżdża, czasem ośmiu, czasem dziesięciu.

– Aha – mówię. – Aha. A gdzie ich pan wszystkich poutyka?

– Mamy na wiosce jeszcze dwie kwatery, oprócz tej u Babci Oleńki, gdzie panowie są. Tam ich się zakwateruje. Chyba że przyjedzie więcej niż ośmiu, to wtedy będzie kłopot.

– No właśnie – mówię. – Bo wiem, że Babcia Oleńka ma do Górali uraz. Nie chce ich u siebie. Opowiadała mi, jak to raz się popili.

– Tak, tak. I jeden chciał do niej do łóżka wleźć – zaśmiał się leśniczy, patrząc na żonę.

– No, niech panowie powiedzą—rzekła pani domu.

– Babcia Oleńka przyleciała tu do mnie taka wystraszona, że myślałem, że się tam między sobą pobili na śmierć czy co. Jak to z nimi bywa. A to się biedakowi pomyliło – śmiał się leśniczy.

– No, niech panowie powiedzą – rzekła pani domu.

– Pomyliło mu się, gdzie jest.

– Myślał, że w rodzinnych górach.

– Pomyliły mu się miejsce, czas i osoba.

– Potroiło mu się w oczach.

– Pójdę z panami do wioski – powiedział leśniczy powstając od stołu. – Powiem, żeby przyszykowali te dwie kwatery dla Górali, a jutro zobaczymy. Jak ich przyjedzie więcej niż ośmiu, to zajdę pogadać do Babci Oleńki, żeby się zgodziła przyjąć tych ponad. Pan Kątny miałby towarzystwo.

– Ja jestem samotnik. Od czasu jak mnie porzuciła – powiedział Michał Kątny z uśmiechem.

– To porzuciła, porzuciła? – powiedział leśniczy z uśmiechem.

– Porzuciła – powiedział Michał Kątny z uśmiechem.  
– Wzięła i porzuciła.

– Woląła drugiego – powiedział leśniczy z uśmiechem.

– Woląła drugiego – powiedział Michał Kątny z uśmiechem.

– I poszła z nim – powiedział leśniczy z uśmiechem.

– Nie. Została z nim. Ja poszedłem – powiedział Michał Kątny z uśmiechem.

I ja wtedy zobaczyłem tę możliwość, o której nawet nie pomyślał leśniczy. Tę możliwość, że Michał Kątny, niby prowadząc z leśniczym żartobliwą pogaduszkę, mówi oto najprawdziwszą prawdę. Tę możliwość, że, nie psując leśniczemu zabawy we dwa niby sztuczne ognie, odpowiada na jego żartobliwe zagrania najstraszliwszą szczerością. Zobaczyłem tę możliwość, że to nie jest zabawa we dwa sztuczne ognie. Zobaczyłem tę możliwość, że to jest zabawa w jeden sztuczny ogień: leśniczego,

i w jeden prawdziwy, prawdziwie płonący i prawdziwie parzący ogień: Michała Karnego.

– Poszliśmy się powiesić z rozpaczony – powiedział leśniczy z uśmiechem.

– Nie. Poszliśmy się rzucić do kanału z rozpaczony – powiedział Michał Kątny z uśmiechem i tuż zaraz natychmiast potem, kiedy wypowiedział te słowa, uśmiech zniknął z jego twarzy na dwie, trzy sekundy, i zanim powrócił mu na twarz, Michał Kątny uniósł trochę w górę wzrok i popatrzył przezroczyście swoimi jasnoniebieskimi dymnymi mglistymi oczami ponad głowę leśniczego, i ja poczułem mój dziwny ból: klucie włosów w głowę, bo zobaczyłem to, co widziałem, to, w co wierzyłem, że widzę, to, że Michał Kątny popatrzył w dal na samego siebie, jak oto stoi na brzegu tego kanału, do którego chwilę potem się rzucił.

– No, ale jakoś żeśmy się nie utopili, jak widać – powiedział leśniczy z uśmiechem.

– Ano, jak widać, jakoś nie – powiedział Michał Kątny znowu z uśmiechem na twarzy. – Ale woda taka zimna była jak ze studni u Babci Oleńki. Chodźmy, panie leśniczy, bo we wsi pójdą panu spać.

Podziękowaliśmy pięknie pani domu za piękny poczęstunek, cmoknęliśmy elegancko w rękę, rzuciliśmy do kuchni „dobranoc” Grażynce, która odrabiała lekcje z psem Kaza-nem u nogi, i poszliśmy.

Tego wieczoru na kwaterze niewiele rozmawialiśmy. Nie mogłem zapomnieć o tym, co Michał Kątny

powiedział podczas tej niby–zabawy z leśniczym. Byłem prawie pewien, że jest to sama czysta czarna prawda. Oczywiście nie mogłem go o to zapytać. Oczywiście on tam u leśniczego mówił to tylko do siebie. Sam sobie mówił prawdę, jeśli to była prawda, a dla nas to miała być zabawa. Nam nawet jakoś nie wolno było sobie pomyśleć, że to jest może coś innego i oczywiście, ani leśniczy, ani jego żona, nic sobie innego nie pomyśleli, ja tylko dojrzałem tę możliwość, że oto człowiek z uśmiechem na ustach, dostarczając także innym uśmiechu na usta, wbija sobie powoli w serce nóż.

Nazajutrz, w poniedziałek, ach, te dni, rozhulała się straszliwa zawieja. Tak, jakby Górale przywieźli ją ze sobą z gór. Albo raczej za sobą. Jakby zawieja pędziła za nimi, za pociągiem, którym zjeżdżali z gór, a potem sunęli długo po równinie, potem za autobusem, do którego się przesiedli i tu dopiero ich dopadła, w Bobrowicach, gdzie się zatrzymali. Górale przyjechali wcześniej rano, a zamieć dotarła na miejsce gdzieś przed jedenastą w południe z pięciogodzinnym prawie, do przybycia Górali, opóźnieniem. Ale za to jaka zawierucha! Zaczął padać śnieg, a porywisty zwariowany wielostronny, jakiś taki kołowy wiatr robił z nim w powietrzu, co chciał. Rzucił nim, miotał, szastał, zawijał, wywijał zupełnie tak, jak dymem ognisk na zrębie. Na ziemi biała ponowa szybko grubiała, choć wydawało się, że śnieg nie może dosięgnąć ziemi, bo nie pozwalała mu na to wiatr. Już miał upaść śnieg na ziemię, kiedy ostry podmuch wynosił go znowu do góry

i w bok i tak dalej, i znowu już miał upaść śnieg na ziemię przyciągany słynną siłą ciężenia i znowu podmuch mu na to nie pozwalał. Ale jakoś jednak śnieg dosięgał ziemi, bo ponowa grubiała w oczach. A w powietrzu gęsto było, gęsto jak sześć razy sześć trzydzieści sześć, tłumnie, szumnie i niesamowicie ruchliwie. Tak było, jakby to nie padał śnieg, tylko tak, że oto naocznie pokazały się niewidzialne dotychczas atomy powietrza, unaocznily się, uwidoczniły się i demonstrują przed przerażonym światem, ile ich i na co stać. Niesamowita bumstarara odbywała się w powietrzu.

Stałem przy oknie w kwaterze i patrzyłem na to, co się dzieje na świecie. Wróciłem przed chwilą od leśniczego z wypłatą w dwóch kieszeniach, tysiąc dwieście złotych w samych dwudziestkach, i teraz patrzyłem przez okno, pałac papierosa. Michała Kątnego nie było. Nie wiem, gdzie poszedł. Dzisiaj jeszcze miał wolne. Na trzebież mieli iść dopiero jutro. Peresada, młody Batiuk, Selpka, Wasyluk, Nikodem, Tomala, siedmiu dzisiaj przybyłych Górali i Michał Kątny. Towarzystwo liczne i prześliczne. Zabraknie mnie w nim. Jutro raniutko, jeszcze zanim bractwo się zbierze u leśniczego, który poprowadzi ich na miejsce, ja już będę czekał na autobus na placyku przed sklepem, przy słupie, wokół którego zwykło kręcić się jak planety wokół słońca tych pięcioro białych gęsi. Na gęsi będzie jeszcze za skoro i to ja będę może krążył wokół słupa z zimna lub z niecierpliwości, że pekaes nie nadjeżdża. Albo będę stał, udając spokój. Michał Kątny



będzie stał przy mnie. Będziemy palić papierosy, nic nie mówiąc albo niewiele, jakieś półsłowa, bo co można mówić? Nie wie, skąd jestem, ani ja wiem o nim, nie powiedzieliśmy sobie nic z tych rzeczy, żadnej wymiany ewentualnych w miarę stałych adresów, uznaliśmy, że tak ma być, kto wie, czy to dobrze, czy źle, i kiedy jutro rano ja wsiądę do pekaesu, a on zostanie na placyku, to: kiedy znowu się zobaczymy? Świat jest wielki, nasza kraina niemała i można długie lata po niej krążyć i nie spotkać tego czy tej, przy spotkaniu których serce pięknie by zabiło, a głos., przy zawołaniu „hej!” pięknie by się załamał.

Stałem przy oknie, patrząc na białą kurzawę, co za szybą i w pewnej chwili poczułem, jak przestaję istnieć, jak niknę z obrazu świata, nie żebym wyskakiwał za jego kuliste, elipsoidalne ramy, ale niknę tu, w ramach tego świata, tak jakbym się coraz zmniejszał i zmniejszał, i robił się malutki, coraz malutki, przez chwilę uchwyciłem to, że jestem wielkości jednego z płatków śniegu, co za oknem, i tak jakbym się nawet zobaczył tam w kurzawie, przeleciał taki jeden płatek przed szybą, to ja byłem, na pewno, a potem „puf!”, i już mnie nie było, nigdzie, ani tu, ani gdziekolwiek indziej. Nie byłem już ani rodzajem męskim, ani żeńskim, ani nijakim. Nie byłem. Nie. Krótko. Nic.

Jak długo to trwało, nie wiem. Ni byłem, ni czułem przecież. Musiałem zacząć czuć, kiedy zacząłem być. Kiedy zacząłem się znowu stawać. Znowu uchwyciłem ten

moment, kiedy jestem wielkości śniegowego płatka i znowu zobaczyłem się za szybą w zamieci, taki jeden płatek przeleciał przed szybą w odwrotnym niż przedtem kierunku, to byłem ja. I potem stawałem się coraz większy, rosłem, aż urosłem, aż wyrosłem przy oknie w kwaterze u Babci Oleńki, wieś Bobrowice, gromada Hopla, nadleśnictwo Sława. A kiedy już się stałem całkowicie taki, jaki jestem, wtedy stałem się natychmiast jedną wielką górą miłości do Gałązki Jabłoni, tym, czym jestem i będę, zawsze i teraz absolutnie służy tobie emanuel delawarski; jedną wielką górą tęsknoty do Gałązki Jabłoni, straszliwej tęsknoty, niewymownej, nie ma słów, brakuje słów, brakuje liter w alfabecie, wielka bieda, straszne ubóstwo, okrutna nędza z tymi słowami, nic nie można powiedzieć, co ja mogę powiedzieć słowami o mojej tęsknocie do ciebie, Gałązko Jabłoni, cyframi lepiej bym to wyraził może, tak, na pewno, cyfr jest nieskończoność, przypominam sobie, widzę w kinie pamięci to dziecko, które chciało doliczyć do końca, więc gdybym ja tak właśnie liczył do końca, którego nie ma, gdybym tak zaczął liczyć i liczył bez przerwy, dniami, nocami i przez sen, to to by była moja tęsknota do ciebie coraz rosnąca; ale dlaczego ja mam czekać do jutra rana? za co mam się tak karać? dzisiaj pojedę, gdzieś za trzy godziny jest autobus, ale taka zawieja, autobus może się spóźnić albo wcale nie przyjechać, i tak jeżdżą, jak chcą, a przy takiej pogodzie to będą nawet mieć usprawiedliwienie, lepiej teraz pójdę, tak, teraz, zaraz teraz, do Hopli, przez las, na skróty, w Hopli

może złapię jakiś wóz przy gospodzie, jak nie, to do szosy pójde, tam na pewno coś złapię, przelotowa szosa, duży ruch, na pewno coś złapię, tak, teraz, zaraz, komu w drogę – temu czas, w drogę do Gałązki Jabłoni dobry każdy czas, każda pogoda, dobra słoneczna, dobra deszczowa, dobra śnieżna śnieżysta, dobra zadymka, dobra zawieja, wszystko dobre, zacząłem się pakować, szybko, raz, raz, niedużo było pakowania, już byłem zapakowany, już byłem gotowy, gotowy na wszystko, gdzie jest Michał Kątny? nie mogę na niego czekać, bo już muszę iść, nie wiem, kiedy wróci, za ile, a ja nie mogę, nie wiem, ile czekać, w ogóle nie mogę czekać, muszę iść, zaraz muszę iść, wziąłem karteczkę i napisałem:

Muszę iść, Michał. Nie wiem, kiedy wrócisz, a ja nie mogę czekać, naprawdę nie mogę czekać, muszę iść już zaraz. Bądź zdrow, Michał. Napiszę do ciebie. Janek Pradera.

Położyłem karteczkę na stół, obrzuciłem kwaterę słynnym ostatnim spojrzeniem i wyszedłem; Babci Oleńki też u siebie nie było i też się z nią nie pożegnałem. Gdzie Babcia Oleńka łazi w taką zawieję? ja to ja, idę do Gałązki Jabłoni i dla mnie każda pogoda jest dobra cudowna, kiedy idę do Gałązki Jabłoni, nie ma złej pogody, nie ma złej drogi, najgorsze wertepy są jak asfaltowa przestronna magistrala, kiedy się ma do kogo iść i ten ktoś tam czeka i chodzi po pokoju, przemierza pokój w tę i z powrotem tysiące razy i mówi głośno do ściany: przyjedź, przyjedź, kochany; wyszedłem na podwórze, otworzyłem furtkę,

zamknąłem furtkę i zacząłem iść zgarbiony, z głową do przodu, z workiem na plecach, z wielką gulą miłości łagodności i rzewności, rozsadzającą mi piersi, a śnieg mnie sypał i wiatr mnie bił z obydwu rąk, w powietrzu gęsto, gęsto jak sześć razy sześć trzydzieści sześć, białe zaćmienie, biała szarańcza, zamieć przetowłosa jak biała szarańcza hulała po domenie, kto w taki czas ściąga rękawiczki i landsberskie jabłko obiera ze skórki, a śnieg go przysypuje i wiatr go bije z obydwu rąk, był taki jeden, otoczony naturą i nawet ją trzymając w ręku szukał nowych dróg poza nią; wyszedłem ze wsi i zszedłem z drogi, zszedłem z drogi i wszedłem na pola, wszedłem na pola i szedłem przez pola na skróty, z głową do przodu, z workiem na plecach, z wielką gulą miłości, łagodności i rzewności rozsadzającą mi piersi, a śnieg mnie sypał i wiatr mnie bił z obydwu rąk, z czterech rąk, z ośmiu ośmiorniczych rąk, w powietrzu gęsto było, straszny tumult, białe całkowite zaćmienie świata, nic nie widziałem, nic nie widział ten, co szedł, ten co szedł, na wycucie szedł, na pamięć, strzeżcie go zorze miłe, jasne poranki, świetliste leśne polany, do lasu oto wszedł i zaczął iść przez las, i tu śnieg go sypał, ale mniej, lżej, dużo lżej i wiatr już tak mnie nie bił jak na wolnej przestrzeni, stanąłem, otrząsałem się, otrzepałem się z grubej warstwy śniegu, który mnie całego pokrył od stóp do głów, tak, że cały biały byłem, jak duch, jak zjawą realną, poczochną plecami o pień drzewa, bo z tyłu nie mogłem się otrzepać, a katany nie chciałem z siebie ściągać, chwilę

pomyślałem nad obraniem kierunku, dobra, i znowu ruszyłem, znowu, ruszył ten, co ruszył, brodząc w sypkiej ponowie i z góry sypał go śnieg, ale już nie tak opętańczo, już nie tak dziko, jak przedtem na polach, od czasu do czasu mała lawina obrywała się z korony i spadała mu na kark, bo przechodził akurat pod tym drzewem, ale to nic, i tak było dużo lepiej, a zwłaszcza dużo ciszej, nie duło tak, nie wyło, nie zawodziło, nie lamentował tak przejmująco wiatr tu nisko, tam wysoko tak, ale tu nisko nie i nie ciskał idącemu, jak przedtem na polach, śniegiem w oczy, jak piaskiem w oczy i w nos, i w usta, kiedy je od czasu do czasu otwierał, żeby zaczerpnąć więcej powietrza, którego jakby nie było, bo wszystko zapchane było śniegiem, wszystkie wielkie sale powietrza zapchane były śniegiem i wszystkie jego przedpokoje, antyszambry, schowki, zakamarki też zapchane były śniegiem tam na polach, tu, w lesie, dużo lepiej było, dużo przestronniej w lesie było niż tam na wolnej domenie pól, dziwne, ale tak było, szedłem zgarbiony z głową do przodu, z workiem na plecach i z wielką gulą miłości łagodności i rzewności w piersiach, wielkiej niewymownej miłości, żywy ogień buchał mi w piersiach, ale łagodziła go, studziła go niewypowiedziana łagodność i z tego wszystkiego rodziła się niewysłowiona rzewność, rzewność nad rzewnościami, snuła mi się tam w piersiach ta rzewność, była jak takie halo wokół takiej kuli, takiego księżyca, w którym ogień miłości i woda łagodności, ale łagodności też miłosnej i dlatego nie biła się woda z ogniem ani odwrotnie, tylko

kochali się, kochała się miłość z łagodnością, kochał się ogień z wodą i z tego kochania rodziło się dziecko: dym: rzewność nad rzewnościami, nie marność nad marnościami, ale rzewność nad rzewnościami, rzewność nad rzewnościami, dym, ten dym, ta mgła ta mgła, zobaczył ją tę mgłę tę mgłę, najpierw blisko, nisko, przy nogach, potem popatrzył przed siebie i zobaczył, jak mgła wyłazi, wysnuwa się spoza drzew, spojrzął do tyłu, tam też mgła wyłaziła spoza drzew, jakby tam schowana była i czekała na sposobność, która oto się wydarzyła, spojrzął w lewo, spojrzął w prawo, spojrzął dookoła, wszędzie spoza wszystkich drzew wyłaziła mgła, snując się, smycząc się, turlając się pomąłu w jego stronę, na niego, śniegu padającego już nie widział i powoli zamazywały się, rozmazywały się drzewa, dym, ten dym, ta mgła ta mgła szła na niego ze wszystkich stron i z dołu też, i z góry, drzew tych dalszych już nie widział, tylko te najbliższe, ale i te rozmazywały się, zacierały się, rozpływały się w gęstniejącej napierającej mgle, jedno jedyne pozostało mu z całego wielkiego lasu drzewo, to, przy którym stał, to, o które opierał się plecami, obrócił się do niego twarzą i objął je ramionami i nogami, przywarł do niego całym ciałem i ze wszystkich sił, opętał się ciasno wkoło drzewa jak bluszcz, ale nie był bluszczem, był tym, czym był, atakowanym człowiekiem, a drzewo nie było tym, czym było, drzewo było dymem, białą wysoką dymną kolumną, dymnym słupem, który oto zaczął wirować i wirował coraz prędzej, i on, atakowany człowiek,

trzymając się rękami i nogami dymnego słupa, wirował razem z nim coraz prędzej, coraz prędzej, dymny słup zamieniał się w mglistą trąbę, która grubiała ku górze i zwężała się na dole, szybkość obrotowa jeszcze rosła i mglista trąba coraz zwężała się u podnóża w miarę, jak coraz grubiała, jak coraz rozszerzała się u wierzchołka, a na dole, u podnóża coraz szczupłała, coraz zwężała się, coraz wymykała się, wysmykała się spomiędzy nóg i spomiędzy rąk atakowanego człowieka, aż całkiem wymknęła mu się ku górze i on już niczego się nie trzymał, bo już nie było czego, zawirował jeszcze ostatni raz z rozpędu, zakodował już sam, zakręcił się wokół siebie na chwiejnych, zgiętych nogach, z rozpostartymi szeroko ramionami i z głową uniesioną do góry, biało biało, jeszcze zakręcił się pół obrotu i wtedy upadł twarzą w dół w coś miękkiego, w coś bardzo miękkiego i wtedy ta mglista trąba, co nad nim, jak wielki gigantyczny grzyb, wtedy ta mglista trąba stanęła na pewnej wysokości, przestało tam szaleńczo wirować, przestało się tam kotłować, znieruchomiało wszystko i nagle ruszyło w dół, zwały się wszystko jak Larum Lawina, kilka tysięcy ton mgły spadło na leżącego twarzą ku dołowi, z głową zanurzoną w czymś bardzo miękkim, z workiem na plecach i z wielką gulą miłości łagodności i rzewności nad rzewnościami w piersiach; zwały się nań góra tego dymu, tej mgły tej mgły, ale nie zabolalo go to nic, nic a nic, przeciwnie: dobrze mu się jakoś zrobiło, bardzo dobrze jakoś, miło jakoś, odurzająco jakoś, spać mu się zachciało i to dopiero

go zdziwiło, bo jakimś nerwem świadomości, który przebił się przez grube warstwy zwałonej nań mgły, ustalił, że jest dopiero południe, nie dalej, więc to go zdziwiło, że spać mu się już chce o tej nieodległej od poranka porze, i tak od nerwu do nerwu, od niteczki do niteczki, doszedł, zwinął się do kłębka, którym był, zobaczył się kłębkim, i zaraz potem zobaczył się kłębkim człowieczym, i zaraz potem zobaczył się atakowanym kłębkim człowieczym, do tego doszedł, po nerwach, po nitkach, i tylko do tego doszedł, do atakowanego kłębka człowieka, bo już nie doszedł do tego, przez co jest atakowany, ani do tego, kim jest i gdzie jest, i co tu robi, tu, gdzie jest, doszedł tylko do tego, że jest atakowanym kłębkim człowieka, doszedł do tego poprzez zdziwienie, że mu się spać chce w południe, kiedy to do nocy tak daleko i tego tylko się trzymał, tego zdziwienia, bo tylko to miał, to był jedyny punkt zaczepienia w rozkołysanej dymnej plazmie, którą był jego mózg; więc od tego zdziwienia doszedł do tego, że jest atakowanym kłębkim człowieczym, a ponieważ zdziwienie było tym, że chce mi się spać, więc skojarzył to jedyne, co miał do skojarzenia, że atakowany jest przez sen, więc obroną jest nie zasnąć, obroną jest nie dać się uśpić, nie dać się uśpić, nie dać się uśpić, więc spróbował rozwinąć się z kłębka, spróbował wygrzebać głowę z czegoś bardzo miękkiego, miłego, odurzającego i bardzo sennego, tak, bardzo sennego, więc z tego musi wygrzebać głowę, musi, wygrzebać głowę, musi, głowę, wygrzebać, wygrzebał, udało mu się, udało, podniósł do góry głowę, biały łeb,



wielki i ciężki, ciężki, tysiącważący, potrząsnął nim, ciężko, ciężko, jakby górą lodową potrząsnął, otworzył powieki, ciężko, powoli, ciężko się dźwigały, ołowianie jakoś, żelaźnie jakoś, gdyby zazgrzytało – nie zdziwiłby się, otworzył w końcu powieki, uniósł je, dźwignął je, i spojrzały oczy przed siebie, i co zobaczyły? Kłębiący się tuman mgły zobaczyły, ale to mu nic nie powiedziało, nie wiedział, co to jest za mgła, nie przypomniał sobie, że to jest ta mgła ta mgła, nie przypomniał sobie, kim jest, gdzie jest i dokąd szedł, w ogóle go to nie obchodziło, nie zaświtało mu w głowie, nie pomyślało mu się, że mógłby zechcieć wiedzieć, kim jest, gdzie jest i co tu robi, jak się tu znalazł i dokąd idzie, do kogo, nie pomyślało mu się, ani to, ani cokolwiek innego, bo o niczym nie myślał, bo nie miał w głowie żadnych myśli, absolutnie bezmyślny był, stracił nawet to jedyne, co miał: zdziwienie, że chce mu się spać, stracił to zdziwienie, bo spać mu się już nie chciało albo zdawało mu się, że mu się nie chce, absolutnie bezbronny już był, już się nie widział jako atakowany kłębek człowieczy, już się nawet nie widział jako kłębek człowieczy, kto wie, czy się widział nawet jako kłębek, chyba już się w ogóle nie widział, klęczał we mgle z uniesioną we mgle głową i patrzył na mgłę, nic nie wiedząc, nie wiedząc nawet tego, że jest skazany na zagładę, na pożarcie przez mgłę, na rozmycie, na rozplnięcie, na rozwianie się we mgle we mgle.